

AGNIESZKA JEŻ

LU
NA

SPRAWY SONI KRANZ

POMROKA



JAK DŁUGO NALEŻY CZEKAĆ,
ŻEBY ZACZAĆ SIĘ BAĆ?

**AGNIESZKA
JEŻ**

POMROKA

**LU
NA**

Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Epilog

Posłowie

Przypisy

Copyright © by Agnieszka Jeż 2023

Copyright © by Wydawnictwo Luna, imprint Wydawnictwa Marginesy 2023

Wydawca: NATALIA GOWIN

Redakcja: KAROLINA MACIOS

Korekta: EWDOKIA CYDEJKO, JOANNA BŁAKITA

Projekt okładki i stron tytułowych: Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ.ART.DESIGN –
www.panczakiewicz.pl

Zdjęcia: Ildiko Neer / Arcangel; Mehul Patel / Arcangel

Skład i łamanie: Perpetuum

Koordynatorka produkcji: PAULINA KUREK

Warszawa 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67859-23-3

Wydawnictwo Luna

Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwoluna.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Prolog

Na białym materiale wykwitła czerwona plama. Dotknęła jej palcem; była ciepła i wilgotna. Zostawiła na opuszcze lepki ślad, zabarwiając linie papilarne, jakby ktoś pobrał od niej odciski, tyle że kolor się nie zgadzał.

W jej życiu nic się ostatnio nie zgadzało.

Ściągnęła skarpetkę. Na paluchu, od wewnętrznej strony, zrobiło się brzydkie obtarcie, z którego sączyła się krew. Sięgnęła do tylnej kieszeni dzinsowych szortów i wyjęła z niej papierową chusteczkę, trochę już sfatygowaną i nawet lekko zabarwioną na niebiesko, ale jakie to miało znaczenie, ta cała przesadna higiena. W końcu od takich rzeczy się nie umiera. Oderwała z niej wąski pasek i owinęła nim palec. Musi wystarczyć. Zresztą rana nie będzie się odnawiała, bo to przecież nie od adidasów.

Sięgnęła po skarpetkę i wywinęła ją na lewą stronę. Był tam – nieduży czarny kamyk, który zaplątał się we frotowe włókna. Czują go już od jakiegoś czasu, ale nie chciała się zatrzymywać, jakby się obawiała, że może się rozmyślić i zawrócić.

Nie mogła; musi im pokazać, na co ją stać. Pokazać, że skoro oni tak się zachowują, to ona też ma prawo wyciąć jakiś numer.

No dobra, może nie oni, a on. Ojciec.

Kilka razy obróciła kamyk w palcach. Niby taki drobiazg, a jednak zrobiła się rana. Rzuciła go w krzaki.

Kamyk. Wszędzie dookoła było pełno kamieni. No bo co innego miałyby być w Górach Kamiennych – piasek?

„Góry Kamienne to miejsce dla twardych ludzi”, przeczytała w jakiejś zakurzonej broszurce, wystawionej na stojaku plenerowej biblioteczki szkolnej. Same nudne starocie tam leżały, jakby zrobili składowisko makulatury, a nie miejsce wymiany książek.

Wszystko tutaj takie było – stare, a nawet jeśli jakoś przerobione na nowe, to i tak poprzednie życie wychodziło na wierzch, przypominając o tamtym świecie

i tamtych ludziach. Tych, dla których te tereny były domem z wyboru. Po nich zjawili się pechowcy z łapanki, pod przymusem, bez wyjścia.

Tak samo było z nią – z własnej woli nigdy by się nie zgodziła na przyjazd. Ale czy miała wybór?

Tamci, po wojnie, też nie mieli wyboru. Wylądowali w tym miejscu i tak tkwili; może liczyli na to, że to przejściowe i wrócą do siebie? Nie wrócili, za to młodzi, ostatnie pokolenie, wyjeżdżali stąd – byle dalej, bo tu smutek i brak perspektyw. Zaczynali nowe życie gdzie indziej. A ona właśnie tu musiała dorastać.

Przeszył ją dreszcz. Wyciągnęła z plecaka bluzę. Zapachniało płynem do płukania tkanin. W domu, to znaczy w poprzednim domu, ten zapach zawsze miło jej się kojarzył – świeży i ożywczy, synonim rodzinnego szczęścia, jak obiecywały reklamy niemieckiej chemii. Wszystko w tych filmikach takie było: ładne i wymuskiwane, ale przecież nieprawdziwe – zupełnie jak w jej życiu.

Mimo to przez chwilę trzymała mięsisty turkusowy materiał dociśnięty do twarzy. Przymknęła oczy. Pamięć dobrze zadziałała: przedmiot – zapach – skojarzenia. Kolorowe ładne obrazki z tamtej karty pamięci.

Teraz karta zapamiętała się nowymi wspomnieniami, których wcale nie chciała.

Znowu poczuła dreszcz. Otworzyła oczy. Niebo błękitnie błyszczowało, dziś miał być upał, jak od kilku dni zresztą, ale na razie czuła wilgotny chłód. Tutejsze poranki takie były – w kotlinach porośniętych wysoką buczyną, która zatrzymywała większość światła, termometry pokazywały temperaturę o kilka stopni niższą niż w mieście. Miasteczku. Tej dziurze, która stała się jej domem.

Chciało jej się płakać, ale równocześnie była wściekła. Jakby mało było hormonów, które i tak robiły z nią, co chciały.

Włożyła bluzę i spojrzała na skarpetkę. Plama zmieniła kolor z makowej czerwieni na winną i lekko zeszywniała. Wyglądało to słabo, ale przecież nie będzie się nigdzie rozbierała. Wsunęła stopę do buta.

Właściwie to nie miała pojęcia, dokąd pójdzie ani co będzie robić. Nie przemyślała tego, to był impuls, po prostu poczuła, że dłużej nie da rady, zgarnęła plecak, portfel, komórkę, trochę kasy i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Doszła do końca asfaltu. Za plecami miała wąską, nową jezdnię i stare ponemieckie zabudowania. W tym miejscu domostwa się kończyły, zaczynała się szu-

trówka. Droga skręcała i od teraz prowadziła bliżej strumienia, w tunelu otoczonym wysokim bukami.

Owionęła ją zimna wilgoć, na nogach pojawiła się gęsia skórka. Zdecydowanie lepsze byłyby długie spodnie, ale przecież potem, już po drugiej stronie góry, by się w nich ugotowała.

Przyspieszyła kroku. Było tu tak mroczno, jakby niebo się nad nią zamknęło. Tak się zresztą czuła, dlatego zdecydowała, że to będzie dziś. Matka by się zaśmiała i powiedziała: „Jaka to decyzja? Kiedy człowiek ma czternaście lat, składa się z samych impulsów. Nawet taka dobra i fajna dziewczyna jak ty”.

Tak, często to słyszała: że jest fajna i dobra. Uczyła się i nie sprawiała kłopotów. I już, tyle dorosłym wystarczy – to, co w środku, w ogóle ich nie interesuje. Dorosli są beznadziejni. No, matka może miała jakieś zalety, w sumie to nawet była całkiem okej, ale w tej sprawie zawodziła po całości, a ojciec...

Rozpląkała się. Wyjęła z kieszeni szortów postrzępioną chusteczkę i przetarła nią twarz.

Nie chciała znowu beczeć, ale to tak cholernie bolało. Żeby własny ojciec...

Droga się rozwidlała. Szersza ścieżka prowadziła prosto, dalej wzdłuż strumienia, węższa odbijała w prawo, początkowo przez łąkę, potem ostro ku górze.

Sięgnęła do plecaka po mapę. Trudno się było rozeznąć, w którym miejscu się znajduje – to w końcu tylko darmowa grafika z punktu informacji turystycznej. Przydałaby się nawigacja w komórce albo strona z trasami i szlakami, ale przecież nie mogła włączyć telefonu. Od razu by ją namierzono, a nawet jeśli nie, to i tak lepiej, że jest niedostępna. Mama będzie się pewnie martwić, choć w sumie – kto wie? Niedawno, kiedy się pokłóciły, wykrzyczała jej, że ona też ma prawo do swojego życia. Że nie jest tylko robotem do wykonywania pracy, zarabiania, sprzątania i rozwiązywania kłopotów. Jakby własnych nie miała i musiała ciągle zbawiać świat.

No to sobie odpocznie od córki.

A ojciec? On niech cierpi – za to, co jej zrobił. Jeśli oczywiście akurat dziś najdzie go ochota, by się do niej odezwać.

– Aaaaaaa! – wrzasnęła, zaciskając pięści.

Krzyk przeciął ciszę. Widziała taki filmik na TikToku – jak uwolnić swoje emocje, żeby już nie upychać ich w środku, tylko wyrzucić z siebie złość. Normalnie

trudne do wykorzystania, bo gdzie niby miałyby się tak wydrzeć? Tutaj mogła, była zupełnie sama. Całkowite odludzie, kompletne zadupie. Nikogo, żywej duszy.

Przez chwilę jeszcze się wahała, którą drogę wybrać. Obie musiały prowadzić na drugą stronę góry, innej możliwości nie było. Prosta – naokoło, czyli dłużej, ale z łagodniejszym podejściem, ta w prawo – z niezłą wspinaczką, ale krótsza.

Jeszcze raz spojrzała na mapkę. Poczwała się trochę lepiej, ten krzyk naprawdę pomógł.

– W prawo – powiedziała na głos, odchrząkując.

Nie ma się co namyślać nad trasą, przecież od tego wyboru nie zależy jej życie.

Rozdział 1

Sonia Kranz wstała zza biurka i podeszła do okna. Musiała się lekko wspiąć na palce, ponieważ dolną część szyby zaklejono folią samoprzylepną w kolorze mlecznym, z wzorem bambusów. Zabieg dekoracyjny był wątpliwy, pewnie raczej chodziło o efekt konspiracyjno-maskujący. Czuła się tu jak w barze orientalnym lub w łazience na kempingu.

Czyli zupełnie nieadekwatnie.

Znajdowała się bowiem na posterunku policji, gdzie od trzech miesięcy była kierownikiem. Taka informacja widniała na kartce powieszanej na drzwiach wejściowych. Trochę śmiesznie, trochę głupio, bo przecież była kobietą. Kierowniczką jednak brzmiałaby jeszcze dziwniej, zwłaszcza zestawiona ze stopniem służbowym – też w rodzaju męskim. Papier przyjmował wszystko, więc można było przeczytać: „Wykaz dzielnicowych Posterunku Policji w Mioszowie, Komisariatu Policji w Boguszowie-Gorcach”. Niżej znajdowała się ramka z dwiema kolumnami, w których podano nazwy ulic i miejscowości, a nad nimi imiona i nazwiska oraz stopnie przypisanych tym rewirom policjantów: „sierżant Marek Ranik, sierżant Jacek Majkowski”. Na dole dokleiono pasek, różniący się trochę odcieniem bieli (ponad rok odstepu, papier zdążył się dopasować do panujących tu warunków, czyli zszarzyć): „Kierownik Posterunku Policji w Mioszowie: komisarz Sonia Kranz”.

Każdego ranka, kiedy przychodziła do pracy i patrzyła na tę kartkę, strząsała z siebie zdumienie. Wciąż nie mogła się przyzwyczać do tej sytuacji. Z pewnością byłoby łatwiej, gdyby rozwój wypadków przywiódł ją w fajniejsze miejsce i oferował awans. Do tej pory wszystko przebiegało mniej więcej zgodnie z planem, a Sonia powoli, ale konsekwentnie szła do przodu – zawodowo i prywatnie.

Aż do końca ubiegłego roku, kiedy to nastąpiła wolta, po której komisarz Kranz postanowiła wyjechać z Wrocławia. Od tamtej pory każdego ranka odpalała samochód, przejeżdżała kilka kilometrów, parkowała na placu Niepodległości, a potem robiła rundkę – w dół, nad potok, i z powrotem, jakby chciała odwlec moment rozpoczęcia dniówki w tym miejscu.

I za każdym razem, gdy dochodziła do kamienicy wymalowanej na niedający się przeoczyć niebieski kolor, przez moment się zastanawiała, czy to się dzieje naprawdę.

Nie chodziło tylko o tę niebieską fasadę, jakby wprost ściągniętą z wiejskiej chałupy ze skansenu. Nie miała nic przeciwko wsi, zresztą pewnie gdyby głębiej pogrzebać, okazałoby się, że i ona ma takie korzenie, jak znakomita większość Polaków. Jak przeczytała kiedyś na jednym z murali: „Z punktu widzenia Drogi Mlecznej wszyscy jesteśmy ze wsi”. Małe miasteczka też jej nie przeszkadzały, lubiła je. Miały różne dziwne i fajne sklepy, takie poza sieciowym obiegiem, klimat i ciszę. Były pokrętnie fascynujące. Chętnie wybierała je na miejsce wypoczynku, ale teraz tak wyglądała jej codzienność, też niby przez nią wybrana, choć właściwie to nie miała wyjścia. „Możesz się bardziej postarać”, wykrzyczała Julka, kiedy Sonia oznajmiła, że wyprowadzają się z Wrocławia „pod granicę”. „To jakieś cholerne zadupie, koniec świata!”, córka aż się zatrzęsła, kiedy sprawdziła lokalizację ich nowego domu. Zamieszkały w Kowalowej, kawałek przed Mieroszowem. To nawet nie była wieś, tylko przysiółek – kilka budynków i tyle. „Nie pojedę!”, Julka tak grzmotnęła drzwiami, że odpadł kawałek tynku ze ściany. Niby taki solidny dom, a gips się posypał. Wszystko się posypało. Sonia przez chwilę miała pokusę, by powiedzieć „To możesz zostać z ojcem”, ale nie powiedziała, bo po pierwsze, Julka zaczęła chlipać, a po drugie, nie mogła zostać z ojcem, bo ojciec zaczął nowe życie. W jego przypadku nie oznaczało to w zasadzie żadnych zmian logistycznych – jedyne przesunięcie nastąpiło w materiale ludzkim: Sonię Kranz zastąpiła Kinga Jeszcze-Nie-Kranz. Ich wspólny dom we Wrocławiu był już tylko Krzysztofa (to znaczy formalnie zawsze był tylko jego, ale przecież póki śmierć nas nie rozłączy i tak dalej), firma też stanowiła wyłącznie jego własność. Okazało się, że tak naprawdę wspólne jest tylko dziecko. Majątek ruchomy.

I tak, rok po czterdziestych urodzinach, Sonia Kranz została z czternastoletnią córką i trzyletnim samochodem – zapewne sposobem na uciszenie pierwszych wyrzutów sumienia Krzysztofa, że ją zdradza. Fiat, pięćsetka. Kiedy dostała go w prezencie, ucieszyła się. Samochody jej nie kręciły, ale ten był po prostu ładny – akurat na miejskie wyprawy. Potem jeszcze dostała drogi zegarek, a później już standard, czyli kwiaty i perfumy. Wyrzuty sumienia przycichły i nikły – coraz bardziej i coraz szybciej.

Sonia w przyspieszonym tempie przeszła wszystkie etapy emocji rozstania: szok, niedowierzenie, złość, apatię. Teraz skupiła się na działaniu. „Nie zostawię cię bez pieniędzy”, powiedział Krzysztof, a ona nawet całkiem spokojnie odparła, że alimenty zasądza sąd, i to dziecku, nie pracującej przecież matce. Tyle że nawet nie małe, jak na polskie warunki, dwa tysiące złotych, nie starczyłoby na wynajem mieszkania, a policyjna pensja komisarz Kranz była w porządku, gdy stanowiła tylko dodatek do pokaźnych dochodów właściciela prężnej firmy wyrobów z pleksi, prywatnie jej męża.

Dlatego postanowiła się przenieść gdzieś, gdzie koszty życia są niższe i jest zdecydowanie mniej współczujących jej znajomych. Okazało się, że w Mioszowie powstał Posterunek Policji z nieobsadzonym stanowiskiem kierownika. A chwilę potem, że w Kowalowej jest dom do wynajęcia, a dokładniej – do bezpłatnego udostępnienia w zamian za opiekę. Należał do bardzo leciwej ciotki jej przyjaciółki Magdy. Sonia słyszała o ciotce już wcześniej – była to ciepła opowieść, pełna empatii, bo taka była Magda, jednak dało się z niej wysnuć kilka nitek, a właściwie nici smutku. Ciotka, rzucona kaprysem historii na te tereny, pokochała je niczym rodzinne siedlisko. Trzymała się tego adresu ze wszystkich sił. Dopiero gdy owdowiła, a potem biologia sprawiła, że stała się mniej sprawna, przeniosła się nad morze, do córki. Domu jednak nie chciała sprzedać. „Póki żyję, nie mogę – tam tyle wspomnień. Potem ktoś zdecyduje za mnie, a teraz niech on znajdzie dobrego opiekuna”. Dom miał adres: Wczasowa, na mapie był ostatnim kwadracikiem pośród kilku innych rozrzuconych wśród zieleni. Wyglądał jak z obrazka w starym podręczniku – ilustracja litery D. Klasyczny prostokąt kryty czerwoną ceramiczną dachówką, szary gruby tynk, podwójne drewniane okna błyszczące od białej farby. Naprawdę uroczo, brakowało tylko wybujałych malw przed wejściem. Do tego stara lipa obok i ładna łąka z tyłu. Zaraz za budynkiem kończyła się asfaltówka i cywilizacja. Zaczynała się natura.

Kiedy Sonia przyjechała tu zimą, było pięknie. I bardzo odludnie. Na tygodniowy reset jak znalazł. Julka lubiła centrum Wrocławia, kawiarnie, światła, gwar. Życie po prostu. Jasne, na dłuższą metę byłoby to męczące, ale chodziło o wybór – tam Julka go miała, tu nie. Kowalowa w ogóle była poza konkurencją, zaś Mioszów...

Smutek, pomyślała Sonia, stając pierwszy raz na rynku. Trochę śladów dawnej świetności, teraz reanimowanej kilkoma mocniejszymi kolorami fasad ponad dwu-

stuletnich kamienic. W kilku miejscach przebłyski nowego, wyremontowany deptak nad potokiem, ładny parking, tu i ówdzie lepsze fronty domów, kilka supermarketów, ale i tak czuć tu było mocne zwątpienie, jesień, nie słoneczną zimę, i to najgorszy z możliwych listopadów. Wszystko w okolicy tak wyglądało – kiedyś ładne, zadbane przez troskliwych mieszkańców, a potem przekazane tym, co nie chcieli przyjechać, nie wiedzieli, ile tu będą i czy starzy właściciele kiedyś nie wrócą po swoje. O taki dobytek się nie dba, do takich miejsc nie ma się serca. Serca tych, co tu przyjechali, zostały kilka setek kilometrów dalej, na Wschodzie. Tego Julce oczywiście nie powiedziała, choć córka sama sobie wygoogłała historię tych terenów. Zresztą znała ją z Wrocławia, który też stał się domem dla przesiedlanych, tyle że akurat to miasto było niezłą miejscówką do życia. Owszem, przesiedleni nie prosili o taką zamianę, zostawiali za sobą gospodarki, domy, bliskich na cmentarzach i wspomnienia, ale – obiektywnie i cywilizacyjnie – była to forma awansu społecznego.

Tu – cóż... Po kilku pierwszych dniach Julce trochę przeszło, choć wciąż zachowywała się gburowato albo płakała. Nawet jakoś odnalazła się w szkole, nawet polubiła jedną dziewczynę z klasy, nawet czasem coś o niej powiedziała. No i ojciec – jeszcze w trybie poczucia winy – przyjeżdżał i zapewniał różne atrakcje, odzwierciedlające stan jego konta. Tyle że to właśnie się kończyło. Dwa razy, na kilka godzin przed umówionym spotkaniem, odwołał przyjazd. Sonia delikatnie nadmieniła, że to może się stać rutyną (nie miała wątpliwości, praca w policji skutecznie ruguje złudzenia), Julka się zezłościła – na ojca, na nią, na cały świat. Nie pierwszy raz i nie ostatni. Poprzedniego wieczoru Sonia nie miała ani siły, ani ochoty być superwyrozumiałą i niestrudzenie empatyczną matką. Zachowała się jak zwyczajny człowiek, znękan, samotny rodzic, porzucona po latach małżeństwa kobieta w średnim wieku – westchnęła, pokręciła głową, powiedziała „Jestem zmęczona” i odpaliła na laptopie jakiś serial, który po kwadransie ją uspił. Zmiętolona, pół-przytomna, obudziła się po północy, wzięła szybki prysznic i znowu poszła spać. Nie zaglądała do Julki, przecież córka nie była już niemowlakiem.

Rano, przed wyjściem do pracy, chciała jednak na nią popatrzeć, może pogłaskać po głowie czy nawet dać całusa. Na chwilę wrócić do dawnego, prostego życia. Ale pokój okazał się pusty, pościel chłodna. Już to było dziwne, bo Julka lubiła późno wstawać. W ciągu roku szkolnego nie mogła, ale teraz już tak, w końcu zaczęły się wakacje, więc korzystała z tej możliwości. Kiedy przed trzema dniami Sonia wpa-

dła do domu w południe, bo zapomniała ładowarki do telefonu, córka była jeszcze w piżamie.

Właśnie – telefon. Wyłączony. Młodzi nie wyłączali teraz smartfonów, cały czas w zasięgu, w sieci, dostępni. Julce daleko było do komórkowego zombie, które odcięte od internetu natychmiast umiera, ale klikała w ekran, oglądała filmiki, odwiedzała jakieś fora i nie traciła kontaktu ze swoim telefonem. Spora część jej życia toczyła się w wirtualnej rzeczywistości. „A gdzie niby miałyby się toczyć?”, zapytała zaczepnie, kiedy matka jej to zarzuciła, dziwiąc się, że minęło południe, a dziecko wciąż leży w łóżku. Sonia zwinęła się wtedy bez słowa i wróciła do pracy. Nie była zła, po prostu czasem ogłaszała bezsilność.

Zatem telefon – pierwszy niepokój. Jasne, Julka mogła po prostu zrobić jej na złość: schować się gdzieś, wyłączyć aparat, niech się starzy martwią. Starzy to na wyrost – Krzysztof pewnie nawet nie miał pojęcia, że jego córka nie daje znaku życia, bo skąd miałby to wiedzieć?

Właściwie, jak teraz Sonia się zastanowiła, to Julka mogła wyjść nawet późnym wieczorem czy w nocy, bo ona szybko zasnęła, wykończona tym emocjonalnym rollercoasterem. Ile powinna odczekać, zanim zacznie się martwić? Ile czasu dałaby rodzicowi, który by zgłosił zniknięcie czternastolatki? Niewiele. Może nawet od razu by wysłała radiowóz na objazd terenu. Teraz też by mogła poprosić kogoś z sierżantów, Ranika albo Majkowskiego, ale... Niewiele o niej wiedzieli. Tyle tylko, że jest jakimś przegrywem, bo kto rezygnuje z Wrocławia na rzecz Mieroszowa, nawet jeśli dostaje tu kierownicze stanowisko? No i przyjechała z dzieckiem, ale bez męża. Wszystko jasne, czterdziestka na zakręcie. Nie pytali, hierarchia jest, a ona nie poruszała tego tematu. Zresztą obaj sierżanci byli od niej z dychę młodszy, płaszczyzny ich doświadczeń zupełnie się nie pokrywały.

Wciąż stała przy oknie. Patrzyła na pomnik, a właściwie na plecy pomnika – głazu, na którym przyczepiono tabliczkę upamiętniającą nadanie Mieroszowowi praw miejskich. Wtedy to był Stadtchen Fredelant, zarządzany przez benedyktynów z pobliskiego Broumova, potem miejscowość przeszła w ręce niemieckie, stała się jednym z dóbr zamku Książ. Co tu zresztą nie należało do tego majątku? Miasto się rozwijało, przyspieszenie nastąpiło na początku XX wieku. W ostatnim czasie przed zmianą granic utworzono tu filię niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego Groß-Rosen. Po moralnym upadku zaczął się inny – już pod polskim

przewodnictwem. PRL dobijał, Rzeczpospolita Polska, niby taka nowa i rozwojowa, w ostatniej dekadzie zaczęła niebezpiecznie przypominać tamten czas.

Sonia otrząsnęła się z tych myśli i sięgnęła do kieszeni po komórkę. Wybrała numer Julki.

„Abonent jest poza zasięgiem lub ma wyłączony telefon”. Znowu ten sam komunikat. Od rana aż do teraz, a było już popołudnie.

Przez chwilę jeszcze stała przy oknie, a potem wróciła do biurka.

Majkowski poszedł w miasto spełniać się jako dzielnicowy. Ranik pojechał do Rybnicy Leśnej w sprawie kradzieży sprzętu rolniczego – zginęła brona czy coś w tym stylu, podobno jeszcze po niemieckim gospodarzu.

W ciągu kilku miesięcy, od kiedy zaczęła tu pracę, nie mieli żadnej poważnej sprawy. Choć właściwie to mieli: pijany facet kopnął psa, zrzucił go ze schodów. Zadzwonili sąsiedzi – nie dlatego, że się awanturował, bo do tego przywykli, ale dlatego, że dręczył zwierzaka. Mimo wszystko budujące. A, i jeszcze plantacja marihuany. Też z donosu – tym razem zadzwonił ojciec, że syn mu nie oddał pożyczonego auta, co jest rażącą niewdzięcznością, bo używał też ojcowskiej działki i to wszystko za darmo, z dobroci serca. Na miejscu okazało się, że chłopak założył plantację konopi indyjskich. Ładnie mu wyrosły, miał do tego dryg. No i ziemia była tu, jak widać, żyzna.

– Wróciłem. – W progu pojawił się Majkowski.

Kiwnęła głową. Polubiła tego chłopaka, miał w sobie coś ujmującego, jakąś wrażliwość, a przy tym był bardzo otwarty – żaden wycofany introwertyk.

– Siądę teraz do notatek, jeśli nie ma nic innego.

– Nie ma – odpowiedziała, trochę wbrew sobie.

Bo może jednak było, a ona się cykała. Czego się bała? Że wyjdzie na nadopiekuńczą matkę czy że zdradzi coś ze swojej prywatności?

Jeszcze przez chwilę patrzyła w ekran komputera, po czym, nie wychylając się z za niego, oznajmiła:

– Jadę do Wałbrzycha. Wrócę za godzinę, maksymalnie dwie.

– Okej. Znaczą tak.

Majkowski uśmiechnął się nieregularnie. Cały był ulepiony z takich sprzecznych kawałków. „Ma fajny wujb”, stwierdziła Julka. „Taki wiesz, niehetero”.

Och, Julka. Jej mała, dorastająca, kochana, nieznośna córka. Córeńka.

Podniosła się zza biurka, minęła okienne bambusy i wyszła na zewnątrz. Wsiadła do swojej pięćsetki i ruszyła w kierunku Wałbrzycha.

Włączyła się płyta. Dire Straits. Często teraz ich słuchała – tak jak podczas studiów. Wtedy ta muzyka była odskocznią od rutyny i musztry codzienności. Poetyckie, nostalgiczne teksty przesączały się na dno jej duszy. Później, gdy pojawił się Krzysztof, nie potrzebowała tego – klimat ich wspólnego życia był inny.

Teraz znowu ją ciągnęło do kojąco-nostalgicznego głosu Marka Knopflera. *Your Latest Trick*. To było o miłości albo raczej o złudzie miłości. O tym, że trudno o uczucia w wielkim mieście. O samotności.

Saksofon odsłonił duszę, a ona przyspieszyła.

Zaraz za mostem prowadzącym do Sokołowska skręciła w lewo, we Wczasową. Nie spodziewała się zastać tam Julki, ale musiała sprawdzić. Budynek był zamknięty. Otworzyła drzwi i zrobiła szybki obchód. Pusto. Znowu zadzwoniła do córki.

„Abonent...”

Przejechała palcem w kierunku czerwonej słuchawki.

Znowu wsiadła do auta. Jechała powoli, bijąc się z myślami. Co by zrobiła, gdyby była w wieku Julki i pokłóciła się z matką? Nic, boby się nie pokłóciła. Nigdy się z nią nie kłóciła, choć teraz tego nie wykluczała. Matka z trudem znosiła „degradację” swojej jedynaczki. „Gdybyś bywała więcej w domu, była bardziej kobieca, byłoby inaczej. Mężczyzna nie odchodzi, kiedy to, czego potrzebuje, ma w domu”. Najpierw Sonia słuchała tych wyrzutów, które miały zastąpić pocieszenie, bo matka nie uznawała roztkliwiania się, jak zawsze – ze spokojem, bez komentarzy, w końcu zdobyła niezłą praktykę – ale z czasem zaczęła w niej narastać złość. Też by mogła powiedzieć jej kilka słów o ojcu. I o tym, że nawet wylizane do czysta podłogi, trzydaniowe obiady i skórzana mini nie zagwarantują, że facet będzie wierny i uczciwy. Że w prawdziwej relacji nie o to chodzi. O co dokładnie chodzi – tego, jak się okazuje, jednak nie wiedziała.

Zwolniła, mijając sąsiadujący z ich domem duży budynek. Obiekt leczniczy, o czym informował wyblakły napis na szachulcowej mozaice: „Sanatorium Blitzengrund”. Ono również zostało oszpecone przez PRL, chyba też na cele zbiorowej rekreacji tudzież rekonwalescencji. Zdaje się, że nikt tam na stałe nie mieszkał, ona

w każdym razie nigdy nikogo nie widziała, choć stan wskazywał na to, że ktoś regularnie dogląda tego miejsca. Julka jest wygodna, nie chciałoby jej się daleko iść. Może gdzieś tu się zadekowała? Co Sonia właściwie wiedziała o najbliższych jej ludziach? Życie pokazało, że niewiele.

Zdecydowała się pojechać do Wałbrzycha. Największe miasto w rejonie, toczyło się tam widoczne życie, nienachalnie, ale zawsze, można było coś zjeść, gdzieś usiąść. Zaledwie kilkanaście kilometrów drogi, którą dało się pokonać autobusem. Wybrały się tam z Julką kilka razy. Bez zbytniego entuzjazmu ze strony córki, choć wizytę w lokalnych lumpkach oceniła na plus, a w Zielonej Sofie, kawiarni przy rynku, naprawdę jej się podobało, Soni zresztą też. To miejsce udowodniało, że nawet jeśli wszędzie panował klimat stagnacyjno-zwijający się, to można się nie dać – i wciąż wierzyć, mimo warunków.

Stosowała się do znaków wyznaczających prędkość, bo rozglądała się dookoła. Przejechała obok kilku osób, ale Julki nigdzie nie było.

Ciężko tu mieli niezmotoryzowani. Wąskie pobocza, mało chodników, kulawy transport. Kilka poziomów wykluczeń.

Minęła wąski tunel pod wiaduktem i wjechała do miasta. Witające ją budynki kojarzyły jej się z bieda-familokami w Zgorzelcu czy Bytomiu. *Familien-Block*, pomyślała, patrząc na dziewczynę pchającą głęboki wózek. Obok szedł chłopak, pewnie ojciec. Oboje wyglądali jak wyjęci ze szkolnej ławki, z przypadkowo doczepioną dekoracją w postaci noworodka. Kawalek dalej grupka mężczyzn na murku, z piwami w dłoni. Potem jeszcze zamknięty szpital, który mógłby grać w horrorach, przejazd przez obwodnicę – bez świateł, dla lubiących adrenalinę – i była w znajomych okolicach. Powoli sunęła kolejnymi uliczkami, wypatrując córki. Teraz dotarło do niej, że właściwie ma zerowe szanse, by w taki sposób ją znaleźć, nawet jeśli rzeczywiście tu jest. Czuła się jednak lepiej, że w ogóle coś robi – beczynność zawsze ją denerwowała. A może była tylko natręctwem, jednym z kilku wyniesionych z dzieciństwa?

Sięgnęła po telefon i wybrała numer Magdy. Znały się od lat, od czasu, kiedy po raz pierwszy spotkały się w przedszkolu – jako matki. Miały dzieci w różnym wieku i w różnych grupach, ale coś kliknęło i się zaprzyjaźniły. Dla Soni, która przyjechała do Wrocławia z Kołobrzegu, to była pierwsza ważna znajomość w tym mieście. Przerodziła się w przyjaźń i trwała do dziś. Magda, matka trzech synów

i farmaceutka, medytowała i ćwiczyła jogę – w jej żyłach płynęła benzodiazepina wymieszana z melisą. Siła spokoju.

– Cześć, co tam? – Podane bez pośpiechu, z zachęcającą serdecznością. Magda zawsze była sobą.

Sonia też.

– Słabo. Julka gdzieś zniknęła. Nie ma jej od rana, może nawet od nocy. Telefon wyłączony.

– Stało się coś? – Wciąż spokój, rozlewający się zen. „Spokojny umysł”, powtarzała Magda. Umysł Soni marzył o takim stanie, ale urzeczywistnianie go nie szło.

– Nowego? Nie, chyba nie. To znaczy ojciec znowu ją wystawił, ale to już ćwiczyliśmy.

– Do wprawy potrzeba wielu powtórzeń.

No tak, Sonia była przekonana, że Krzysiek pomoże im w tym ćwiczeniu. Sprawdzało się. Nieproszony, z własnej inicjatywy, stawiał córkę wobec konieczności przerabiania nieprzyjemnych emocji.

– Ale ona nigdy tak nie robiła. Zawsze, mimo wszystko, była ze mną blisko. I zawsze, też mimo wszystko, była racjonalna.

– Nie wymagaj zbyt wiele od nastolatki, a na pewno nie więcej niż od dorosłego. Właściwie to dziwne, że Julka wcześniej nie pękła.

Może to akurat jej córka miała po niej? Wytrzymywanie, bez względu na okoliczności? Niepokazywanie, przemilczanie, czasem jedynie odkręcanie zaworu bezpieczeństwa, ale zawsze tylko trochę? Aż w końcu pieprznięło.

– Co ty byś zrobiła? – spytała Sonia.

– Poćwiczyła oddech i dała jej czas. Zgłódnieje, przetrawi emocje, znudzi jej się i odezwie się do ciebie. A ty posprzątasz po Krzyśku. Jak zawsze.

Tak, ten schemat był powtarzalny, ale nie na taką skalę.

Sonia postanowiła zawrócić i jeszcze raz przejechać przez centrum. Wałbrzych był przedziwnym miastem, przypominał archipeląg połączonych wysp. W najdłuższej osi miał kilkanaście kilometrów – zaludnione fragmenty, potem dwupasmówka, a wokół pustki lub jakiś przemysł, znowu enklawa życia i tak dalej.

– Masz z nią relację, wypracowałaś sobie.

Fakt. Julka to było najlepsze, co jej się w życiu zdarzyło. Czuła, że włożone w to dziecko uczucia, emocje i czas miały sens, że są długoterminową inwestycją z korzyścią dla nich obu. Zrobiło jej się ciepło na sercu. Bardzo kochała swoją córkę i to nie dlatego, że były podobne, bo bardzo się różniły – charakterem i wyglądem. Julka wdała się w ojca: blond włosy i niebieskie oczy, słowiański typ. I będzie chyba bardziej kobieca niż matka, co właśnie zaczęło się ujawniać. Sonia miała ciemne włosy, zielone oczy, jasną karnację, sportową sylwetkę. Jakieś niezdecydowane przemieszanie genów.

– Ale jeśli coś jej się stało...

– Nie przenoś na dziecko swoich lęków. Co się miało stać? Dorasta, teraz w sposób przyspieszony. To potrzebna lekcja. Wesprzesz ją, kiedy się do ciebie odezwie. Tylko pamiętaj: spokój i czułość. Czułość to podstawa.

– Czyli nic nie robić? – Sonia ponownie była przy cmentarzu. Postanowiła przejechać koło ratusza i poczty, ich trasą spacerową, a potem skręcić w stronę teatru i fabryki porcelany. Kupiła tam córce kubek, rzutem na taśmę, bo „Krzysztofa” po blisko dwustu latach zamykano. „Wszędzie dobre zmiany”, rzuciła Julka, trochę kąśliwie, a trochę smutno. Trochę o fabryce, trochę o Polsce, a trochę o nich. Znowu ukłucie w sercu.

– Możesz zadzwonić do jej ojca. W końcu to jego zachowanie ją do tego doprowadziło. Bez wyrzutów, na spokojnie. Może coś do niego dotrze. Jeśli nie, to przynajmniej go poinformujesz.

Sonia pomyślała, że pomoc z Krzysztofa będzie żadna, bo jak – na odległość? Ale może przynajmniej się trochę pomartwi. Ta myśl sprawiła jej przyjemność. Cóż, ona nie była kwiatem lotosu na spokojnej tafli jeziora, jak Magda.

– Okej, tak zrobię.

– Daj znać, gdy Julka się zmaterializuje. Buziak.

Na razie po lewej stronie Soni zmaterializował się mural. Dobrze go widziała, bo przed szczytową ścianą kamienicy, na której go namalowano, znajdował się tylko trawnik. Julka już zwróciła na niego uwagę, ale Sonia dopiero teraz mogła mu się lepiej przyjrzeć. Były na nim psy, różnych ras, wielkości i kolorów, namalowane chyba bez zachowania perspektywy czy innych reguł sztuki, ale przez to bardziej wzruszające. Obie z Julką lubiły psy. Sonia na fali emocji obiecała, że przygarną ja-

kiegoś. Trzeba będzie się wywiązać. Sięgnęła po komórkę, żeby wybrać numer do męża, jeszcze męża. Światła zmieniały się tu wyjątkowo długo.

Znowu spojrzała na mural. Stworzenie po lewej stronie nie było psem, tylko kotem, dopiero teraz zwróciła na to uwagę. Dziwne, zupełnie od czapy.

Zanim zdążyła nacisnąć słuchawkę przy „Krzysztof” (zmieniła z „Krzyś”), na wyświetlaczu pojawił się „Marek Ranik”.

Wciąż miała czerwone światło. Ponownie zerknęła na zamalowaną ścianę. Pod kotem dostrzegła coś jeszcze dziwniejszego – chyba jaszczurkę. Słabo, bo spostrzegawczość to przecież jeden z wymogów w zawodzie Soni. Zresztą w tej jaszczurce było coś nieprzyjemnego.

– Cześć. Jest sprawa – rzucił Ranik. – W Sokołowsku.

Sokołowsko. Fajne miejsce, trochę hipsterskie. Taki był wpływ wielkomiejskiego towarzystwa, które zjeżdżało do dawnego kurortu, by cieszyć się spokojem odludzia. Może tam powinna była najpierw sprawdzić? Niby brak komunikacji, ale to ze cztery kilometry, zresztą chodziły tą trasą. Tyle że jej córkę ciągnęło do świata, do ludzi, do gwarne go, szybkiego życia. W Sokołowsku życia było brak.

– Musisz przyjechać.

Była czuła na punkcie hierarchii i odpowiednich form. Ranik nie zawsze je stosował, co ją jeżyło.

– A co to za sprawa? Też zrabowany przedwojenny sprzęt rolniczy? – rzuciła ironicznie.

Światło wreszcie zamrugało.

Ranik odchrząknął.

– Znaleziono dziewczynę. Młodą. Nastolatkę.

Sygnalizator wreszcie rozbłysnął zielenią, ale Sonia nie ruszyła z miejsca.

– Nie żyje.

Tak, ta jaszczurka miała w sobie coś zdecydowanie drapieżnego.

Rozdział 2

Nie widział jej. Nigdy. Majkowski tak, raz, przelotnie, Ranik nigdy.

Sierżant Marek Ranik nie wiedział, jak wygląda córka komisarz Soni Kranz. Zresztą nawet gdyby wiedział, nic by to nie zmieniło. Sprawa podstawowa – osobiście przekazuje się informację, że...

Czuła, jak krew przepływa przez tętnice. Pulsując, przetaczała się i huśtała sercem.

„Nastolatka. Nie żyje”.

Co roku w Polsce zostaje zamordowanych kilkadziesiąt nieletnich. Nie pamiętała dokładnych liczb, ale chyba około trzydziestu, może czterdziestu. Z tego dwie trzecie to małe dzieci, do dziesiątego roku życia. Zostawało więc dziesięć nastoletnich śmierci. Mało, statystycznie rzecz biorąc. Jakie jest prawdopodobieństwo, że właśnie jej córka...

Mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Lekko wyhamowała w okolicy odrapanych budynków na wjeździe do Wałbrzycha. Znowu zobaczyła tych młodych z wózkiem. Czy oni w ogóle zdawali sobie sprawę, jakim szczęściem jest dziecko? Że to z jednej strony cud, taki w wersji mini, a z drugiej odpowiedzialność, i to jak cholernie ciężka, bo przecież nie ma żadnej instrukcji, człowiek działa po omacku, intuicyjnie, tyle może popsuć...

Z trudem utrzymywała kierownicę. Wilgotne palce ślizgały się po skórze, którą była obleczona. Kiedyś jej się to podobało, teraz z obrzydzeniem patrzyła na przybrudzoną biel. Skóra, fragment martwego ciała. Przyspieszyła; drzewa za oknem zmieniły się w ciągłą zieloną linię. Zwolniła przed robotami drogowymi w Unisławiu. Ustawiono tu sygnalizatory, musiała czekać. Wyjęła z przegródki telefon. Drżącymi palcami wybrała numer Julki.

„Abonent...”

Rzuciła aparat na fotel, ostro ruszyła, bo pojawiło się zielone światło.

Kolejny wiadukt, te cholerne zakręciaki, o których zwykle myślała, że malownicze, odbicie na Wczasową i wreszcie skręt do Sokołowska.

To było jedyne miejsce, które Julce się w miarę podobało. Pięknie położone, na wzniesieniu, dawne uzdrowisko. Podobno Davos się na nim wzorowało. Sporo odnowionych budynków, ale i dużo zapuszczonych. Tam mogłaby się ukryć nastolatka, która zwała z domu.

Dlaczego nie przyjechała tu od razu, znaczy rano? Albo choćby teraz, zamiast do tego cholernego Wałbrzycha?!

Musiała zwolnić, budynki stały tu blisko ulicy, ludzie łazili, jak chcieli, zwłaszcza ci przyjezdni, którzy żyli nie wiadomo z czego i spotykali się przy odnawianym właśnie sanatorium – największym w całym mieście, kiedyś na pewno pięknym, w stylu neogotyckim. Hipisiarze i hipsterzy, wychillowani, zawsze na luzie. Robili tu jakieś imprezy, festiwale. Julka coś mówiła, że w wakacje...

Minęła skwer, skrzyżowanie i dojechała do końca asfaltowej drogi. To miało być gdzieś tu, gdzie szlak do Andrzejówki, schroniska górskiego. Była tam raz z Julką, fajne miejsce, podobało im się. Piły sok z borówek, okropnie kwaśny, ale Julka się śmiała. Miała fioletowe zęby i usta. „Wyglądam jak trup”, zażartowała.

Jak trup.

Sonia zobaczyła zaparkowaną policyjną toyotę, a kawałek dalej, na szutrowej drodze – Ranika.

Wyłączyła silnik i wysiadła z auta. Trzęsa się. Próbowwała wyczytać coś z postawy sierżanta, ale on tylko stał i patrzył na nią. Nie wykonał żadnego ruchu.

– Gdzie? – zapytała, wciskając kciuk w zaciśniętą dłoń.

– Tam są resztki jakiegoś domu. I on ją tam... w głowę.

Teraz zauważyła, że Ranik jest lekko blady. Zwykle zaróżowiony, skory do żartów, nagle stracił kolor i rezon.

Ruszyła przez trawę w stronę zagajnika. Było tu lekko pod górkę, ale nie aż tak, żeby brakowało jej tchu. A brakowało.

– Wcześniej on ją chyba zgwałcił.

Żółć podjechała jej do gardła.

Na chwilę przystanęła, odchrząknęła i wypluła zabarwioną na żółto ślinę. Podniosła głowę. Policyjna taśma wyraźnie odcinała się od zielonego tła, ale zarośla były tu bardzo bujne, a trawa wysoka. Natura wzięła to miejsce we władanie, gdyby nie ten biało-niebieski kolor...

I turkusowy.

Turkus. To była turkusowa bluza. Sonia знаła ją bardzo dobrze. Julka taką miała. Ranik stał za jej plecami.

To tylko bluza, podobnych są setki, bezgłośnie mówiła do siebie. Mogłaby od razu dopaść do ciała, które pewnie znajdowało się po drugiej stronie murku – były tu jakieś osypujące się fundamenty, ale ona najpierw chciała wykluczyć tę bluzę, zanegować fakt, że mogłaby należeć do Julki. Do jej córki.

– Rękawiczki. – Miała głos robota.

Krzysiek jej to ostatnio zarzucił. Że jest taka poukładana, taka w ryzach, jak nie człowiek. „Ludzie mają emocje i te emocje czasem biorą nad nimi górę, rozumiesz?”

Jemu chodziło o seks i o to, że nagle uświadomił sobie, że już powoli zjeżdża z górki życia na drugą stronę. Rozumiała to, po prostu była świetna w kontrolowaniu emocji. Nawet teraz, kiedy powinna się rzucić przez te chaszczce, za cegły.

Ranik podał jej pakunek, z którego wyciągnęła dwa lateksowe zwitki. Rękawiczki z trudem weszły na wilgotne dłonie. Kucnęła i odchyliła kaptur. Bluza jej córki miała z przodu znaczek i napis „Stone”. Taki sam jak tu. Kranz chciała sprawdzić rozmiar z metki, ale nie mogła jej znaleźć. To nie były popularne ciuchy z sieciówki, tylko ubranie za kilka stów z dobrego sklepu.

Z trudem się podniosła.

– Ciało, znaczy dziewczyna, jest tam.

Tak jak przypuszczała, Ranik pokazał ręką w kierunku fundamentu z czerwonej cegły. Murek był nierówny i niezbyt wysoki, ale i tak zasłaniał widok na to, co za nim.

Sonia ruszyła w stronę cegieł na sztywnych nogach. „Boże”, mówiła do siebie, choć właściwie była niewierząca, ale w tej chwili tylko ta instancja przychodziła jej do głowy. „Wszystko, tylko nie ona. Wszystko”. Gotowa była nawet umrzeć, teraz, tu, byle tylko...

W kieszeni jej spodni zawibrował telefon. Sięgnęła po niego. Na wyświetlaczu pojawiło się „Julcia”. Puls jej przyspieszył. Przejechała palcem po ekranie, ale bez efektu. Powtórzyła kolejny raz i znowu, następny.

– Kurwa – rzuciła do siebie, ale Ranik też to usłyszał.

Upadła na kolana, upuściła telefon w trawę, zerwała z dłoni rękawiczki, mokre palce wytarła o bluzkę i sięgnęła po aparat, który już przestał wydawać dźwięki.

– Kurwa! – powtórzyła.

Ranik stał obok, nie ruszał się, nic nie mówił.

Weszła w nieodebrane połączenie i nacisnęła słuchawkę. Sygnał, sygnał, sygnał.

– Odbierz, no odbierz! – rzuciła przez zaciśnięte zęby.

– Halo? – Wreszcie po drugiej stronie usłyszała głos Julki. To była jej córka, ale jedno krótkie i niepewne „halo” nie wystarczyło za sto procent pewności. Nie w tej sytuacji.

– Julka? – zapytała.

– No ja, a kto? – Córka próbowała zażartować, choć ton miała niepewny. Nic dziwnego, przecież wywinęła jej taki numer, zwyczajnie zniknęła, a ona się zamartwiała, bo w końcu wypadki się zdarzają i...

Obejrzała się w stronę fundamentów.

– Ty. No pewnie, że ty. – Głos jej drżał.

– Nie jesteś zła...?

– Nie. Nie jestem. Nie jestem zła. Po prostu się martwiłam.

– Wiem, głupio wyszło. Pogadamy, gdy wrócisz? – mówiła przymilnie Julka.

– Pogadamy.

Sonia czuła, że córka jest zdumiona brakiem awantury. Gdyby wiedziała...

– A kiedy będziesz?

– Później. Mam dużo pracy.

– To może ja przyjadę autobusem. Jest taki...

– Nie, nie ma mnie na miejscu. W terenie pracuję. Trochę mi to zajmie. Zadzwo-
nię.

Sonia tym razem spojrzała na leżącą na trawie bluzę. Bluzę jej córki. To nie był czas ani miejsce na pytania, więc dodała tylko:

– Zaczekaj w domu, nigdzie nie wychodź, dobrze?

– Pewnie. Jestem zmęczona, prześpię się.

– Ale wszystko w porządku?

– Tak.

– Zamknij drzwi, dobra?

– Dobra, dobra, pani komisarz. – Julce wrócił humor. Bała się awantury. Skąd miała wiedzieć, że matka ucałowałaby teraz ziemię, na której stała.

– Kocham cię.

W przeszłości Sonia powtarzała to całkiem często, ale te słowa od dawna już nie miały takiej mocy.

– Ja ciebie też – powiedziała Julka, wciąż lekko zdziwiona.

Nic dziwnego, w końcu to nie jej najbliższa osoba umarła i zmartwychwstała.

Sonia wsunęła telefon do kieszeni i spojrzała na Ranika. Nie odzywał się, uciekł wzrokiem. Próbował zrozumieć scenę, której właśnie był świadkiem. Nie miała ochoty mu o niczym opowiadać, zresztą co by do niego tak naprawdę dotarło. Bez żony, bez dzieci – jeszcze niewiele w życiu przegrał i stracił.

Dziewczyna była ładna, delikatnej urody. Długie jasne włosy, niebieskie oczy. Podobna do Julki.

Fala ulgi przepłynęła przez ciało Soni. Była w pracy, stała nad przerwany nagle i brutalnie młodym życiem, a i tak myśl „to nie Julka, Julka jest bezpieczna” pchała się naprzód i wypełniała ją oczyszczającą, egoistyczną ulgą.

Wzięła kilka głębszych oddechów.

– Smutno, nie?

Ranik źle zinterpretował jej westchnienie. Pomyślał chyba, że się przejęła, że nie radzi sobie z takim widokiem.

– Smutno – odparła krótko. – Kto ją znalazł?

– Dębski, ma tu dom. – Sierżant kiwnął głową w stronę budynku, który stał kilkadziesiąt metrów dalej. Nie wyglądał najlepiej, nawet z tej odległości. Obok stał facet, wysoki, lekko zgarbiony, z długimi włosami. Wyglądał zdecydowanie lepiej niż dom.

– Mieszka tu na stałe?

– Nie. Na stałe jest w kamienicy w centrum, a to sobie remontuje. Sam, więc pozwoli mu iść. Przychodzi tu, kiedy ma czas. Dziś też był. I zauważył, że trawa jakaś pomięta, jakby ktoś coś ciągnął. – Sierżant spojrzał na ciało, a potem na ziemię. – A przy wejściu plama. Podobno od razu pomyślał, że coś się stało, i poszedł za tym śladem, aż tu.

Sonia przyglądała się teraz wygniecionej trawie, która wyglądała jak ścieżka prowadząca od domu do fundamentów.

– A co to za koleś? Może mieć z tym coś wspólnego?

– Nie, raczej nie. Dziwny, ale nie w ten sposób.

– A w jaki?

Ranik wzruszył ramionami.

– Inny. Taki z marginesu. Nie że opieka społeczna, po prostu z marginesu życia. Nie żyje jak inni.

– Znaczy bez rodziny, pracy na etacie, kredytu, tak?

Skinął głową. Widać było, że taki styl mu nie odpowiada. Sierżant Ranik lubił tradycyjne wartości. Rozwiązania. Rutynę.

– Rękawiczki. Proszę.

Znowu podał jej opakowanie.

Nachyliła się nad zamordowaną. Dziewczyna była młoda, na pewno nie skończyła osiemnastu lat. Sylwetkę miała już mocno kobiecą – wyraźnie zaznaczone pod T-shirtem piersi, sporo szersze od talii biodra, krągłe uda. Na jednym z nich Sonia zauważyła białą plamę. Szorty miała rozpięte, ale nie zsunięte.

– Chyba sperma – odezwał się Ranik.

– Może być. Ale jest ubrana i na pierwszy rzut oka nie widać, żeby ktoś próbował zedrzyć z niej ubranie. Skąd pomysł o gwałcie?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Bo po co ktoś by napadał na taką ładną dziewczynę?

Sonia przyglądała się zabitej. Na rękach i nogach miała kilka świeżych zadrapań, na opuszkach palców czerwień. Zamek szortów był do połowy rozsunięty, ale tylko tyle. Same spodenki i koszulka były nieuszkodzone. Trochę sprane, ale generalnie czyste i wyprasowane, choć... tył spodni miał zielonkawe smugi, koszulka też. Tak, ktoś ciągnął ciało po trawie. Beżowy T-shirt, beżowe, trochę ciemniejsze szorty. Niespecjalnie modne, z tego, co się orientowała, na pewno nie za dużą kasę. Trampki też – żadne conversy czy vansy, zwyczajna guma ze sklepu sportowego. Bluza zupełnie tu nie pasowała, ta firma naprawdę była droga, Sonia to sprawdziła. Nawet chciała zapytać Julkę, czy wie, ile te ciuchy kosztują, i czy nie robi tego specjalnie, żeby ojciec choć finansowo poczuwał się do rodzicielstwa. Nie zapytała,

ale bluzę zapamiętała bardzo dobrze. I ta bluzka nie pasowała do reszty dziewczyny. Wyczuwało się w tym jakąś nieprzystawalność. Było w tym obrazie coś nieprawdziwego.

– Może ona najpierw chciała, a potem nie? – Ranik też próbował rozwikłać tę sprzeczną sytuację, choć jego myśli biegły innym torem.

Wpatrywała się w twarz zamordowanej. Gładka cera, jasne brwi i rzęsy. Nieumalowana, włosy też miała nietknięte chemią. Uszy przekłute, ale bez kolczyków. Brak pierścionków, naszyjników czy innej biżuterii. Młodzi byli do siebie podobni, zawsze tak jest, że dążą do jakiegoś wspólnego wzorca, stylu: jednakowe ciuchy, fryzury, makijaże. Ta dziewczyna była inna, trochę jakby nie z tego pokolenia. I chyba młodsza, niż jej się z początku wydawało. Twarz miała bardzo dziewczęcą, brak makijażu to podkreślał. Mogła mieć jakieś piętnaście lat. Czy w tym wieku w ogóle się wie, czego się chce? Zmienność to jedyna stała. I czy taka dziewczyna chciałaby seksu w chaszczach? Jasne, Sonia mogła się mylić, ale nie powinna lekceważyć pierwszych wrażeń, a te mówiły jej, że zamordowana była ofiarą, która w żaden sposób nie sprowokowała swojego losu.

Pochyliła się bardziej, żeby obejrzeć ranę. Spora, pewnie głęboka, teraz już ze skorupą zaschniętej krwi, która zdążyła zabarwić na bordowo pojedyncze pasma jasnych włosów. Uderzenie w skroń musiało być silne, pewnie ono spowodowało śmierć. Rana nie wyglądała dobrze, lecz widok byłby zdecydowanie gorszy, gdyby krew rozlała się po twarzy, tymczasem spłynęła między włosy. A przecież to prawie niemożliwe, żeby nie było żadnego rozbryzgu. Przyjrzała się jeszcze raz – nic, czyści, choć... W okolicy ucha, do szczytu policzka zauważyła różową poświatę. Jeśli nie był to kosmetyk, ślad po jakimś jedzeniu, mogła to być krew, a raczej smuga po jej starciu. Z tyłu głowy, mniej więcej na wysokości potylicy, dostrzegła wplątane we włosy źdźbła trawy.

Obejrzała dłonie dziewczyny – czyste, krótkie paznokcie, brak zadrapań, jakby wcale się nie bronila. Ten kolor na opuszkach mógł być krwią, ale mógł też pochodzić od czegoś innego.

Zauważyła, że z tylnej kieszeni bawełnianych szortów coś wystaje. Telefon. Wyciągnęła go powoli. Starszy model w trochę przetartym już etui w kwiaty. Ekran pokryty siatką delikatnych rys. Wcisnęła przycisk z boku, ale tło pozostało czarne.

Kiedy odwróciła się w stronę Ranika, zobaczyła, że już trzyma w ręku strunowy woreczek.

– Pewnie rozładowany – powiedziała, wkładając do środka telefon. – Trzeba jak najszybciej go sprawdzić. Poza tym nie widzę żadnych innych przedmiotów, choć w tych chaszczach może coś być.

– Zgłosiłem zapotrzebowanie na technika.

„Zapotrzebowanie na technika”. Kiedy sytuacja robiła się poważna, Ranik wchodził w oficjalną, sformalizowaną narrację.

– A prokuratorka...?

Choć jednocześnie zapominał o hierarchii. Spojrzała na niego chyba zbyt ostro, bo się zaczerwienił. Od początku starała się nawet na chwilę nie wypaść z roli, żeby zawsze było jasne, kto tu jest szefem, czyli kierowniczką. Jak widać, słusznie. Obaj sierżanci czasem przekraczali granice. Kranz nigdy. Zasady organizowały świat.

– Zadzwońię.

Przeniosła wzrok w stronę domu. Facet, który tam stał, gdzieś zniknął. Poszła wzdłuż ugniecionego pasa trawy. Tak, ktoś musiał tędy ciągnąć ciało, za nogi, bo stopy stawiałyby opór, zostawiając inny ślad. Rozglądała się, ale niczego nie wytrzymała.

Doszli do budynku. Niby remontowany, ale – przynajmniej z zewnątrz – zupełnie nie było tego widać. Ratowało go to, że był po prostu ładny i solidnie zbudowany, czego resztki po tych stu latach wciąż dało się dostrzec.

– Mieliśmy tu zgłoszenie włamania – powiedział Ranik. – Zaraz przed twoim przyjazdem.

– Co zginęło?

– W sumie to nic. Jak już powiedziałem, Piotr Dębski, który mieszka w centrum Sokołowska, kupił tę ruinę i ją remontuje. Mówi, że chce tu zamieszkać, ale na pewno mu się nie spieszy, bo w kamienicy ma lokal od znajomego. Takie hobby raczej sobie z tego remontu zrobił.

– Trzyma tu jakiś sprzęt, coś wartościowego?

– Coś trzyma, jakiś cement czy farbę, ale kto by się połakomił, jak to już otwarte i w małej ilości?

– No ale ktoś się jednak połakomił. To na co?

Ranik spojrzał na nią przeciągle.

– Tu były książki.

– Zginęły książki?

– Odwrotnie: ktoś je przyniósł.

– Ktoś się włamał, żeby zostawić tu książki? – Sonia też na chwilę odstąpiła od swojego profesjonalizmu, ale to, co mówił sierżant, brzmiało dość dziwnie.

– No, tak było. Ktoś rozwierteł zamek, wszedł i porozkładał na ziemi książki.

– Czyli one były w środku.

– Nie do końca. Dębski mówi, że on tu co i raz znajduje jakieś dziwne rzeczy gdzieś schowane, za piecem na przykład czy w komórce. Niektóre książki były jego, fakt, niektóre kupił razem z tym domem, ale kilku nie kojarzył. A on z takich, co to czytają, więc raczej wie, co mówi. Ktoś się włamał i poukładał wszędzie na podłodze książki, pootwierane, tak o. – Wykonał ruch ręką. – I jeszcze na ścianach porobił napisy kredą. Satanistyczne. Trzy szóstki i inne dziwne znaczki.

– I?

Albo Ranik mówił nieskładnie, albo to był jakiś wygłup, albo...

– I jeszcze powiedział, że ten ktoś zgwałcił mu psa. – Wzruszył ramionami, jakby chciał pokazać, że od tego ostatniego się dystansuje.

– Co wykazało śledztwo?

– Nic. No bo w sumie szkodliwość czynu znikoma, nic nie zginęło, nawet przeciwnie, a ten pies... Podobno uciekł, a jak już wrócił, to Dębski niczego nie chciał zgłaszać, więc... – Rozłożył ręce.

– On jest poczytalny?

– Tak. – W głosie Ranika zabrzmiała nuta smutku. – Trochę pije, ale kulturalnie, niezłe wino. Jest po prostu dziwny, mówią na niego filozof. O, tu. To tu. – Spojrzeniem wskazał na sporą ciemnoczerwoną plamę.

Kawałek dalej leżała kupka piasku, na trawie też był rozsypany piach, dlatego plama była dobrze wyraźna – odcinała się od tła.

Kranz kucnęła. Sporo krwi wsiąkło w grunt; dziewczyna musiała tu już leżeć jakiś czas. Głowę miała przy ścianie budynku, potem została przeciągnięta za nogi do fundamentów – tak to musiało wyglądać. Sonia przypatrywała się wytyczonemu w trawie szlakowi. Nigdzie nie zobaczyła krwi, co mogło oznaczać, że od chwili zabójstwa musiało upłynąć trochę czasu. Więcej niż kilkanaście minut. Jeśli ktoś ją

zgwalił, to tu czy tam? Ślady spermy, jeżeli to była sperma, sugerowały, że tam, bo zatarłyby się podczas ciągnięcia. Jeśli jednak tu, dziewczyna już wtedy najpewniej nie żyła. Czyli zgwałcił ją, ubrał z powrotem, przeciągnął i co? Zgwalił ponownie? Ale po co by ją wtedy ubierał? Chyba że za pierwszym razem wystarczyło mu podniecenie wynikające z zadawania jej bólu i dopiero później dokonał gwałtu? Bo po co inaczej miałyby czekać? A może to w ogóle inny powód i inna historia?

– Żal. Kurde, naprawdę jej żal. Jak ją zobaczyłem, to... – Sierżant przełknął ślinę. – Taka młoda i już po wszystkim.

– Ten Dębski ją zna?

– Nie, mówi, że nie. Włóczą się u nas różni tacy, cudem jeszcze żywi, a ona, tutaj... – Ranik pokręcił głową. – Trzeba będzie rodziców zawiadomić. – Spojrzał na worek strunowy, w którym trzymał znaleziony telefon.

Sonia pomyślała, że to będzie trudne i to ona będzie musiała się z tym zmierzyć. Fakt, że sama była matką i miała dziecko w podobnym wieku, niczego nie ułatwiał, wręcz przeciwnie.

– Myślisz, że ona jest tutejsza? – zapytał Ranik.

Pokiwała głową.

– Myślę, że tak.

Zorientowała się już, jacy turyści przyjeżdżali do Sokołowska. Slow life, zero waste, dostatek niby to maskowany porozciąganymi T-shirtami i wyblakłymi japonkami. To byli ludzie, którzy dużo mogli, niewiele musieli. Obraz się zmieniał, gdy spojrzeć na pacjentów ze szpitala płucnego albo z domu opieki, ale to były klimaty geriatryczne, a tu mieli dziewczynę.

– Technik już jest. – Ranik spojrział w kierunku ich zaparkowanych aut, do których podjechał teraz trzeci samochód. – Majkowski też wkrótce przyjedzie.

Sonia zdjęła rękawiczki i wyjęła z kieszeni telefon. Wybrała kontakty i przejechała palcem pod literę P – „Prokuratura Wałbrzych – Joanna Mitaj”.

Kiedy czekała, aż po drugiej stronie rozlegnie się głos, zauważyła, że kawałek dalej, wśród drzew przy drodze, zarysowuje się jakiś cień. Chwilę potem się poruszył. Po kilku sekundach na drodze pojawił się mężczyzna – chyba ten sam, który wcześniej im się przyglądał, na pewno tak samo chudy i wysoki. Szedł, nie oglądając się za siebie. Wyglądał jak w teatryku cieni – chował się za drzewami i wyłączał z nich. Ciemno-jasno, ciemno-jasno, ciemno-jasno.

Pomyślała, że to jak zapowiedź tej sprawy.

Rozdział 3

– Wciąż w pracy. – Sonia odchyliła się na krześle i sięgnęła po kubek z kawą.

Była niedobra, ale ona potrzebowała kofeiny. Kiedyś piła inną, ekologiczną, niby też rozpuszczalny drugi sort, tyle że bez kwaskowatego posmaku, sama gładka łagodność. Pięć dyszek za nieduże opakowanie. Teraz brała opakowanie typu family w biedrze. Co za ironia – kiedy była żoną, kupowała kawę jak dla singielki, a kiedy została singielką, ładowała do koszyka wariant rodzinny.

– A kiedy będziesz? – Córka była chyba trochę zaniepokojona.

– Jeszcze godzina, maksymalnie dwie.

Sonia spojrzała na zegarek – dochodziła siódma.

– Mamo, a co ty właściwie robisz? Bo może jesteś na mnie zła?

Julka zdążyła skruszeć i znowu była jej małą córeczką.

– Nie, no co ty. Mówiłam, to nagła sprawa. Pogadamy w domu.

– Okej. A jutro może byśmy sobie zrobiły ognisko? Takie wakacyjne, wiesz, za domem.

Sonia pomyślała, że jutrzejsza sobota będzie pracująca, niedziela zresztą też, ale odmowa to zły pomysł, potrzebują przecież wspólnego czasu. Zresztą może naprawdę się uda.

– Dobra, zrobimy.

– To ja pójdę pozbierać gałęzie.

Stała jej przed oczami turkusowa bluza i twarz zmarłej.

– Nie! – zaprotestowała, zbyt gwałtownie.

– Już mi przeszło zwiewanie.

– I super. Ale mimo wszystko i tak chcę, żebyś została w domu. Ta sprawa... – Zawahała się. Bluza nie dawała jej spokoju. Na tym etapie pozostawała tylko niepokojem, zresztą nie chciała poruszać tego tematu przez telefon. Może to był zwykły przypadek. A może nie. – Mieliśmy zgłoszenie o sforze bezpańskich psów. Nie-

bezpiecznych, wygłodzonych. Dlatego nie chcę, żebyś wychodziła z domu, jasne? Trochę drewna jest w komórce, wystarczy.

– Jasne. – Julka dała się przekonać, Sonia przynajmniej miała taką nadzieję. – W takim razie kup węgiel albo coś takiego, tak na wszelki wypadek.

Kranz wstała od biurka i podeszła do okna. Na placu toczyło się zwyczajne późnopiątkowe życie. Na ławkach w podcieniach kamienic dokoła siedziały i stały grupki mężczyzn. Przeważnie starszych, bo tutaj, wbrew światowym tendencjom, pięćdziesiątka to była siedemdziesiątka. I to wcale nie nowa. Odnosiło się wrażenie, że mieszkają tu przede wszystkim faceci; byli elementem statycznym. Kobiety za to przebywały w ruchu, przemieszczały się z pracy do sklepu i do domu i tam zostawały. Dwa oddzielne światy.

Nikt nie szukał tej dziewczyny. W Dolnośląskim pojawiły się dwa zgłoszenia zaginięcia nastolatek, ale jedno zdążyło się zdezaktualizować, a druga poszukiwana była ciemną brunetką.

Zamordowana nie żyła od kilku godzin, za krótko, żeby się niepokoić. Pewnie wyszła z domu rano, może przed południem. Nie mogła mieszkać daleko, nie miała przy sobie żadnego plecaka, chyba że ktoś go ukradł. Nie wyglądała, jakby spędzała dużo czasu na zewnątrz – przeciwnie, była zadbana, czysta. Buty miały wciąż nieznoszoną i niezabrudzoną podeszwę. Za plastikowym etui na telefon było schowane dwadzieścia złotych.

Nie znaleźli żadnych szczególnych śladów. Puszka po jakiejś konserwie, stara, etykieta wypłowiała. Butelka po oranżadzie, zdecydowanie nowsza. Kawałek sznura, też leżącego tam już jakiś czas, zmiętolona foliówka z wykwitem glonów. Z tego zestawu tylko flaszka mogła mieć znaczenie.

Narzędzia zbrodni brak, ale przecież trudno było oczekiwać, że zabójca je zostawi. Choć jeśli to naprawdę była sperma...

Joanna Mitaj zadawała pytania, na które Kranz nie znała jeszcze odpowiedzi. Wcześniej spotkały się tylko raz, przelotnie. Prokuratorka okazała się młoda, bardzo młoda, w okolicach trzydziestki. Wypisz wymaluj absolwentka studiów prawniczych – schludna, odprasowana, w sam raz umalowana. Pełny profesjonalizm, przynajmniej na zewnątrz, bo w środku ją jednak trzepnęło. „Taka młoda. Mam siostrę w podobnym wieku”.

Sonia miała córkę w podobnym wieku. I dziś przeszła ćwiczenia z jej utraty. Matka tej dziewczyny jeszcze nie wiedziała. Jeszcze przez ten darowany czas miała córkę. To Sonia ją jej odbierze, bo to ona będzie musiała zawiadomić rodzinę, kiedy już dostanie dane z telefonu.

Chodziła po pokoju, od ściany do ściany. Musiała się ruszać, świat nie mógł się zatrzymać. Stał, kiedy Krzysztof powiedział, że ich wspólne życie dobiegło końca. Pierwszy moment w dorosłości, gdy nie mogła zrobić kroku naprzód. „Potrzebujesz wyciszenia”, powiedziała Magda. Teoretycznie miała rację, praktycznie cisza i bezruch były koszmarne. „Konfrontują cię ze sobą”. Owszem, i to właśnie tak ją przerażało.

Zobaczyła podjeżdżający pod posterunek radiowóz. Chwilę później Ranik i Majkowski weszli do środka.

– Jak poszło? – zapytała.

– Dobrze – powiedział Ranik.

– Słabo – skontrolował Majkowski.

Przez chwilę patrzyli na siebie z ukosa.

– Dane z komórki będą jutro. Wtedy sprawa ruszy do przodu – odezwał się znów Ranik.

– Jacyś ludzie wracali z Andrzejówki, zrobili sobie krzywy skrót i weszli na ten teren. Od razu zaczęło się dopytywanie, takie niezdrowe zainteresowanie. Przyjezdni, na pewno szybko rozniosą. – Majkowski westchnął. – Dla sprawy źle, dla turystyki też źle.

Jego matka prowadziła w Chełmsku Śląskim sklep z pamiątkami i poważnie myślała o jego zamknięciu. Majkowski się martwił, był chyba mocno związany z matką, zawsze bardzo ładnie i czule o niej mówił. O ojcu nigdy nie wspomniał.

– Tu z turystów nie da się wyżyć, choćby nie wiem co. – Ojciec Ranika świadczył usługi hydrauliczne, matka dojeżdżała do pracy w Wałbrzychu, do ratusza.

– Tu w ogóle trudno żyć – stwierdził Majkowski.

Tej młodej wcale się nie udało, pomyślała Sonia.

W oknach było ciemno, drzwi zamknięte. W pierwszej chwili Kranz się przestraszyła; od razu w jej głowie pojawił się obraz zabitej dziewczyny, tyle że miała twarz Julki.

Ręka lekko jej drżała, gdy wkładała klucz do zamka. Pomyślała, że córka jednak nie posłuchała i wyszła, a teraz...

Klucze leżały na półce przy wejściu. Czyli nie dość, że posłuchała, to jeszcze pamiętała, żeby je wyjąć, bo inaczej nie można było otworzyć drzwi z zewnątrz. Stary, poczciwy zamek.

Sonia zapaliła światło w korytarzu i poszła do pokoju Julki. Delikatnie pchnęła drzwi; zawiasy skrzypnęły, trzeba będzie je naoliwić. Tak myślała za każdym razem, a potem zapominała się tym zając. Nigdy wcześniej nie miała takich obowiązków. Mieszkała w nowym domu, gdzie rzadko co się psuło, a jeśli już, to byli od tego fachowcy. Teraz żyła w stuletnich murach i sama się musiała zajmować różnymi naprawami.

Julka wybrała najmniejszy pokój, gościnny o prostym wystroju – białe ściany, sosnowe meble – który z wolna coraz bardziej naznaczała swoją obecnością.

Leżała w łóżku i spokojnie oddychała. Przez niezastłonięte okno dostawał się tu blask księżyca. Poświata rozjaśniała poduszkę i głowę. Sonia wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła córkę po włosach. Były takie ładne: gęste, gładkie, jasne. Znowu pod powiekami zobaczyła tamten obraz. I znowu zamordowana miała twarz jej córki.

Otrząsnęła się. To tylko złe myśli. Stres, nerwy, głupie projekcje.

Poczuła, że dotyka czegoś butem. Spojrzała w dół. Ciuchy, jasne. Julka wciąż uznawała, że podłoga przy łóżku to najlepsze miejsce na zostawienie ubrań. „Rano sprzątnę”, powtarzała. Sonia nie zasnęłaby w takich warunkach, zresztą w domu rodzinnym musiała trzymać porządek, takie zasady tam panowały. Wiele zasad.

Westchnęła i schyliła się po szorty oraz T-shirt. Bieliznę pewnie jednak Julka wrzuciła do kosza na brudy. Dziś Sonia mogła sprzątać po córce i nawet jej to nie zirytowało. Już się miała podnieść, kiedy zobaczyła, że pod łóżkiem leży coś jeszcze. Dotknęła – materiał, czyli kolejny ciuch. Przez moment pomyślała, że to jednak przesada, żeby podłoga zastępowała szafę, ale wzięła głębszy oddech i jej przeszło.

Wyprostowała się. Teraz stała na wprost okna, w srebrnobiałej poświacie księżyca. W ręku trzymała bluzę. Turkusową. Przesunęła materiał tak, żeby spojrzeć na znaczek – napis „Stone” był na miejscu. Przysunęła materiał do twarzy – pachniał Julką, to znaczy jej mgiełką do ciała.

Przypadek. Tam, przy tych fundamentach, z tą drugą, identyczną bluzą, to był po prostu przypadek.

Nie ma przypadków, natychmiast przeleciało jej przez głowę.

Przewiesiła ubrania na oparciu krzesła, przez chwilę jeszcze wsłuchiwała się w spokojny oddech Julki i wyszła z pokoju.

Włączyła czajnik i sięgnęła po puszkę z herbatą. Lubiła gorące napoje, bez względu na porę roku. Zresztą mimo upałów tu było całkiem rześko. Okna wychodziły na północ, w kuchni zawsze było najzimniej, zwłaszcza że blisko budynku stała potężna ściana buków.

Zalała torebkę wrzątkiem. Zawahała się, czy robić jakąś kanapkę, ale uznała, że danie na tacce, które sobie odgrzała na posterunku, wystarczy za kolację. Wciąż była trochę głodna, bo porcja nie powalała wielkością ani smakiem i w ogóle nie bardzo przypominała to, czym miała być, czyli danie indyjskie, ale stwierdziła, że o tej porze to już tylko jakiś owoc. Spojrzała na paterę, gdzie leżały jabłka. Dotknęła ich po kolei – wszystkie miały lekko pomarszczoną skórkę. W sklepie, po wyjęciu z chłodni, wyglądały okej – gładkie, twarde. Jedna doba odsłaniała prawdę – były z poprzedniego sezonu, stare.

Spojrzała w lustro. Nigdy wcześniej w żadnej kuchni nie widziała lustra. Tu wisiało na ścianie, nad stołem, na wprost krzesła. „Powiesiła je, żeby nie czuć się samotnie”. Magdę też to zaintrygowało, dlatego już wcześniej zapytała o to ciotkę i teraz miała gotową odpowiedź.

Lustro, jak większość przedmiotów w tym domu, było wiekowe. Miało cynkową ramę i plamy śnieży, opalizujące niczym benzyna, która skapnęła do kałuży – rozpełzły się po brzegach, kilka mniejszych wykwitło także pośrodku. Każdy, kto się w nim przeglądał, przyjmował warunki, jakie stawiało – też godził się na spatynowanie.

Julkę to śmieszyło, robiła głupie miny, cyknęła sobie nawet fotkę komórką, obrobiła i wrzuciła na Fejsa z podpisem „Ja w XIX wieku”.

Potem, kiedy odezwali się znajomi z dawnej szkoły, humor jej skisł. „Utkniemy tu”, powiedziała i poszła do swojego pokoju.

Młodość nigdzie nie utknie, pomyślała Sonia, to wbrew jej naturze. Młodość to pęd, naprzód, naprzód.

Chyba że ma się takiego pecha jak ta dziewczyna.

Poczuła skurcz – smutku i żalu, ale i obawy, czy sobie poradzi. Tak było na początku każdej sprawy. Chodziło o to, by ją rozwiązać, żeby sprawiedliwości stało się zadość. W sumie to powiedzenie nie do końca do niej przemawiało, bo sprawiedliwie byłoby, gdyby zabici mogli żyć, ale w niedoskonałych warunkach za tę sprawiedliwość musiała robić słusznie i skutecznie wymierzona kara, poprzedzona dobrym śledztwem. Chodziło jednak o coś jeszcze – by się sprawdzić, wykazać. Pokazać, że daje sobie radę.

Dawała sobie, ale teraz czuła się niepewnie. W końcu jedna istotna sprawa nie wyszła – małżeństwo. Skończone po siedemnastu latach, nie z jej inicjatywy. Przegapiła oznaki, nie połączyła kropek, nie zachowała czujności. Jasne, to był dom, nie praca, tu człowiek powinien się odprężyć i ufać, ale czy to wszystko tłumaczyło? Policjantka, która nie widzi, że mąż ją zdradza?

Musiała w końcu powiedzieć matce, przecież i tak by się dowiedziała. „Zadowolony mężczyzna nie szuka innej kobiety”. Odpowiedziała: „Aha”, i się rozłączyła. Zaraz potem chciała oddzwonić i wypalić: „To porozmawiajmy o ojcu”, ale się powstrzymała. To nie miało sensu. Przez mur, który matka wzniosła wokół swego małżeństwa, nie dało rady się przebić. O żywym ojcu nie można było mówić źle, martwy dostał status absolutnie nietykalnego.

Sonia nie układała żadnych cegieł, uważała, że jest szczęśliwa i ma dobre życie. Prawdziwe, nie jak matka.

Widać automanipulację się dziedziczy.

„Nie chodzi o ciebie”, powiedział Krzysiek w ramach wstępu. Chodziło o niego i o tę drugą. Z Sonią wszystko jest okej, tylko po prostu już do siebie nie pasują.

Zastąpiła ją dziewczyna o dychę młodsza, ładniejsza, bardziej kobieca.

Nie, no skąd by miało chodzić o nią.

Magda wkładała jej do głowy, że to w żaden sposób nie narusza wartości Soni, zwłaszcza tych wewnętrznych, że jeśli Krzysztof tak wybrał, chodzi o coś w nim, a w ogóle każda zmiana jest dobra, tyle że trzeba czekać, by to zobaczyć.

Spojrzała w lustro. Wyglądała teraz jak te pomarszczone jabłka. Jakby ona też była z poprzedniej kolekcji.

Wstała od stołu i poszła do łazienki. Szybki, gorący prysznic zawsze ją stawiał na nogi.

Rozebrała się i weszła do wanny. Spojrzała na swoje ciało. Nie było stare, nie było wiotkie. Piersi miała jędrne i gładkie. Dotknęła ich dłonią. Przyjemne. Brakowało jej tego. Skóra zaróżowiła się od kontaktu z parującą wodą. Naczynia krwionośne się rozszerzyły, puls przyspieszył. Sygnał, że wydarzy się coś przyjemnego, odebrany. Ciało, na poziomie fizjologii, działało niezależnie od głowy. Chciało przyjemności, łapało się różnych bodźców, pokazywało, gdzie i jakie ma deficyty. W głowie zostały mętlik i opór.

Zakręciła kurek z ciepłą wodą (dla Julki to była absolutna nowość – dwa pokręta zamiast jednej wajchy). Z rur popłynął chłód. Różowość zbladła i pokryła się gęsią skórką. Sonia wytrzymała przez trzydzieści sekund, potem szybko wytarła się ręcznikiem. Umyła zęby, trochę dygocząc, i poszła do sypialni.

Czuła się tak, jakby przywrócono jej ustawienia fabryczne. Zasnęła prawie od razu.

– To gdzie wczoraj byłaś? – Sonia zaczęła delikatnie, przecież nie prowadziła przesłuchania.

Julka się przeciągnęła. Wyglądała bardzo ładnie. Mimo wszystko pobyt tu jej służył – dużo więcej czasu spędzała na powietrzu, więcej się ruszała. Była już lekko opalona i chyba trochę urosła. Spojrzała na matkę. Nie wyczuła zagrożenia, więc zaczęła mówić.

– W sumie to poszłam przed siebie. W góry. To znaczy najpierw w górę. Kawałek za naszym... za tym domem jest droga w prawo, bardzo stromo. Hardkor, normalnie prawie pionowo. Tak się spociałam, że od razu zrobiło mi się gorąco i zdjęłam bluzę.

Sonia popatrzyła na córkę. To był dobry moment na pytanie.

– Tę od ojca? Wyciągnęłam ją spod łóżka.

– Nic jej nie będzie. – Julka spochmurniała.

– No nic, ale wiesz, to drogi ciuch i...

– Ojca stać.

No i spalony, pomyślała Sonia.

– Wiem. Tak ogólnie mówię. No dobra, to co dalej?

– Zdechła doczłapałam się na szczyt. Taki sobie, bo te góry to nie Tatry, tu wszystkie szczyty trochę płaskie i mało co widać, bo dokoła drzewa. Ale było ładnie i nawet można było usiąść. Lesista się nazywa to miejsce. Mogłybyśmy kiedyś pójść razem. I jeszcze z psem. To jest dobry moment na psa, bo zobacz, ja mam wakacje, tu jest tyle miejsca do biegania, spacerów. – Popatrzyła prosząco na matkę.

– Już o tym mówiłyśmy, pamiętam – powiedziała Sonia. Moment byłby całkiem niezły, gdyby akurat nie szukała zabójcy. – Zresztą psa byś chyba nie targała w góry? – Ona nigdy nie miała psa, matka uważała, że to tylko obowiązek i kłopot. Niedługo będzie szansa, żeby to sprawdzić.

– Targała? Psy lubią chodzić po takich miejscach, naturę w ogóle lubią. Zresztą właśnie tam, na Lesistej, widziałam faceta z psem.

Sonia się spięła. Tak, były tu szlaki, jeden nawet obok ich domu, ale generalnie te tereny to pustkowie, dzicz. Do Andrzejówki jeszcze ludzie szli, choć sporo wybierało dojazd samochodem, a potem piwo i na leżak. Inne szlaki świeciły pustkami – sama natura bez gastronomii i innych tego typu atrakcji nie pociągała. Ranik miał rację: z turystyki ledwo dało się tu wyżyć. Tym dziwniejsza była ta sytuacja.

– Faceta? Znaczy turystę?

Julka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, nie pytałam. Nie wyglądał, jakby właśnie wyszedł z Decathlonu, jeśli to masz na myśli. Zwyczajnie, jakby był tutejszy. Znaczy nie taki oblech z brzuszkiem od piwa, jak u ciebie pod posterunkiem. Taki raczej jak ci z Sokołowska, przyjezdni.

– A konkretniej?

– No co konkretniej? Zwykły. Wysoki, chudy, trochę hipis, ale przystojny. Włosy też miał dłuższe.

Staął jej przed oczami Dębski. Opis pasował. Pies też.

– Rozmawiałaś z nim?

– Trochę.

– A o czym?

– Jezu, mamu, daj spokój! Myślisz, że chciał mnie zamordować?

Sonia przez chwilę milczała. Potem, starając się o neutralny ton, powiedziała:

– Nie, no skąd. Trochę się boję, jak matka, nie jak policjantka. Po prostu tu jest odludnie, a ludzie mają różne intencje.

– Ten miał dobre. Fajny był. Trochę kripsi, ale luz. I psa miał śmiesznego, taki kundel, całkiem spory, też miał długie włosy i był raczej chudy. Podobni do siebie, tyle że ten pies to czarny, a facet siwawy. Jak szaman.

– Aha.

To było „aha”, którym Sonia – nie wprost – dopraszała się o rozwinięcie tematu, gdy Julka nie była zbyt wylewna.

– No dobra. Pytał, skąd jestem, ale to było spoko. Powiedział, że zwykle nikogo tu nie spotyka, a tu nagle taka dziewczyna. – Julka się zarumieniła.

Tak, w tym właśnie wieku dziewczyny się rumieniły, bo zainteresowali się nimi starsi faceci.

– W sumie też powiedział, żebym uważała. Więc luz, mamu.

Sonia była napięta jak struna. Julka wstała o szóstej, na górę dotarła wcześniej rano. To mógł być Dębski, spokojnie by zrobił taką trasę i wrócił do Sokołowska. Ile to by mogło mu zabrać? Trzy–cztery godziny? Na razie nie był podejrzany, ale kto wie? I znowu przypadek.

– No, a potem to sobie poszłam w stronę Wałbrzycha. – Julka już odpuściła temat faceta i psa, co znaczyło, że nie miała żadnej traumy po tamtym spotkaniu. – Na mapie to wszystko wygląda inaczej, bliżej, łatwiej. W rzeczywistości trzeba się nachodzić. I trochę się zgubiłam. Zaliczyłam jeszcze Dzikowiec, a potem jakoś tak poszłam, że mi się wszystko poplątało. Nie włączyłam komórki, bo wiesz... – Spuściła głowę, ale szybko odzyskała rezon. – Wyszłam przy jakimś wyciągu. Na dole widziałam nawet knajpkę, ale zamkniętą. Pusto, szlaku nie było, ale były tory. Stare, zarośnięte. Pamiętasz, jak kiedyś mówiłaś, że jakbym się zgubiła w takim terenie, mogę iść wzdłuż torów? No to poszłam. I wiesz, co było śmieszne? Że ja sobie szłam środkiem, bo to naprawdę wyglądało, jakby nic nie jechało tamtędy od lat. I jeszcze był wiadukt, stary, długi, wysoki. Mógłby grać w filmach, zagranicznych. Super, nawet chciałam zrobić zdjęcie. A za tym wiaduktem był przystanek.

– Autobusowy?

– Nie, no jak? Kolejowy. Czyli tam jeździ pociąg! A przystanek jest na żądanie. Odpał, nie?

– A gdyby jechał akurat wtedy, kiedy szłaś torami?

– Luz, mamó. Raz dziennie jest. Poza tym bym usłyszała.

– Nie miałaś słuchawek w uszach?

Julka na chwilę przestała się uśmiechać. Ostatnio nawet w domu używała słuchawek, jakby nie chciała, żeby Sonia miała dostęp do tego, co jej się sączy do głowy. Prawo nastolatki – nie cisnęła, choć martwiła się o słuch córki.

– No, miałam, bo zabrałam mp3, bo telefon... wiesz... Ale nie tak bardzo głośno słuchałam.

– Julka, naprawdę... – Pokręciła głową.

– Mówisz, jakbym cudem uniknęła śmierci.

– Bo... I jeszcze te psy. – Przypomniała sobie swój tekst z poprzedniego dnia. – To naprawdę niebezpieczne. Psy w sforze są nieobliczalne, człowiek nie ma szans. Zostań dziś w domu, dobra?

– A ty jedziesz do roboty? Sobota przecież jest? – Julka się zdziwiła.

– Jadę. Z tego powodu między innymi.

– Okej. – Córka pokiwała głową, choć widać było, że nie do końca jest przekonana. – A ognisko? Zrobimy potem?

– Zrobimy. Kupię, co trzeba.

– Fajnie, dzięki. A jutro mogłabyś mnie podrzucić do Mieroszowa?

Sonia nie miała pojęcia, co będzie jutro, ale to nie przeszkodziło jej się zgodzić. Zresztą w mieście Julka będzie bezpieczna, może to nawet lepiej.

– Mogłabym. A z kim...

Jej pytanie przerwał dźwięk telefonu. Ranik.

– Cześć. Telefon może będzie dziś do odebrania, dadzą znać. Mógłbym wziąć auto i pojechać?

Soni wydawało się, że sierżant zwyczajnie lubi ten nowy służbowy samochód. Sam miał przechodzonego golfa, a auta go kręciły.

– Możesz.

– A co z tym Dębskim? Tu go przywieźć czy...

– Nie, ja pojedę do niego. Ty też dołącz. Za godzinę?

– Jasne.

Odłożyła telefon.

– Dobra, muszę się zbierać – rzuciła do córki.

– Słyszałam, że za godzinę.

– O, widzisz, jaki masz słuch bez słuchawek. Muszę coś jeszcze wcześniej zrobić.

Wstała od stołu, pocałowała Julkę w głowę, a potem wyszła z domu i wsiadła do auta.

Skręciła w prawo, na Mieroszów, ale zamiast jechać prosto, odbiła w lewo, do Sokołowska.

Rozdział 4

Stał tu, jakby na nią czekał. Opierał się ramieniem o ścianę.

Przeszył ją dreszcz, który jakby nie mógł się zdecydować, czy wynika ze strachu, czy też z zainteresowania. Z jednej strony facet mógł być potencjalnym podejrzanym, przecież to on znalazł ciało, i w ogóle był jakiś dziwny, a z drugiej – było w nim coś takiego... Chodziło chyba o spokój, o luz, stan, jaki osiągają ludzie, którzy wypiszą się z systemu. Czy ona mu zazdrościła? A może chodziło o coś jeszcze innego – takiego wprost z poziomu ciała.

– Dzień dobry. – Wyprostował się na jej widok.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

Tak, było w tym facecie coś, co ją wybijało z rytmu.

– Czy te taśmy długo jeszcze tu będą? Utrudniają mi pracę. Nie mogę wejść do domu od frontu, a ten kawałek łąki jest mój. – Patrzył na nią miło i spokojnie.

Teraz zauważyła, że ma niebieskie oczy. Skojarzył jej się z psem husky: ciemnosiwie włosy i taki zimny, stalowy błękit.

– Jeszcze przez chwilę. To miejsce zabójstwa. Może pan przez ten czas robić co innego, na przykład spacerować. Pan chyba lubi, prawda? Z psem, szlakami, po górach...?

Nawet nie drgnął.

– A tak w ogóle nazywam się Piotr Dębski.

– Wiem. Sonia Kranz. Komisarz Sonia Kranz.

– Wyżej. – Pokiwał głową z uznaniem. – Czyli to pani jest szefową tego posterunku?

Przytaknęła.

– Wracając do pani pytania, lubię, ruch jest ważny. A szlaki czasem ograniczają, warto zejść z utartych ścieżek.

Coelho, pomyślała. Domorośli filozof. Tyle że przystojny.

– Wczoraj pan spacerował? Z psem? Szlakiem i poza szlakiem?

– Już zaczęliśmy przesłuchanie?

– Nie, jeszcze nie. Dostanie pan...

– Ależ ja nie odmawiam odpowiedzi. Spacerowałem, tak. Wstałem rano, bo lubię rano wstawać, i poszedłem na spacer. Z Wolandem. – Patrzył na nią wyczekująco.

– Bardzo ciekawe imię dla psa. I co, pana pies też wiecznie czyni dobro, choć pragnie zła?

Zaśmiał się. Szczerze i głośno.

– Widzę, że lubi pani literaturę.

Lubiła, choć na pewno nie miała tyle czasu na czytanie, co on. W liceum wciąż z jakąś książką w ręku, była w klasie humanistycznej, uznała jednak, że musi mieć zawód, który da jej pewne utrzymanie, więc humanistyka odpadała. Padło na Wyższą Szkołę Policji, bo dodatkowo była daleko i Sonia mogła spokojnie wyjechać z domu, ograniczając kontakty z matką. Zresztą uważała, że ze swoim zdyscyplinowanym umysłem i równie poukładanym charakterem nadaje się do pracy w policji.

– Woland ma złote serce. Tylko połowa tej frazy jest o nim.

Znowu oparł się o ścianę i wsunął rękę do kieszeni.

– Ktoś pana widział podczas tego spaceru?

– Ktoś na pewno. Może nawet ten, co obserwował mój dom albo tę nieszczęsną dziewczynę?

„Nieszczęsną”. Nie, nie zgrywał się, taki miał styl.

– O której pan wrócił do domu, to znaczy do mieszkania? Bo rozumiem, że na stałe mieszka pan w centrum.

– Tak, w kamienicy. Chyba około jedenastej.

– I co pan robił?

– Nic specjalnego. Zwyczajne sprawy. Posłuchałem trochę muzyki, klasycznej, to relaksuje i porządkuje myśli. Ugotowałem sobie leczo. Wegetariańskie, nie jem zwierząt. W ogóle staram się nie krzywdzić innych istot.

Pogrywał sobie czy tak już miał?

– Ktoś pana widział?

Pokręcił głową.

– Nikogo pan nie spotkał? Z nikim nie zamienił słowa?

– Nie. – Wciąż się uśmiechał. – Choć zaraz, przepraszam, jednak spotkałem. Dziewczynę.

Więc jednak.

– I...?

– I nic. Miła. Teraz jak sobie o tym myślę, to może trzeba było z nią dłużej porozmawiać? Wcześniej rano, ona sama na trasie, a była nieletnia. W obecnych czasach młodzi tacy zagubieni. No i to jednak góry, tu można się zgubić i fizycznie, różne rzeczy mogą się wydarzyć. – Spojrzał w stronę, gdzie leżała ta martwa dziewczyna.

– Ostatnio często ma pan kontakt z dziewczynami... Tę zabitą pan znał?

– Ani jednej, ani drugiej. Wie pani, teraz to nawet do mnie przyszło, że to znaczące, bo one obie w podobnym wieku. Może się znają, znaczy znały? Może to powiązane? Może uciekły z domu? Dorośli zapracowani, nie mają czasu dla dzieci. Ucieczka to krzyk rozpacz.

– Dziękuję za sugestię. Potrafimy prowadzić śledztwo.

Zareagowała zbyt ostro, ale nie miała ochoty słuchać wykładu o wychowaniu prowadzonego przez kogoś, kto pewnie nie miał dzieci. Co on w ogóle mógł wiedzieć o prawdziwym życiu? Takim namacalnym, w którym matka zostaje samotnym rodzicem, a w godzinach pracy babra się w mrokach ludzkiej duszy. Było w tym facecie coś, co ją jednocześnie drażniło i intrygowało.

– Podobno niedawno zgłaszał pan włamanie do domu?

– Zgłaszałem – westchnął. – Ale mnie złali. Mówię tak, dopasowując środki stylistyczne do sytuacji. Widzi pani, ja dla nich jestem dziwak i łach. Nie mam etatu, żony, dzieci ani samochodu. Niepoważny facet. I nawet nie palę. Dobrze, że zostawiłem sobie wino, choć tyle z etosu macho.

Nie miała ochoty komentować.

– Wracając do włamania, co tam się wtedy wydarzyło?

– Jest dokumentacja, powinna być, prawda? – zaniepokoił się.

A może ją podpuszczał? Nie oglądała akt, bazowała na tym, co Ranik jej zrelacjonował.

– Jest, ale ja proszę, żeby pan sam mi o tym powiedział.

– Pokażę. – Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej komórkę, która nie miała nic wspólnego z etosem hipisa, po czym kilka razy kliknął w klawisze. – O, proszę.

Rzeczywiście, cała podłoga była usłana książkami. Wyglądało to przedziwnie. Widziała takie stylizacje, na Instagramie. Julka jej pokazała przy okazji rozmowy o jakiejś książce młodzieżowej, która znalazła się na pierwszym miejscu sprzedaży w Empiku. Sonię zdumiało wtedy, że tyle osób, często młodych, interesuje się literaturą. I nie były to dziewczyny w typie szarej myszki. Nie pasowało jej to – takie odstawione blogerki kojarzyły jej się z kosmetykami, ciuchami, innymi przejawami dobrego statusu majątkowego. Dopiero potem przyszło jej do głowy, że pewnie dostają za to pieniądze od wydawców – lokowanie produktu. Książka to w końcu też towar, już od dawna. Na zdjęciu, które podsunęła jej Julka, podłoga też była usłana książkami, tyle że tam wszystko było wyniuniane, dopasowane kolorystycznie, a tu – siermiężne. Tam – tyle zachodu dla jednej fotki, a tu...?

– Część moja, wzięta z pudeł, ale kilku, a może nawet więcej niż dziesięciu, nie znałem.

– Na pewno nie było ich wcześniej w domu? Podobno dokonuje pan tu różnych odkryć.

– Widzę, że sporo pani o mnie wie – uśmiechnął się Dębski. – Nie, nie sądzę, by ktoś je u mnie znalazł. Stu procent pewności oczywiście nie mam, ale to mało prawdopodobne. Po pierwsze dlatego, że musiałyby odkryć jakąś nową skrytkę albo schowek. Po drugie, po co chować takie książki? I po trzecie, one kompletnie nie przystawały do tego, co tu wcześniej znalazłem. Starocie, ale takie sprzed dwudziestu lat: ezoteryka, horoskopy, nawiedzone rzeczy. Chłam po prostu. Na ścianie ktoś namalował pentagram i trzy szóstki, czarną farbą. Dobrze, że to przed odnawianiem. Męczyłem się z tym, w końcu zeszlifowałem.

– Sekta? – Sonia powtórzyła teorię Ranika.

– Zdaniem policji. Choć dla mnie to jakieś takie bez przekonania. Jak coś robić, to całym sobą, a tu... To było takie niedorobione, kolokwialnie mówiąc.

„Kolokwialnie”. Facet był inteligentny, może nawet wykształcony.

– Niby sporo pracy ktoś w to włożył, ale zabrakło mi w tym autentyzmu – dodał.

– Może to miał być żart? A może ma pan z kimś na pieńku?

– Nie, nie sądzę. Ani jedno, ani drugie.

– Gdzie są te książki?

Teraz Dębski wyglądał na szczerze zdziwionego.

– Spaliłem. Drewno się skończyło, węgla brak, nawet chrust z lasu wywiało, pani komisarz wie, jak się teraz żyje. Naprawdę, nie ma czego żałować. Lubię czytać, cenię słowo pisane, a tu był sam literacki szmelc.

– Nikt nie zabezpieczył tych książek?

– No, to nie do mnie pytanie. – Uśmiech wrócił mu na twarz i zaczął oglądać swoje palce. Jak na osobę pracującą fizycznie miał ładne, niezniszczone dłonie.

– Dobrze, no a pies? Podobno ktoś wtedy skrzywdził pana psa?

– Woland najpierw do mnie przybiegł, był niespokojny, popiskiwał. Obejrzałem go i zauważyłem zaczerwienienie wokół odbytu, niepokojące, zwłaszcza w kontekście tej inscenizacji. Ale potem Woland zniknął, a gdy wrócił następnego dnia, już wyglądał w porządku, dobrze się czuł. Zresztą policja nie wykazała tym zainteresowania, ja też odpuściłem. Może po prostu coś go ugryzło?

Nie miała pojęcia, co myśleć o tym facecie. Jechała tu przygotowana na spotkanie z menelem albo hipisem, któremu maryśka czy inny syf całkiem przemebłowały głowę, a rozmawiała z kimś przytomnym i kulturalnym, co oczywiście nie usuwało go z grona podejrzanych.

– A ta dziewczyna, którą pan znalazł?

– Przypadek. Dorabiam teraz w sklepie ze starociami. Zajmuję się ich przygotowaniem do sprzedaży. Ludzie lubią przedmioty z historią, dobrze schodzą, a ja potrafię je odnawiać tak, żeby zachować ich duszę. Robiłem lampę naftową i potrzebowałem cążek, akurat takich, jakie tu mam. No to przyszedłem po nie.

– Która była godzina?

– Tak, jak mówiłem panu sierżantowi, około trzeciej. Wszedłem od drugiej strony, tylnym wejściem, bo tak mi było wygodniej. Zabrałem to, czego szukałem, ale kiedy przechodziłem przez kuchnię, bo tu wszystkie pomieszczenia są przechodnie, zobaczyłem wygniecioną trawę.

– Spostrzegawczy pan jest.

– Uważność jest istotna.

– Ale okna niezbyt czyste. – Kranz patrzyła na przykurzone szyby.

– Mam dobry wzrok. – Odpowiedź padła po chwilowym zawahaniu.

– Okej. Więc wyszedł pan tym wejściem, przy którym stoimy.

– Tak. Najpierw patrzyłem na tę trawę, zastanawiając się, o co chodzi, a dopiero potem zauważyłem płamę. Od razu miałem złe przeczucia. Poszedłem obok tego śladu, żeby nie zdeptać...

– Jest pan także przewidujący.

– Nieszczególnie, pani komisarz. Nie wszystko da się w życiu przewidzieć. Na przykład relacje międzyludzkie.

Czy on ją podrywał? Dlaczego jej ciało reagowało tak, jakby to robił?

– Mówimy o trawie – wróciła do tematu. – Nie zdeptał pan, słusznie. Doszedł pan do fundamentów i...?

– Zobaczyłem tę dziewczynę. Pierwsza myśl: ona nie żyje. Wie pani, to się po prostu czuje. Oczywiście sprawdziłem tętno, na szyi, ale była zimna. Świeciło słońce, a ona była zimna. – Smutno pokiwał głową. – No i ta rana... Nie dawała nadziei. I spodnie...

– Spodnie?

– Rozpięte. Tam się chyba wydarzyło coś niedobrego.

Patrzył na nią wyczekująco, ale zignorowała to.

– I co pan zrobił? Od razu zadzwonił na policję?

– Tak, chyba tak. Może przez chwilę jeszcze zbierałem myśli, bo to jednak przykre. Taka młoda i już koniec życia.

Czy to możliwe, żeby od razu nie zadzwonić pod sto dwanaście? Nie dygotać, nie rzucić przekleństwem? Żeby sobie zbierać myśli? Albo maksymalny stoik, albo psychopata. Albo...

Zauważyła niebiesko-srebrny samochód na drodze. Radiowóz zwolnił, zakręcił i zaparkował obok jej pięćsetki.

– To zawsze budzi w człowieku refleksję nad kruchością życia. Ona jeszcze była taka jasna, cała w pastelowych kolorach, blondynka...

Ranik wysiadł z samochodu.

– Dobrze, to na razie tyle. Dostanie pan...

– Tylko ta bluza.

– Co: bluza? – Kranz natychmiast się spięła.

– Bo tam jeszcze była bluza. Potem ją zauważyłem, bo leżała z drugiej strony fundamentów. Taka ładna, turkusowa.

Zobaczyła, że Dębski komuś macha. Od strony lasu szedł przedziwny człowiek. Jeśli Dębski był hipisem i luzakiem, to tamten był dziesięć razy bardziej zapuszczony i na bakier z mainstreamem. Wciąż trzymał rękę w górze i kręcił dłonią. Pomyślała, że jest w nim coś dziwnego, zachowywał się trochę jak dziecko.

Obróciła się. Ranik stał przed samochodem.

Znowu spojrzała w drugą stronę. Facet, który się do nich zbliżał, miał na sobie częściowo niezapiętą i nie najczystsza koszulę, był nieogolony i zarośnięty. Menel, pomyślała.

– To Wojtek. Czasem mi pomaga w różnych pracach. Jest trochę przetrącony na głowie, ale to dobry człowiek – powiedział Dębski.

– Kiedy widział go pan ostatni raz?

– Dość dawno. Nawet myślałem o nim, czy nic mu się nie stało, ale on tak ma. Wcześniej też znikał, a potem się odnajdywał. Więc ostatni raz to chyba z miesiąc przed włamaniem miałem z nim kontakt. No, może dwa tygodnie.

– Gdzie on mieszka?

– Pomieszkuje. Jest z Wałbrzycha, tam ma matkę, ale był w jakiejś szkole czy placówce opiekuńczej. Tyle że system go wypłuł, bo już dawno skończył osiemnaście lat. W takim momencie miłosierdzie państwa się kończy. Matka sama jest nie do końca sprawna, więc razem to tylko większe nieszczęście.

– Może to on się włamał?

– A po co by miał to robić? Wpuściłbym, gdyby chciał. Zresztą zdarzało się, że trochę u mnie waletował. Nie, na pewno nie on. No i takie mazy to by mu z pewnością do głowy nie przyszły.

Mężczyzna był już całkiem blisko. Z tej odległości wyglądał jeszcze gorzej – sprawiał wrażenie kogoś, kto wszedł w starcie z kimś innym. Bordowe plamy na koszuli, na dłoniach i przedramionach zadrapania, na odsłoniętym torsie też. Krzywo przycięte, za długie włosy, mocno przetłuszczzone. Co dziwne, nie śmierdział, choć właśnie tego się po nim spodziewała.

Stanął przed nimi, niepewnie patrząc na policjantkę.

– Hej, chłopaku – przywitał go Dębski.

– Hej.

Widać było, że jest spięty. Spoglądał na Kranz i zaplatał dłonie.

– Co słytać? Długo cię nie było, co?

– No.

Zaczął coraz szybciej ruszać palcami. Patrzył teraz w kierunku zbliżającego się Ranika.

– Wszystko dobrze, oni chcą tylko porozmawiać. – Dębski mówił do niego jak do dziecka.

– Policja. – Do ruchu dłoni dołączyło teraz przestawianie stóp.

– Policja, ale tylko rozmawiają. Ze mną.

– Dzień dobry.

Ranik podszedł do nich. Przyglądał się temu dziwnemu facetowi, wcale tego nie ukrywając. W końcu odwrócił się w stronę Kranz.

– Jakies wytyczne? – spytał.

– Rozmawiałam z panem Dębskim, na razie poza protokołem. Trzeba będzie się umówić na posterunku, oficjalnie.

– Tak, oczywiście. Pani komisarz, mogę na chwilę?

Lekko się zdziwiła. Nie byli na pan-pani i Ranik nie bywał taki oficjalny.

– Jeszcze wrócimy. – Kranz odezwała się do Dębskiego, ale dała do zrozumienia, że ma na myśli ich obu.

Odeszli kilka kroków na bok. Dębski i Wojtek odprowadzili ich wzrokiem. Ten pierwszy coś powiedział, ten drugi pokiwał głową, ale się nie odezwał.

– Słuchaj, mnie się ten Wojtek nie podoba. On jest dziwny – powiedział z ożywieniem Ranik.

– Dziwak raczej.

– Nie wiadomo, czy to nie on się wtedy włamał.

– Dębski wyklucza. Chyba byłby zainteresowany wyjaśnieniem sprawy, skoro sam ją zgłosił? Zresztą było śledztwo i...? – Zawiesiła głos.

– No i umorzone. – Wzruszył ramionami. – Może dopiero później pomyślał, że to mógł być on? No i ten pies. Bo może to, co Dębski mówił, to jednak była prawda? Jakiś czas potem padło, że Wojtek taki niewyżyty, że nawet z psem by mógł... – Odchrząknął.

– Kto tak mówił?

– Wiedza operacyjna. Znaczący tacy jedni mówili. Wtedy, co Rykier psa kopnął i ze schodów zrzucił, jeden z sąsiadów mówił, że teraz takie zezwierżenie. Potem się poprawił i powiedział, że właśnie nie, bo zwierzęta tak nie robią. I że podobno ten głupek Wojtek kiedyś takie próby miał, bo mu baby, znaczący kobiety brakuje. – Ranik się rozemocjonował.

– Może to miejskie legendy?

– Może. Ale kto wie. W takim gadaniu zawsze jest ziarno prawdy. To młody facet, ma swoje potrzeby, a z kim by miał je zrealizować? Więc może ta ofiara to jego robota?

Kranz spojrzała na stojących opodal mężczyzn. Była sceptycznie nastawiona do teorii Ranika. Już prędzej obstawiałaby Dębskiego, choć wyglądał na takiego, który potrafi przekonać kobietę do seksu. Oraz na takiego, który chyba faktycznie nie stosuje przemocy.

– Podrapany jest, wygląda jak po bójce. Ona też była podrapana – ciągnął Ranik.

– Ona delikatnie, raczej po przedzieraniu się przez krzaki albo coś w tym stylu. On bardziej, a przecież jest silniejszy. No i jej ciuchy nie ucierpiały. Nie. – Pokręciła głową.

– Ale przylazł tu. I jest taki rozedrgany.

– To nie przesądza sprawy, on chyba tak po prostu ma. Wygląda na deficytowego. Jeszcze nic nie wiemy i póki nie będzie wyników sekcji, wszystko to tylko domysły. W sprawie komórki nie dzwonił?

Ranik wyjął swój telefon.

– Nie, jeszcze nie. Jak się nie odezwą do trzeciej, sam zadzwonię. Ja bym go przesłuchał. Będzie z głowy, jakby co.

Wciąż nie była przekonana. Zabójca sam miałby im się tak podłożyć? Równie dobrze mógłby napisać sobie na czole, że to on, a przecież ta sprawa nie przypominała jednej z tych, w których żona zabija przemocowego męża i stoi nad zwłokami z nożem ociekającym krwią.

Ale Ranik ma rację – będzie już odhaczone. Trzeba robić, trzeba pracować, puste przebiegi, znaczący brak śladów pracy na papierze, są źle widziane. Nawet jeśli na razie oznacza to poruszanie się po omacku – trudno, potem z chaosu wyłoni się ład.

– A jak z jego... no, zapachem? – Ranik się zreflektował. – Bo jak zasmrodzi auto, to potem przez tydzień nie da rady wywietrzyć.

– Nic, zero. Neutralnie.

Sierżant spojrział na nią czujnie.

– To może on się specjalnie wykapał? Żeby zmyć z siebie ślady?

– Chyba go przeceniasz. – Wciąż była sceptyczna, ale kto wie? Intuicja ostatnio ją zawodziła, a tu przynajmniej mieli jakieś przesłanki.

– Pana nazwisko? – Kranz patrzyła na mężczyznę, on patrzył na nią, ale żadnego porozumienia komunikacyjnego nie osiągnęli.

– Wojtek, jak ty się naprawdę nazywasz? – Dębski przyszedł z pomocą.

– Wojtek przecież. Wojciech. – Wodził między nimi spojrzeniem.

– Dobra, ale dalej? Twoje nazwisko, z dowodu. – Dębski był wcieleniem spokoju.

– Nie mam dowodu, zgubiłem. Wszystko gubię. Mama tak mówi. Rudasku, ty wszystko gubisz.

Rudasku, zdziwiła się Kranz. Facet był chłodnym szatynem, jaka rudość?

– Rudy? Może tak ma pan na nazwisko? – zapytała.

– Ruda. Oni się zawsze śmieli, że jak baba. – Opuścił wzrok.

– To nic... – zaczął Dębski, ale w tym samym momencie Ruda wyskoczył do przodu, jak bokser. Dębski zrobił unik, wyjątkowo przytomnie, a chłopak doskoczył do Ranika.

– Głupi, głupi! – Ruda przez chwilę się szamotał, ale nagle jakby zwiotczał i opadł na ziemię. Zwinął się do pozycji embrionalnej i zaczął płakać.

Ranik poczerwieniał. Nie spodziewał się takiej sytuacji, a gdy już do niej doszło, nie wiedział, jak się zachować – czy brutalnie powalić Rudę, czy raczej spacyfikować go jak niesforne dziecko. Kranz zauważyła też, że sierżant ma nie najlepszy refleks.

– Napaść na funkcjonariusza – wysapał.

– To jakieś przeniesienie. Przecież on nie wiedział, co robi. – Dębski pochylił się nad Rudą.

Ranik patrzył na Kranz. Obstawiałaby tak samo jak Dębski. Ten facet był ograniczony, zaburzony, ewidentnie z jakimś deficytem. Niesprawny intelektualnie i emo-

cjonalnie. Czy był agresywny? Może. Czy mógłby napaść na tę dziewczynę? Może. Czy zabić...?

– Okej, jedziemy. – Pokiwała głową.

– Ale on... – Ranikowi z trudem przychodziło poskromienie gniewu. Złościł się na Rudę czy na swoją nieporadność?

Wstrzymała go gestem dłoni. Samoopanowanie jest trudne, trzeba ćwiczyć.

– Proszę pana. – Nachyliła się nad Rudą. – Chcemy porozmawiać. Rozumie pan?

Odwrócił głowę w jej stronę. Przez chwilę nic nie mówił, ale w końcu przytaknął. Podniósł się.

– W tym miejscu zdarzył się wypadek – zaczęła.

– Zabito dziewczynę – wtrącił Ranik.

Facet odwrócił się w jego stronę.

– Dziewczynę? – zapytał. Po łzach nie było śladu, teraz nagle się ożywił.

Kranz pomyślała, że musi pogadać z Ranikiem. Za bardzo się rozhulał.

– Rozmawiamy z mieszkańcami. Z panem Dębskim już rozmawialiśmy, z panem też chcemy. Może pan coś widział, wie. – Mówiła do niego jak do dziecka.

– Może – zgodził się. – Opowiem. Do auta? – Popatrzył w stronę radiowozu.

Pokiwała głową i pomyślała, że nic z tego nie będzie. Muszą za to sprawdzić, gdzie ten facet mieszka, czy nie powinien jednak być pod nadzorem opiekuńczym.

– Z panem się skontaktujemy – powiedziała do Dębskiego.

– Będę czekał.

Chciała od razu rzucić, że w sprawach oficjalnych, ale się powstrzymała. Udała, że nie dosłyszała, i poszła za Ranikiem oraz Rudą.

Z niego to chyba jednak tylko pozorny filozof i stoik, myślała, jadąc za radiowozem. Niby szuka tu ciszy i spokoju, ale w środku jest taki, jaki pewno był wcześniej – typ romansowy, pozer. Dziewczynę na pewno mógłby zbajerować. Przypomniała sobie minę Julki, kiedy opowiadała o spotkaniu w górach. Może z ofiarą było podobnie? „Przeniesienie”. Czy on też w taki sposób „przenosił” swoje emocje?

Dojechali na plac przed posterunkiem. Tak, ten błękit wciąż wybijał ją z rytmu. W sumie nie zapytała, czy dopasowano kolor fasady pod posterunek, czy remont miał miejsce wcześniej i tak wyszło. W każdym razie odcień był zupełnie inny niż

policyjny niebieski i zrobił się dziwaczny kontrast, ale chyba tylko ona to widziała. Owszem, tu też funkcjonowało pojęcie estetyki, tyle że najwyraźniej rozbieżnej z jej gustem.

– Niech pan usiądzie. – Wskazała Rudzie krzesło przed biurkiem.

Usiadł, o nic nie pytał. Był lekko ożywiony, ale raczej pozytywnie.

– Chcemy z panem porozmawiać.

Kiwnął głową.

– Nagramy tę rozmowę.

Znowu kiwnięcie.

– Nazywa się pan Wojciech Ruda, prawda?

– Prawda. Wojciech Ruda.

– Ile ma pan lat?

– Dwadzieścia. Dwadzieścia cztery. Trzydzieści cztery.

– Ma pan przy sobie jakiś dokument tożsamości?

Wiedziała, że nie ma, ale zapytać trzeba.

– Nie mam. Chyba zgubiłem.

– Jeśli pan zgubił, to trzeba zgłosić. Rozumie pan?

– Rozumiem.

Przyjmowała te odpowiedzi, ale nie dawała im wiary, choć wiedziała, że niedobór intelektu nie wyłącza emocji. Często było wręcz przeciwnie – brak hamulców wynikających ze świadomości, że istnieją normy i trzeba się ich trzymać, dawał ujście emocjom i impulsom.

– Co pan robił wczoraj?

– Wczoraj. – Pokiwał głową. – Wczoraj byłem u kolegi.

– Gdzie?

– W domu.

– A ten dom gdzie?

– Przy drodze, takiej bocznej.

– W jakiej miejscowości?

– Unisław.

– Był pan tam cały dzień?

– Tak. Nie. Kolega poszedł do roboty, ja poszedłem sobie na spacer.

– Dokąd?

– Do Piotrka.

– Gdzie mieszka ten Piotrek?

Ruda popatrzył na nią zdumiony.

– Tam, gdzie byliśmy. I w mieszkaniu też.

– Poszedł pan do Piotra Dębskiego?

– Tak.

Dębski nic nie wspominał o tym spotkaniu. Ranik musiał pomyśleć to samo, bo zastygł w oczekiwaniu na odpowiedź.

– I co robiliście razem?

– Nic, bo go nie było. Pukałem, nie wpuścił, to znaczy, że go nie było. W domu nie było, w mieszkaniu nie było. Pochodziłem trochę, pani Ania w sklepie dała mi bułkę, poszedłem znowu do tego kolegi, co najpierw.

– Nikogo innego pan nie spotkał, z nikim nie rozmawiał?

– Nie. A z kim?

– Z kimkolwiek.

– Z kimkolwiek nie. Z nikim. Nikogo nie widziałem.

Znowu się ożywił. Może to nie znaczyło nic, a może coś?

Usłyszała dzwonek telefonu. „Julcia”. Zawahała się, ale odrzuciła połączenie.

– Dziewczyna nie żyje? – zapytał Ruda.

Kranz się wzdrygnęła. Nie może tak reagować, ma zbyt odsłonięte nerwy. Musi nad tym popracować, opanowanie to podstawa w tej robocie.

Telefon piknął. SMS.

„Mamo, zadzwoń, boję się”.

Skurcz w okolicy serca. Wyłączyła nagrywanie.

– Marek, muszę z kimś pilnie pogadać – zwróciła się do Ranika. – Za chwilę wrócę.

– Jasne.

Drżącymi palcami wybierała numer Julki. Pchnęła drzwi i wyszła na korytarz. Jeden, drugi, trzeci sygnał. Wreszcie usłyszała niepewny głos córki:

- No hej.
 - Hej. Co się dzieje? Czego się boisz? – Starła się ukryć swoje zdenerwowanie.
 - Słyszę jakieś odgłosy.
 - Odgłosy? Jakie? Skąd?
 - Z zewnątrz.
 - Drzwi zamknęłaś?
 - Zamknęłam.
 - Okej. A widzisz coś przez okno?
 - Nie. Ale to nie na ziemi. Chyba coś na dachu. Jakby ktoś chodził.
 - Po dachu? Może to jakieś zwierzę?
 - Nie wiem, to ciężkie kroki. Tak mi się wydaje. Nie jak ptak. Kiedy będziesz?
 - No mam tu jeszcze...
 - Aaaa!
 - Jezu! Coś się stało? – Sonia słyszała bicie swojego serca.
 - Coś poleciało w krzaki. Z tego dachu. Takie włochate. – Głos Julki drżał. – O, a teraz przez drogę. To chyba lis. Nie wiem, może za duży?
 - Pewnie kuna. – Kranz próbowała uspokoić oddech. – Mniejsza od lisa, tu ich dużo. Teraz już nic nie chodzi po dachu? Nic nie słyszysz?
 - Poczekaj. – Dziewczyna na chwilę zamilkła. – Nie, chyba nie. Sorry, mamo, ale to było tak głośne, że myślałam, że to naprawdę coś dużego. Może nawet ktoś duży. Nawet myślałam, że może to te psy.
 - Jakie psy? – zdziwiła się Kranz.
 - No te, o których mówiłaś. – Teraz zdziwiła się Julka.
 - Psy, fakt. Musi zapamiętywać kłamstwa, nie ma w tym żadnej praktyki.
 - Nie, no skąd, na dachu? Okej, grunt, że nic się nie stało. To ja wracam do roboty.
 - A kiedy będziesz?
 - Za godzinę, może dwie.
- Zaraz skończy z Wojtkiem, potem Ranik skoczy do Wałbrzycha, wróci, będzie jasne, czyj to telefon i... Westchnęła. Pojadą do jakiegoś domu czy mieszkania, ona się przedstawi, potem... No tak. Zapyta, czy potrzebne wsparcie. Oby ta matka nie

była samotna. Powie, jak jej przykro, że zadzwoni w poniedziałek rano, bo trzeba będzie zrobić identyfikację, że jeszcze nic nieustalone, że nie wiadomo, że dołożą wszelkich starań. A potem pojedzie do sklepu, kupi, co trzeba, wróci do domu, zrobią ognisko. To, czy ma się dobre życie, to jednak rzecz względna – zależy, z kim porównać. Mąż ją rzucił, ale ma córkę. Z tamtą stratą się upora, ale gdyby Julka...

– Fajnie. Pa.

– Pa.

Kranz przez moment jeszcze stała w miejscu, potem wzięła głębszy oddech i otworzyła drzwi.

– To ja ją zabiłem.

Wojtek Ruda odwrócił się w jej stronę.

– Ja zabiłem tę dziewczynę – powiedział powoli i wyraźnie.

Rozdział 5

– To trzeba nagrać. Włączyć dyktafon i nagrać. – Ranik stał obok niej, ale nie patrzył na nią, tylko na Wojciecha Rudę.

– O czym z nim rozmawiałaś? – Ona też patrzyła na chłopaka.

– Wcześniej chyba jednak trochę się zgrywał i był zdenerwowany, a teraz jakby mu przeszło. Przyznał się, to mu ulżyło. – Ranik rozłożył ręce.

Teraz wydawał się spokojny, nawet zadowolony. Jakby dostał to, czego chciał, osiągnął cel, poczuł się bezpieczny.

– O czym z nim rozmawiałaś? – powtórzyła pytanie.

Też miała wrażenie, że Ruda się rozluźnił, ale z innego powodu. Nie dlatego, że wyznał grzech, tylko po prostu zrobił to, czego – jak myślał – od niego oczekiwano. Ten chłopak zachowywał się tak, jakby miał wbudowany radar, który sprawdza, czego od niego chce otoczenie. Trafienie z odpowiedzią oznaczało akceptację, brak problemów. Był jak pies, który boi się kopniaka i robi wszystko, by go uniknąć.

– Tak ogólnie. To on pytał. – Ranik jakby się bronił, choć ona nie atakowała.

Nie robiła tego, jeszcze nie.

– O co?

– No o dziewczynę. Nic mu nie powiedziałem, nic, co by jakoś naruszało tajemnicę śledztwa.

– A to, co nie naruszało?

– Mówił, że biedna ta dziewczyna, no to przytaknąłem. I że biedna jej matka. Też przytaknąłem.

– Tyle, i już?

Patrzył na nią.

– No... Po tym, jak on z tą matką wyjechał, powiedziałem jeszcze, że rzeczywiście biedna i że jeśli coś jej może pomóc, to... – Urwał. Wciąż patrzył na Kranz, ale teraz w taki sposób, jakby bardzo chciał uniknąć skrzyżowania ich spojrzeń.

– To co?

– No... To, że się dowie, kto i dlaczego zabił jej córkę. – Ranik nabrał powietrza, wypuścił je, a potem dodał: – Coś w tym stylu. Samą prawdę, oczywistą rzecz. Przecież tak jest? No tak po prostu jest. Oczywisty fakt.

Kranz milczała.

– Żadnego sugerowania, nagabywania, nic. Zupełnie nic – ciągnął sierżant. – I on tylko pokiwał głową i milczał, a dopiero jak weszłaś, powiedział to. Znaczy przyznał się.

– Przyznał się – powtórzyła.

– Tak. – Ranik odchrząknął i się wyprostował. – Ja absolutnie nic nie sugerowałem. Nic. Nie zrobiłem nic nieregulaminowego.

Pokiwała głową. Może i nie złamał regulaminu, ale widać było, jak się nakręcił myślą, że już mają sprawcę. Nie mogła wykluczyć, że to Ruda, ale wielkich pieniędzy by na to nie postawiła.

W tym zabójstwie było coś, co wskazywało na plan, zamysł. Na nieprzypadkowość, czyli właściwie całkowicie wykluczało tego chłopaka. Więcej powie im sekcja, ale...

– Zabiłem tę dziewczynę. Tę z łąki. Nagra to pani? – Ruda wreszcie się odezwał.

Kranz przez chwilę milczała. Regulamin. Regulamin wyklucza zignorowanie takiego wyznania, zwłaszcza że padło na posterunku i w obecności świadka.

Bez słowa siadła przy biurku i włączyła nagrywanie. Popatrzyła na Wojtka Rudę.

– Zabiłem tę dziewczynę – powiedział.

I uśmiechnął się do niej.

– To się jednak przeciągnie, przykro mi.

Minęła właśnie skręt do domu, jechała dalej, do Wałbrzycha. Ranik zabrał Rudę do Świdnicy. Tam będzie czekał na decyzję o tymczasowym aresztowaniu. Joanna Mitaj wydawała się podekscytowana informacją, że od momentu wykrycia zbrodni do zatrzymania podejrzanego upłynęły mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Kranz podzieliła się z nią jednak wątpliwościami, które prokuratorka po chwili milczenia przyjęła krótkim „no tak”. Potem dodała, że dalsze decyzje w rękach sądu.

A który sędzia by nie dał zgody na areszt tymczasowy w sytuacji przyznania się do winy?

Jasne, duże znaczenie będzie mieć opinia psychiatrów, których Mitaj powoła. W sumie może się na coś to przyda, może wreszcie ten chłopak dostanie żółte papiery, a wraz z nimi pomoc.

Chyba że jednak Kranz się myliła.

Kiedy już przyznał się do winy i się do niej uśmiechnął, miał takie spojrzenie jak Hannibal Lecter. Pamiętała oczy Hopkinsa i usta ułożone do uśmiechu, za którym kryło się czyste zło. Zło wyjęte z wszelkich ram, ociosane z okoliczności. Zło czynione przez osobę, którą natura pozbawiła hamulców. Lecter był pacjentem więziennego centrum psychiatrycznego.

– Długo? Bo w sumie to ja głodna już jestem.

– Trudno powiedzieć. Mnie samą też zaskoczył przebieg wypadków.

– A co się właściwie dzieje?

Kranz westchnęła.

– No dobra, wiem, nie możesz powiedzieć. Tajemnica śledztwa. – Julka też westchnęła. – To co robimy? Bo ognisko to możemy jutro, a dziś bym zjadła pizzę. Tę z tej kawiarni, wiesz.

Wiedziała. Zdziwiająco dobrą kuchnię włoską mieli w małym lokalu w Sokółsku. Na pizzę i bezy ludzie przyjeżdżali podobno aż z Wrocławia. Niby dlaczego nie – nie tak daleko, miejsce faktycznie ładne. Gdyby była razem z Krzyskiem, też by mogła tak spędzać weekendy. Kiedyś je tak spędzała. Julka podrosła, mieli swobodę. Teraz, zaraz to już w ogóle byliby wolnymi ludźmi. Druga młodość i te sprawy. Krzysiek załapał się na pierwszą – nowe rozdanie i zresetował swoje ustawienia: zaczyna od początku. Faceci mają w tym niesamowitą przewagę – ile chęci, sił i kasy, tyle żyć. Jak w grze komputerowej. Kobiety tak nie mają, pewnie dlatego, że ktoś musi ciągnąć wózki pozostawione przez mężczyzn, którzy wcisnęli guzik „zagraj w to jeszcze raz”.

Zatem ciągnęła. A wózek stawiał opór.

– To następnym razem. Teraz nie ma jak.

– A może byś mnie podrzuciła? Autem to chwila, ja bym tam na ciebie poczekała.

– Nie, bez szans, przecież jestem w robocie. Zresztą teraz jadę w przeciwną stronę. Idź do pensjonatu, tam na pewno coś serwują.

Przy szosie stał gościniec Kowalova, który karmił też gości z zewnątrz.

– Nie mam pieniędzy.

– Znają nas. Wiedzą, że tu mieszkamy, wiedzą, gdzie pracuję. Zresztą mogę ci przelać kasę blikiem.

– Nie dojdzie, nie ma zasięgu.

– W kilku miejscach jest.

– Ale ja nie chcę tam jeść. Tam jest tak... staro.

– Fajnie.

– Paździej. Podoba ci się, bo z twoich czasów. Na pewno nie możesz przyjechać?

– Julka...

Kranz dojeżdżała do Wałbrzycha, mijiała właśnie te bieda-bloki. Przy schodach bawiła się grupka dzieciaków. Były roześmiane i radosne, choć ganiały za jakąś sflaczałą piłką.

– No co? Siedzę tu jak za karę. Ja tu nie chciałam być. To nie moja wina.

– A czyja? – Kranz poczuła, że zaciska zęby.

– Babcia mówi, że twoja – wypaliła Julka.

Sonia przez chwilę ciężiej oddychała, jakby ktoś ją przydusił. Może dlatego nie odpowiedziała równie impulsywnie. A może dlatego, że pracowała nad sobą i starała się nie wchodzić w dialog, będąc w emocjach. I dlatego, że ciągle sobie powtarzała, że Julka jest w trudnym wieku i że nastolatki mają prawo... Chyba że są Sónią Kranz, która takich praw nie miała.

– Przyjęłam. – Postarała się o obojętny ton. – Oferta aktualna. Uberem nie jestem, nie przyjadę po ciebie. Jeśli jednak będziesz chciała pieniądze, wyślij SMS. Jeśli wolisz zjeść coś w domu, jest chleb, a w zamrażalniku jakieś warzywa. Cześć.

Rozłączyła się, nie czekając na reakcję córki.

Też była głodna, teraz może nawet bardziej niż przed rozmową z Julką. Kiedyś głód zawiązywał jej żołądek na supeł, teraz już nie. Może dlatego, że spalała emocje? Wcześniej nie dopuszczała ich do siebie. W sumie trudno powiedzieć, czy to zdrowiej, choć chyba tak, bo myśli i odczucia wypływały z niej. Jasne, lepiej by

było przeprowadzić spokojną, rzeczową rozmowę z córką, ale nie mogła od siebie wymagać za wiele – i tak dobrze sobie radziła. A jednak miała wyrzuty sumienia – przed chwilą wszystko by dała, żeby zobaczyć Julkę zdrową i całą, a teraz... Teraz zachowała się po prostu racjonalnie. Brak granic w przypadku nastolatka to huragan i zniszczenie. Żywioł nie do opanowania.

„Dbaj o siebie. Zadowolona matka to zadowolone dziecko”, powtarzała jej Magda. Dlatego Sonia minęła skręt na Psie Pole, gdzie był komisariat, i przejechała jeszcze kawałek. Bar mleczny Kotlecik.

Nieczynny w soboty. Kanapkarnia obok – też nieczynna. Jasne, w soboty się nie jada na mieście. W soboty wszyscy jadają przy szczęśliwym rodzinnym stole.

Nieco dalej znalazła bar z pizzami i zapiekankami. Kupiła gorącą bułę z grzybami i roztopionym serem żółtym, obficie polaną keczupem, a potem zatrzymała się przed odnowionym budynkiem komisariatu. Imponujący, jak większość tego, co powstało przed wojną. Jeszcze bardziej imponujące było to, że pierwotnie mieścił się tu Dom Opieki Społecznej. Wielki gmach, postawiony z rozmachem. A podobno dopiero teraz Polska jest państwem naprawdę opiekuńczym. No ale to nie było w Polsce.

Pomyślała o Rudzie i wysiadła z auta.

Zgłoszenie do operatora już poszło – z informacją, że na cito, ale to nie zawsze działało. Gdyby to był dorosły, czekali by na pewno dłużej. Słowo „dziecko” uruchamiało inne kanały.

Ruszyła w drogę powrotną do Mieroszowa.

Decyzja w sprawie Rudy na pewno pójdzie ekspresem. Zadzwoiła do Mitaj, by powiedzieć, że należałoby go posadzić samego w celi i pilnować przy spotkaniach z innymi. Kompulsywnie – w sumie nie powinna. Prokuratorka na pewno o tym pomyślała, w areszcie też o tym wiedzieli, choć... Kranz dobrze pamiętała sprawę psycholożki, która zginęła podczas rozmowy z więźniem. Była sam na sam z facetem odsiadującym wyrok za napaść na kobiety i gwałty. Rodzina wnosiła o badania psychiatryczne. Nic takiego się nie wydarzyło, za to facet zdołał skołować nożyczki, a pod drzwiami podczas wspólnego pobytu tej dwójki nie było strażnika. Przez kilkadziesiąt minut. Kranz aż jęknęła, kiedy o tym usłyszała. I myśl: czy ta

biedna dziewczyna miała dzieci, rodzinę? „To pierwszy przypadek od trzydziestu lat”, wiceminister sprawiedliwości chyba uznał, że to jest jakieś wytłumaczenie – średnia rzeczywiście nie najgorsza. Ale gdyby pomyślał chwilę dłużej, może by się zastanowił, dlaczego doszło do tego właśnie teraz. Zresztą to nieprawda, że odosobniony przypadek – takich napaści jest dużo więcej, ale póki nie kończą się śmiercią, to się je tuszuje. Statystyki rządzą i musi z nich wynikać, że resocjalizacja działa. Tymczasem nie działa.

Za to, o co oskarżyli Rudę, są niezłe bęcki. Zabicie kobiety, z podejrzeniem gwałtu – nie ma taryfy ulgowej, nie jesteś ziom, a tu przecież chodziło o dziewczynę. Jeszcze gorzej, w sumie to może podpadać pod pedofilię. Zero litości.

Na poziomie podstawowym, sygnałów płynących z mózgu gadziego, Kranz rozumiała radość płynącą z faktu odwetu. Czyn przestępczy, zwłaszcza jeśli popełniony na dziecku, na kimś, kto jeszcze nie dostał statusu „dorosły”, domagał się zemsty. Dawniej służyły temu publiczne egzekucje, teraz nawet samych egzekucji nie było. Co się działo z tą skumulowaną żądzą zemsty? Wylewała się w internecie. „Ja bym mu to samo zrobił”, „Za jaja i końmi ciągnąć”, „Przecweluj go i dobrze”.

Gdzie w tym wszystkim było miejsce dla resocjalizacji? Dla tego, by spróbować przystosować przestępcę do normalnego życia?

Pokonała wzniesienie z zapuszczonymi kamienicami. Teraz było tu pusto. Pewnie wszyscy jedli obiad, a może już nadeszła pora poobiedniej telewizji.

Wróciła myślami do zabitej dziewczyny z Sokołowska. Mimo kobiecej sylwetki wyglądała na swoje piętnaście lat. Może zresztą o to chodziło? Może wiek miał tu znaczenie? A może chodziło wyłącznie o zaspokojenie popędu, a ona się pechowo nawinęła?

A może o coś innego, bo to wszystko były tylko przypuszczenia. Czekała na informacje o właścicielu lub właścicielce numeru telefonu ofiary, Kranz postanowiła przejrzeć sprawy gwałtów i napaści na tle seksualnym z tych terenów z ostatnich... Zawahała się. Dziesięciu lat. Seryjni nałogowcy potrafią się przyczaić. Jest w nich przymus zniewalania, niekoniecznie muszą to robić często. Odraczenie terminu kolejnej napaści też ich nakręca. Wyobrażają sobie, planują, odczekują. Znała przypadki, gdy przerwy między napadami wynosiły dziesięć lat.

Tak, myślała o tej sprawie jak o czymś, do czego sprawca się przygotował. Robił to wcześniej? Możliwe. Ta dziewczyna była przypadkowa, po prostu zjawiała się

w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie? Też możliwe. Jeśli nie zrobił tego Ruda, to znaczyło, że przestępca gdzieś tu sobie spokojnie chodzi. Znowu atakuje czy raczej się przyczai...?

Spojrzała w kierunku mijanego pensjonatu. Ciekawe, czy Julka jednak zdecydowała się, żeby tu przyjść. Nie poprosiła o pieniądze, ale pewnie „godność” jej nie pozwalała. Nauczyła się tego zwrotu i wyciągała go zawsze wtedy, kiedy czegoś potrzebowała od Soni, ale nie zdążyła jej jeszcze przeprosić za ostatnią aferę, którą sama nakręciła.

Kranz poznała właścicieli Kowalovej. Młoda para próbowała tchnąć życie w to miejsce, bo kiedyś tu było życie. Zresztą nie tylko w hotelu Zum Grünen Kranz, czyli Pod Zielonym Wieńcem – taka nazwa wcześniej widniała na froncie. Wszędzie było życie. Na całym Dolnym Śląsku wyglądało to podobnie – przed wojną te tereny przez wieki się rozwijały, wypełniały ludźmi, budynkami. Obrastały w wydarzenia i wspomnienia. Wszystko biegło linearnie i w miarę płynnie. Jasne, były zaważenia, kryzysy, ale kierunek utrzymano – do przodu, ku lepszemu. Po starszych pokoleniach przychodziły nowe, ciągłość się nie rwała.

Mioszów, ta miejscinka, powstał w czternastym wieku. Podobnie okolice. Sonia jeździła i nie mogła się nadziwić tym miejscowościom z barokowymi kamienicami. Zrujnowanymi, sypiącymi się, niepotrzebnymi, bo nie naszymi. To znaczy teraz polskimi, ale wcześniej obcymi. Nawet gorzej niż obcymi – niemieckimi. Niemiec nie będzie pluł nam w twarz, nie będziemy odnawiać tego, co zbudował, choćby chodziło o zabytek. Postawi się swoje, lepsze. Nie, raczej nie, bo nie będzie komu stawiać – te tereny się wyludniały. Starzy umierali, młodzi chcieli pożyć, nim i na nich przyjdzie czas. A czy można było żyć w tych miasteczkach widmach? Pustych po siedemnastej, bez perspektyw i nadziei?

Ci, którzy tu przyjechali – którym kazano przyjechać, bo jaki mieli wybór – oddali wszystko, do czego doszli przez pokolenia, i musieli brać, co państwo proponowało. A państwo nie wchodziło w dyskusje. Mieli działać, budować, nie dzielić włosa na czworo, nie oglądać się za siebie. Za plecami były przecież zgliszcza, a od frontu nowy ład i nowy świat. Nie najgorszy, tak obiektywnie. Domy i kamienice ładne, z prądem, wodą i czasem jeszcze plackiem w ciepłym piecyku lub wazą pełną zupy na stole. W szafach ubrania, na półkach książki, na ścianach zdjęcia i obrazy.

Obcy, przegrani często pakowali się w pośpiechu. I nie mogli zabrać wszystkiego.

Nowi, wygrani (choć też czuli się jak przegrani – walec historii próbował wyrównać krzywdy, ale to mało precyzyjna maszyna, bez finezji, niezwrotna) wchodzili w ten obcy świat w różny sposób. Czasem doceniali zdobycze cywilizacji, których wcześniej nie doświadczali, ale nie da się łatwo przekupić bolącego serca wanną z ciepłą wodą albo pięciopokojowym mieszkaniem. Przecież tam zostawili wszystko – przeszłość i tożsamość. Człowiek nie drzewo, przesadzić się nie da. Zresztą i drzewa nie najlepiej to znoszą, tylko młode dają radę, a i tak odchorowują.

Krążyło też pytanie: ile ta zmiana ma trwać? Może znowu coś się odwróci i każą iść w inne miejsce? Kto wie, dwudziesty wiek był nieobliczalny. Nie dbały więc o to, co dostały, nie inwestowały ani pierwsze pokolenie, ani drugie, straumatyzowane. Może kolejne by się wzięło, ale do tego potrzebowało pieniędzy. A skąd miało je brać, skoro brakowało pracy?

Ludzie więc wyjeżdżali. Różnie, do Niemiec też. Do tego kraju, którym rządzący wciąż straszili, od którego wciąż się domagali – trudne słowo: reparacji. Prostsze: wyludnienie, bezrobocie, bieda – nie padały często, pewnie dlatego, że dotyczyły środka, a za środek rządzący odpowiadają. Za świat na zewnątrz, ten niedobry, nieprzychylny – już nie.

Zatem wyjeżdżali, a tu robiło się pusto. I te wszystkie miejsca, które Sonia widziała na przedwojennych zdjęciach i pocztówkach, z trudem odnajdywała w obecnej rzeczywistości.

Coś niby się ruszało – nieśmiało, lokalnie. Znajdowali się odważni, którzy musieli te dawne obrazy przekuć w wyobrażenia przyszłości, jak ludzie od Kowalovej. Albo ci, co inwestowali w Sokołowski. Skoro tu powstało pierwsze na świecie sanatorium dla gruźlików, a kurort stał się inspiracją dla Davos, to chyba coś znaczyło?

Na razie niewiele. Były tu co prawda różne wydarzenia i imprezy i w ogóle zrobiło się z tego modne miejsce, ale czy to miało wystarczyć, by wróciło prawdziwe życie? Ludzie przyjechali na festiwal literacki. Góry Literatury – niezła nazwa. Kranz i o tym czytała, to zresztą była zachęta, a może raczej pociecha dla Julki. „Zobacz, to tu fundacja Tokarczuk organizuje imprezę”, próbowała zaimponować córce. „No, może. Ale to festiwal, kilka dni. A potem wracają do siebie”. No i dys-

kusja się kończyła. Zysk był taki, że Kranz znowu próbowała zanurzyć się w literaturę. Trochę wyszła z sprawy. Kupiła *Empuzjon*, najnowszą powieść noblistki, ale jeszcze jej nie przeczytała. To nie jest książka, którą da się wrzucać w siebie na szybko, w chwili przerwy, zasypiając. Tu trzeba się zaangażować, wejść głębiej, podczas gdy ona potrzebowała zanurzyć się płytko i oderwać. Literatura popularna to jej dawała, zresztą dlatego właśnie była popularna. Kiedyś, gdy Sonia była idealistką, czyniłaby sobie z tego zarzut – no bo się nie rozwija i takie tam. Teraz wiedziała, że do rozwoju potrzebne są też okresy odpoczynku i wytchnienia. Książki „bez ambicji” przychodziły tu z pomocą. A że inaczej opowiadały o świecie...?

„Kiedy zmienia się opowieść, zmienia się świat”. Takie zdanie wyczytała na stronie fundacji, z mowy noblowskiej Tokarczuk. Zaintrygowało ją. Preczytała więc cały tekst tego przemówienia. Dalej było o tym, że świat jest stworzony ze słów i że jeśli coś się wydarzyło, ale nie zostało opowiedziane, umiera. „Wiedzą o tym bardzo dobrze nie tylko historycy, ale także (a może przede wszystkim) wszelkiej maści politycy i tyrani. Ten, kto ma i snuje opowieść – rządzi”.

Ten fragment w niej został. Noblistka, ale potrafiła mówić tak, że coś w człowieku drgało. I ambicja nie miała tu nic do rzeczy.

Zaparkowała przed niebieskim budynkiem posterunku.

W środku było pusto i cicho. Nie pracowali całą dobę, działali jak sklep albo biblioteka – w wyznaczonych dniach i godzinach. Rozwiązanie połowiczne, ale zawsze coś, a dla niej idealne, bo teraz była przecież samotną matką.

Majkowski w piątek po południu pojechał do Berlina. Nie było potrzeby, żeby go odwoływać, zresztą nawet by nie chciała. To, zdaje się, miał być miły weekend we dwoje, a raczej we dwóch. „Z osobą towarzyszącą”. Nie zapytała, czy z chłopakiem. Może sierżant specjalnie tak to ujął – w dziwną, formalną postać, która nie pasowała do stylu jego wypowiedzi, żeby ona go o to zagadnęła, a on mógł potwierdzić. A może to był szlaban oznaczający: „powiem tyle, reszta to moja prywatna sprawa”. Obstawiała raczej pierwsze. Kiedyś, gdy wypatrzyła Majkowskiego, jak siedł przed nią ulicą, po cywilu, w dopasowanych džinsach i obcisłej koszuli, zauważyła, że dwóch facetów, którzy go minęli, wymieniło znaczące spojrzenia i gesty. I nie chodziło o to, że oni by się nie wcisnęli w taki rozmiar i mieli różne stylistyczne braki, tylko o to, że Majkowski jest inny. „Ładniutki, co?”, usłyszała, gdy przechodzili obok niej. Sierżant tego pewnie nie usłyszał, ale rehot, jaki potem się rozległ – na pewno. A jednak się nie odwrócił, nie zareagował. Wyglą-

dało, że ma w tym wprawę, że to nie pierwszy raz. Teraz wysłała mu SMS z informacją o zabójstwie. Chyba naprawdę się przejął, bo szybko odpisał.

Położyła telefon ofiary na biurku. Dziewczyński aparat, pewnie jedna z najważniejszych dla niej rzeczy, najwięcej o niej mówiący. Pamiętnik, dziennik, zbiór piosenek, tekstów, mejli, wiadomości, zdjęć. To, co kiedyś było rozproszone, teraz zbierało się w jednym miejscu.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem wzięła go do ręki. Ukłucie w okolicy serca. Profesjonalizm – ważna sprawa, bardzo go pilnowała. Uważała, że jest dobrą policjantką, nie mieszała wątków prywatnych i zawodowych, ale nie da się tak całkowicie odciąć emocji. Może gdyby sama nie była matką dziewczyny w podobnym wieku...?

Wdech i wydech. Dobra.

Pierwsza odpaliła się galeria zdjęć. Drzewa, las, łąka. Sonia przesuwała palcem po ekranie. Natura, natura, natura. Wazon z kwiatami, ostrość zogniskowana na nim, więc trudno było coś wydobyć z otoczenia. Butelka oranżady, to chyba na tym skwerze w Sokołowsku, koło sklepu. Beza na talerzu, już prawie na pewno z tej włoskiej knajpki, z której Julka chciała pizzę, do tego z dwóch stron dwie różne dłonie z widelczykami. Obie raczej dziewczynskie. Potem jakieś detale architektoniczne, też zdaje się z Sokołowska, choć tu już nie miała pewności. Ta dziewczyna musiała być wrażliwa i chyba dość samotna, co zresztą zazwyczaj występowało w parze.

Palec Kranz wydobywał z aparatu kolejne obrazy.

Wreszcie pojawił się taki, na którym były postaci. Dwie pary nóg nad stawem. Kolana na pomoście. Żadnych twarzy, nic, co by pozwalało na identyfikację.

Kolejna fotografia.

– Jezu... – Sonia wpatrywała się w ekranik. Odruchowo przycisnęła dłoń do piersi, jakby chciała rozmasować bolące miejsce.

Ktoś zapukał do drzwi. To nie były już godziny pracy, ale skoro tu siedziała, nie mogła tego zignorować.

– Proszę. – Z trudem wydobyła z siebie głos.

Znowu spojrzała na ekran komórki. Poczowała, że dłonie jej się spociły.

Do pomieszczenia weszła kobieta – sądząc po figurze, mniej więcej jej równolatka. Szczupła, zgrabna, choć niespecjalnie się z tym obnosiła. Sukienka zakry-

wała kolana, rękawy sięgały prawie łokcia. Gdyby nie to, że materiał był lejący, ubranie niewiele by zdradziło, ale twarz... Twarz sprawiała wrażenie o dekadę starszej od ciała. I Kranz już ją gdzieś widziała. Gładkie, proste, spięte w kucyk włosy mysiego koloru, jasna karnacja, oczy w kolorze rozwodnionej niebieskiej farbki akwarelowej. Twarz ładna, choć trochę zapuchnięta. Ta kobieta musiała niedawno płakać i raczej nie spała, o czym świadczyły sine cienie pod oczami. Skąd ona ją kojarzyła? Z Mieroszowa?

– Dzień dobry. Ja przyszedłam w sprawie córki.

Kolejna fala duszności. Sonia przesunęła papiery, żeby zasłonić leżący na biurku telefon.

– Zuzia zniknęła. Nie ma jej. Czekałam, długo czekałam, ale już nie mogę. Od wczoraj jej nie ma. I to nie jest żaden wygłup ani ucieczka, bo ja ją bardzo kocham. Ona to wie i też mnie kocha, na pewno. Zresztą nic nie zabrała, tylko telefon. I bluzę. Miała się spotkać z jakąś koleżanką, ale...

Soni dudniło w głowie.

To zdjęcie...

Dwie roześmiane dziewczyny. Obie w turkusowych bluzach.

Julka i Zuzia.

Rozdział 6

Powiedzieć matce, że jej dziecko nie żyje – do tego nie przygotowuje żadne szkolenie.

Kranz robiła to do tej pory dwa razy, każdy odchorowała.

Teraz było jej wyjątkowo trudno, bo wciąż miała przed oczami to zdjęcie – zamordowana dziewczyna i jej córka. Obie w jednakowych bluzach. Może tylko wycieczka losu zdecydowała, że Julka żyła.

– Już mi lepiej, tak.

Maryla Korczab poprawiła się na krześle. Drobnymi palcami rozpięła górne guziki sukienki. Małe, obleczone materiałem kuleczki łatwo ustępowały pod jej dotykiem. Musiała mieć w tym wprawę. Zresztą cała była taka – z wprawą w drobiazgowości. Obciągnęła sukienkę na kolanach, pogładziła włosy, dostawiła do siebie stopy.

Przed kilkoma minutami osunęła się na podłogę, a teraz wyglądała, jakby nic się nie stało. Jak szmaciana lalka, która się przewróciła, a poprawiona i otrzepana wygląda jak nowa.

– Czy rozpoznaje pani ten telefon? – zapytała Kranz, a tamta kiwnęła głową.

– To mojej córki. Zuzi. Zuzanna Korczab, właśnie ona za... jeszcze nie wróciła do domu.

Jeszcze nie wróciła do domu, powtórzyła w myślach Sonia. Opanowała drzenie ręki i znowu przesunęła palcem po ekranie. Za tą wspólną fotografią była pojedyncza, portret Zuzy. Znowu w turkusowej bluzie, na murku pod jakimś budynkiem. Siedziała wyprostowana, uśmiechnięta, patrzyła prosto w obiektyw. Kto był po drugiej stronie? Julka?

– Czy to jest pani córka? – Podeszła do kobiety i pokazała jej fotografię.

– Tak, to Zuzia – powiedziała w taki sposób, jakby niczego nie przeczuwała.

To było nieprawdopodobne, ale Kranz nie takie sytuacje oglądała. Mózg potrafi ochronić ciało. Błyskawicznie łączy fakty, wie, co za moment się wydarzy, więc likwiduje przepływ informacji. Blokada, wyparcie, odcięcie. To, co nie zostanie przyjęte, wypowiedziane, nie istnieje.

– Bardzo mi przykro, ale pani córka nie żyje. Wczoraj po południu znaleźliśmy jej ciało.

To samo zdanie, ta sama reakcja. Kobieta pokręciła głową. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej. W końcu zastygła i sięgnęła do torebki, czego poprzednim razem nie zrobiła. Wyjęła z niej portfel, otworzyła go, wzięła do ręki dowód osobisty i podsunęła Soni.

– Maryla Korczab to ja, a to... – Teraz jej szczupłe palce wsunęły się pod foliową przegródkę i wydobyły z niej zdjęcie legitymacyjne. – A to Zuzia, moja córka. Tak, to właśnie ona. – Pogładziła kartonik i znowu umieściła go w przezroczystej kieszonce. – Zaginęła. I ja się bardzo o nią martwię.

Rozpłakała się. To było takie delikatne, wycofane kwilenie.

– Bardzo mi przykro, pani córka nie żyje – powtórzyła Kranz.

Wzięłaby teraz każdą robotę, byle tylko nie wypowiadać tych słów. Nie musieć patrzeć, nie odpowiadać. Po prostu tu nie być.

– Nie żyje? Zuzia nie żyje? – Maryla Korczab spojrzała na nią, a Soni wydało się, że niebieski kolor jej oczu jeszcze bardziej się rozwodnił.

– Tak. – Kiwnęła głową.

Kobieta zbladła, zwiotczała i Kranz już wiedziała, że tamta zemdleje. Doskoczyła do niej i złapała ją w pasie, a potem powoli razem z nią osunęła się na podłogę. Ułożyła ją w odpowiedniej pozycji i już miała zadzwonić po karetkę, ale Korczab się ocknęła. Patrzyła na nią półprzytomnie, powoli się podniosła do pozycji siedzącej, po czym wstała, przytrzymując się ściany. Była jak trzcina, wiotka i krucha. Nie, jak wierzba raczej – niby też wiotka, ale giętka, wytrzymała.

– Już mi lepiej – powtórzyła.

Najpierw zemdląca – po cichu, jakby ktoś przekręcił jakiś przełącznik, a teraz wstała i zachowywała się tak, jakby tamto się nie wydarzyło, co znaczyło, że jeszcze nie dopuściła do siebie tej strasznej informacji.

Kiedy Krzysiek powiedział Soni, że odchodzi, też przez moment nie rozumiała, co do niej mówi, jakby podał jej tekst po mandaryńsku. Ale to była chwila, zaraz potem wiadomość do niej dotarła, a ona ją przyjęła. Choć na początku też wyparła, bo powiedziała „okej, rozumiem”, i poszła do sypialni. Nie zrobiła mu awantury, ani wtedy, ani potem. Po prostu jakby nic nie czuła. Płacz spadł na nią kilka dni później, tyle czasu mózg potrzebował na to, by się uporać z tą informacją i przeło-

żyć ją na komunikat: „On odchodzi od ciebie, będziesz sama”. Na skali stresu rozwód ma wysoką pozycję. Śmierć dziecka musi tę skalę rozsadzać.

– Podać pani wody? – zapytała.

– Wody? Poproszę, dziś tak duszno. Może będzie burza? Tak, pewnie tak. Byle tylko Zuzia nie poszła w góry.

Fala bólu najpierw ścisnęła klatkę piersiową Kranz, potem walnęła ją w żołądek, a na koniec zmiękczyła jej kolana.

Maryla Korczab wciąż była matką Zuzi – żywej Zuzi.

– Proszę. – Sonia postawiła na stole szklankę z mineralką. – Niech pani usiądzie.

Kobieta posłusznie przycupnęła na krześle, a potem sięgnęła po szklankę. Piła powoli, małymi łyчками, bezgłośnie. Kranz pomyślała, że wygląda ja mniszka albo zakonnica.

Usiadła naprzeciwko.

– Tak jak powiedziałam, potrzebna będzie jeszcze identyfikacja. Zapewne w poniedziałek.

– W poniedziałek.

– Tak. Jest mi bardzo, bardzo przykro, że pani córka nie żyje.

Patrzyła na nią. Kobieta przez chwilę siedziała nieruchomo, a potem zaczęła się trząść. W końcu się rozplakała. Płacz, na początku bezgłośny, szybko przeszedł w łkanie i zawodzenie.

Kranz lekko się podniosła, ale usiadła. Odsunęła się od biurka, otworzyła szufladę i wyjęła chusteczki. Przesunęła je w stronę kobiety. Odchrząknęła.

– Proszę.

Tamta spojrzała na nią i nic nie powiedziała. Twarz miała mokrą, łzy spływały jej po policzkach, skręcały na linii szczęki i sunęły dalej, po szyi. Kołnierzyk sukienki też był już wilgotny.

– Proszę. – Kranz powtórzyła.

Kobieta zawahała się, ale sięgnęła po paczkę i wyjęła chusteczkę. Potem drugą i kolejną. Mokre, zużyte listki papieru wkładała do kieszeni.

W końcu podniosła głowę i spojrzała jej w oczy.

– Dlaczego? Dlaczego? Przecież Uzik była taka dobra.

„Uzik”. Teraz Sonia sobie przypomniała. Julka użyła kiedyś tej ksywki, kiedy zapytała ją o szkolne znajomości. Najpierw coś tam odburknęła, wtedy jeszcze miała fazę buntu – wszystko, co związane z nowym miejscem, było złe, ale jakies dwa, a może trzy tygodnie później sama powiedziała, że jest jedna całkiem fajna dziewczyna. Poprosiła o pieniądze na coś słodkiego, bo chciała ją zaprosić. Może to była ta beza? Tak, beza, bo Julka płaciła kartą albo blikiem, przyszło powiadomienie o transakcji na koncie. Sonia zapytała, ale nie jakoś przesadnie dogłębnie. „Z klasy, jest nawet okej”. Za to z nią było wtedy mniej okej, nastrój jej dramatycznie tąpnął, może to nawet był jakiś epizod depresyjny. Wiedziała, że ma do tego prawo, że najpierw musi zająć się sobą, a dopiero potem innymi, bo jeśli tego nie zrobi, to i tak nie będą mieli z niej pożytku. Dlatego nie poszła na swoje jedyne i ostatnie w tym roku szkolnym zebranie. Umówiła się z wychowawczynią na spotkanie rano, przed pracą. Kwadrans i odhaczone. Gdyby wtedy zjawiała się w szkole, pewnie poznałaby Marylę Korczab. I czułaby się teraz o wiele gorzej.

A i tak miała poczucie winy – ogromne. „Najpierw jesteś matką”, powtarzała jej matka, choć ona sama najpierw była żoną, tyle że bez wzajemności, jeśli idzie o małżeńską lojalność. Soni poświęcała dużo czasu, no ale nie da się kogoś w pełni kontrolować z doskoku.

– Co się stało? Co się stało mojej córeczce?

Zuzia była z Julką w klasie, więc miała trzynaście–czternaście lat. Tak cholernie mało.

– Jesteśmy na początku śledztwa, wszystko jest na razie hipotezą.

– Ale co się stało? Jakiś wypadek, na drodze...?

Kranz pokręciła głową.

– Ktoś ją skrzywdził? – Kobieta spojrzała na nią tak, jakby dopiero teraz zrozumiała, że nie dość, że jej córka zginęła w sposób tragiczny, to jeszcze ktoś się do tej śmierci celowo przyczynił.

– Tak.

– Mój Boże, mój Boże! – Wybuchła płaczem. Ukryła twarz w dłoniach.

– Od razu powiem, że doszło do jednego zatrzymania w związku ze sprawą, ale na razie nikomu nie postawiono zarzutów – powiedziała Sonia.

– Kto to? Kogo zatrzymano? – Maryla Korczab podniosła głowę i spojrzała na nią.

- Na razie nie udzielamy takich informacji.
- Ale ja jestem matką, mam chyba prawo...
- Dowie się pani o wszystkim w poniedziałek. Czy mogłaby pani odpowiedzieć teraz na kilka pytań?

Kobieta milczała.

- To może być pomocne.

Kiwnęła głową.

- Kiedy ostatni raz widziała pani córkę?
- Wczoraj. Przed wyjściem do pracy.
- Gdzie pani pracuje?
- Prowadzę sklep z używaną odzieżą.

No tak! To tam ją widziała. Była raz z Julką, bo córka wypatrzyła na wystawie jakąś bluzkę, podobno markową, więc zaciągnęła Sonię do środka. Cztery pięćdziesiąt, a tyle radości, choć na chwilę. Już tam nie wróciły, to znaczy nie razem, bo Julka coś jeszcze kupiła w tym sklepie.

- Kiedy zaniepokoiła się pani nieobecnością córki?
- Po pracy jeszcze nie. Wakacje są przecież, no i miała się spotkać z jakąś koleżanką.
- Mówiła z jaką? – Puls Soni przyspieszył.
- Nie. Ona w ogóle jest raczej skryta. Była... – Łzy znowu popłynęły.
- W jakim wieku je... była córka? – Kranz popełniła ten sam błąd. Trudno zmienić czas z teraźniejszego na przeszły.
- Czternaście lat.
- Dlaczego nie zgłosiła pani zaginięcia wczoraj?
- Ja... Nie wiem sama.
- Czy takie sytuacje, że córka zniknęła, już się zdarzały?
- Nie, nigdy. Ja nigdy nie miałam żadnych problemów z Zuzią.
- Nie martwiła się pani, że córka nie wraca? Że nie ma jej w domu w nocy?

Kobieta zaczęła wykręcać sobie palce.

- Ja nie sądziłam, że to coś złego. Pomyślałam, że może właśnie jest u kogoś, może się zasiedziła. Ja wieczorem biorę leki nasenne i musiałam szybko zasnąć,

tak bez kontroli. Gdy się obudziłam i jej nie było, to się złąłam, ale do pracy musiałam pójść. Potem przyszłam tu, ale było zamknięte. Teraz wróciłam. Nie chciałam robić problemów. Bo gdyby się okazało, że wszystko w porządku, to po co to?

– Po to jest policja.

– No ale to by zostało w papierach. Może by Zuzi potem zaszkodziło, ja nie wiem...

Kranz pomyślała, że matka ofiary wygląda na osobę bardzo lękową. Czy te lęki wynikały z jej charakteru? A może z doświadczenia?

– Czy w domu jest ktoś, kto mógłby po panią przyjść, przyjechać, a potem z panią zostać?

– Nie ma. – Pokręciła głową.

– A pani mąż, ojciec Zuzi?

Świadomie nie wstawiła między te określenia „czyli”. To przecież mogły być dwie różne osoby.

– Mąż wyjechał.

– Na długo?

– Dwa dni temu, ma wrócić w poniedziałek.

– Zadzwoń pani do niego teraz?

– Ja nie wiem... Może lepiej to powiedzieć osobiście? To taki stres...

Sonia odniosła wrażenie, że ten stres dotyczy nie tyle rozpaczy po śmierci dziecka, a... właśnie – czego?

– Państwa relacje są...? – Patrzyła na Marylę Korczab.

– Poprawne. To znaczy dobre.

To może znaczyć, że słabe, pomyślała. Ale może to nie miało znaczenia w tym przypadku? Gdyby coś stało się Julce, Krzysiek nawet teraz na pewno wszystko by rzucił i przyjechał. W końcu to jego córka, jedyne dziecko.

– Ma pani rację. – Maryla Korczab jakby zmieniła zdanie. – Ja zadzwonię. Z domu. Mąż wróci wcześniej. Od razu.

– Daleko pojechał?

– Za granicę, do Czech. Do Pragi. I jeszcze gdzieś, nie pamiętam, wyleciało mi z głowy. Jest przedstawicielem handlowym.

- A jest jakaś sąsiadka albo przyjaciółka, która mogłaby teraz z panią побыć?
- Sąsiadka, tak. Jest.
- Odwieźć panią do domu?
- Nie, dziękuję. Ja się przejdę. Na Powstańców mieszkam, zresztą tu wszędzie blisko. Zuza to nawet roweru nie brała...

Maryla Korczab wstała, przez chwilę patrzyła na nią, a potem odwróciła się i wyszła z posterunku. Kranz podeszła do okna. Początkowo w ogóle jej nie widziała przez tę mleczno-bambusową folię na szybie. Kobięca sylwetka pojawiła się mniej więcej na wysokości połowy rynku. Szła chodnikiem, powoli, zgarbiona. Zatrzymała się przy sklepie przemysłowym, gdzie było wszystko, jak w dawnych gesach na wsiach – w witrynie stały słoiki, sztuczne kwiaty w wazonach, na wieszakach pod sufitem wystawiono koszulki, a na szybie przyklejono kartkę „Wjechały letnie sandały”.

Maryla Korczab weszła do środka, a kiedy znowu pojawiła się w drzwiach, trzymała w ręku jakąś torbę. Nie, to nie była torba, tylko opakowanie węgla albo brykietu.

Ta scena była absurdalna. Kupować coś takiego, kiedy przed chwilą człowiek dowiedział się o śmierci dziecka? A może właśnie kupować, żeby choć przez chwilę udawać, że to najstraszniejsze się nie wydarzyło?

Kranz przypomniała sobie, że też musi zrobić takie zakupy – obiecała Julce ognisko.

Kiedy szła do samochodu z brudzącą palce czarno-czerwoną papierową torbą, pomyślała, że ma cholerne szczęście w życiu.

Do szosy Wałbrzyskiej wybrała inny niż zwykle dojazd – ulicą Powstańców. Jechała powoli, rozglądając się.

Marylę Korczab zobaczyła przy ostatnim przed mostem domu po lewej stronie. Budynek kryty czerwoną dachówką był cofnięty od ulicy. Przed nim rósł wielki dąb. To właśnie pod tym drzewem, oparta plecami o pień, siedziała matka Zuzi. Twarz miała ukrytą w dłoniach.

Worek z brykietem został przy na wpół otwartej furtce.

Sonia przejechała przez drewniany most, który stukotał pod ciężarem auta.
A może to jej serce tak waliło?

– O! – zdziwiła się.

Na stole w kuchni czekała na nią przygotowana kolacja. Sałatka z jarzyn, pokrojony biały ser, ugotowane jajka. To wszystko wyglądało jak z lekcji zajęć praktyczno-technicznych, które Kranz miała w podstawówce. Widać było zarówno zaangażowanie, jak i brak wprawy.

– Miło, naprawdę. Dziękuję. – Usiadła przy stole.

– Fajnie, że ci się podoba. – Julka też usiadła. – Pomyślałam, że będziesz głodna, a poza tym ostatnio jakoś tak między nami iskrzyło. Wiem, że masz tyle na głowie, że jest ci smutno, bo tata... – Odchrząknęła. – No a teraz jeszcze masz dużo pracy. Jesteś nowa, musisz się wykazać. Ja to wszystko rozumiem, tylko mnie też jest czasem źle. Z powodu ojca chyba najbardziej, ale poza tym takie różne...

– Jakie: różne? – Sonia mówiła ciepłym, kojącym głosem, choć tak naprawdę szybko by zjadła, popiła winem i poszła spać. Teraz jednak, jak nigdy wcześniej, była przekonana, że żadnej rozmowy z dzieckiem nie powinno się odkładać na potem, bo nie wiadomo, co to „potem” przyniesie.

Julka grzebała widelcem w sałatce. W końcu się odezwała:

– No bo myślałam, że jakoś mi się tu udało... że znalazłam sobie przyjaciółkę, taką prawdziwą.

Kranz się spięła. Nie planowała tej rozmowy teraz, chciała jutro pogadać z Julką, jakoś delikatnie jej o tym opowiedzieć.

– Mówiłam ci kiedyś, że jest taka jedna dziewczyna. I że ją lubię. No, to było takie ogólne. Bardzo ją polubiłam, a ona mnie. Zaprzyjaźniłyśmy się, przynajmniej tak myślałam. Że bratnia dusza. Ale teraz...

Sonia nic nie mówiła. Jeszcze przez chwilę nie.

– Miała się odezwać, ale się nie odezwała. Nie będę się narzucać. Jak nie chce, to nie. Pewnie wybrała kogoś innego, w końcu te dziewczyny zna od pierwszej klasy... – Julka pociągnęła nosem.

– Słuchaj... Musimy porozmawiać. Muszę ci o czymś powiedzieć.

– Tak? – Córka spojrzała na nią spłoszona.

Nie da się oszukać kogoś bliskiego – ton głosu, spojrzenie, mimika... W każdym razie nie da się ukryć prawdy na linii matka–dziecko. Wtedy, gdy w grę wchodzi więzy krwi.

– Zuzia, bo o niej mówisz, prawda? – zaczęła Sonia.

Córka kiwnęła głową.

– Zuzia nie żyje.

Julka siedziała bez słowa. Powoli bladła, jakby przykrywała sobie twarz kolejnymi warstwami białego pudru.

– Zuzia!? Ta Zuzia? Zuzia Korczab!? – zapytała, wpatrując się w matkę w taki sposób, jakby oczekiwała, że jest w stanie zmienić fakty.

– Julcia... – Sonia wstała od stołu i uklękła przy córce. – Jest mi tak strasznie przykro. Tak strasznie, strasznie przykro.

– Nie żyje?

– Nie żyje.

– Ale co się stało? Dlaczego?

– Nie wiem, ale się dowiem.

– Wypadek?

– Nie.

– Czy to znaczy, że... – Julka otworzyła szeroko oczy. Zrozumiała.

– Córciu, ja nic więcej ci teraz nie powiem. Dlatego, że niewiele więcej wiem, a poza tym nie mogę.

– To dlatego mówiłaś mi o psach? Dlatego tak się bałaś i zakazałaś wychodzić z domu? Ktoś jej coś zrobił? Zrobił, prawda?

– Tak. Ktoś jej coś zrobił.

Julka zaczęła płakać. Sonia przytuliła się do niej – głowę położyła jej na kolanach, rękami objęła ją w pasie. Wzięłaby na siebie ten ból, gdyby mogła.

Minęło kilka minut, może więcej, nim Julka ucichła. Siedziała bez ruchu, opuchnięta, zgarbiona.

Sonia się podniosła.

– Wiem, że teraz jest ci trudno, ale muszę cię o coś zapytać. Bluza, ta turkusowa, od ojca. Zuzia miała taką samą?

Julka pokiwała głową.

– To drogi ciuch, a Zuzia...

– Ojciec kupił dwie. Poprosiłam go o to. Chciałam, żebyśmy miały identyczne. Jej mama pracuje w lumpku, wiesz, tym przy rynku, i Zuzia zwykle stamtąd ma ciuchy. Chciałam, żeby dostała coś nowego, ładnego. Bardzo jej się spodobała. Bardzo. – Julka znowu zaczęła chlipać. – Ona była naprawdę okej. Taka normalna, fajna. Dobrze się uczyła, ale nie jak kujonka, po prostu była mądra. I myślałyśmy, że razem będziemy jeździć do liceum, a potem... Bo ona chciała się stąd wyrwać. Pojechać gdzieś daleko, żyć inaczej. – Rozszlochała się.

Sonia znowu ją przytuliła. Będzie musiała zadać córce kilka pytań, ale to poczeka do jutra. Albo do poniedziałku. Tyle, ile potrzeba.

– A wiesz, co jest najgorsze? – Julka spojrzała na matkę. – Że myśmy się tak jakoś kulawo rozstały. Ja się spieszyłam, bo myślałam, że ojciec... A on nie przyjechał. Bez sensu, no bez sensu. Bo tak na szybko tylko do niej zawołałam, żeby do mnie zadzwoniła, to pogadamy. A ona już nie zadzwoniła.

Zadzwoniła, pomyślała Sonia. Zuzia kilka godzin przed śmiercią dzwoniła, ale połączenie nie zostało zrealizowane, bo Julka miała wyłączony telefon.

A gdyby Julka nie zwiłała tego dnia z domu? Gdyby nie była zła na ojca i cały świat i gdyby Zuzia się do niej dodzwoniła?

Czy Zuzia by żyła?

A może obie znaleziono by martwe?

Rozdział 7

– Bardzo interesujący przypadek.

Patomorfolog czekał na Sonię Kranz w korytarzu wałbrzyskiego Zakładu Medycyny Sądowej. Wyglądał, jakby był tuż przed emeryturą, choć mogła się mylić – zbytnia szczupłość zawsze dodaje lat, przynajmniej na twarzy. Kiedy szedł zwyczajnym, szybkim krokiem, sprawiał wrażenie pięćdziesięciolatka, ale już z bliska, gdy patrzyła na jego bardzo pomarszczoną twarz, dodała mu dziesięć–piętnaście lat. Tylko oczy miał młode – bystre, przenikliwe. Przywitał się z nią mocnym uściskiem dłoni.

– Zanim wejdziemy, krótkie podsumowanie. Dziewczyna zginęła od ciosu w głowę. Metalowe narzędzie, ciężkie, tępe, zakończone płaską, niezbyt dużą powierzchnią. To mógł być młotek, może jakieś większe dłuto o takiej budowie. Śmierć nastąpiła bardzo szybko. Można mieć nadzieję, że nie była bolesna, bo w wątrobie są ślady po podaniu pankuronium. – Spojrzał na nią, a ona kiwnęła głową. – Bromek pankuronium, znany jako pavulon – dodał.

– Łowcy skór.

Od razu skojarzyła. Tą sprawą żyła cała Polska. Łódzkie pogotowie i „handel” zwłokami, właściwie doprowadzanie do tego, by pacjenci stali się zwłokami, a później „sprzedawanie” ich zakładom pogrzebowym.

– Mówię, że można mieć nadzieję, bo dawka była mała. Albo ten ktoś zupełnie się nie zna, albo chciał osiągnąć taki efekt: tylko trochę unieruchomić. Motywacje to już pani działka.

– Zrobił jej zastrzyk?

– Tak. W ramię, od tyłu, pod takim kątem, jakby się posługiwał nożem.

– Niewprawnie?

– I tak, i nie. Wkłucie było całkiem sprawnie zrobione, ale nieprofesjonalnie, znaczy nie ręką medyka. Tych, co mają kontakt z zawodem, można wykluczyć, u nich to odruch.

– A sam preparat?

– Pyta pani, skąd go wziąć? Wszystko można kupić. Żyjemy w czasach nieograniczonych możliwości. – Uśmiechnął się ironicznie.

– Czy została zgwałcona?

– To też interesujące, oczywiście w kontekście przypadku. Tak, doszło do stosunku seksualnego. Brak śladów obrony, ale to może mieć związek ze zwiotczeniem. Najbardziej prawdopodobna sekwencja zdarzeń: zastrzyk, ona traci kontrolę nad ciałem, choć nie do końca, następuje uderzenie, z pewnością wtedy, gdy była w pozycji leżącej, i odbycie stosunku już po śmierci, ale to kwestia minut. A potem przeciągnięcie ciała.

– Plamy na dłoniach?

– Coś jadła. Może lody. Może piła coś kolorowego. W każdym razie to nie krew.

– A ten ślad na udzie? To sperma?

– Tak. Kolejny ciekawy punkt: w pochwie żadnego śladu, to był seks z zabezpieczeniem. Krótki, mało inwazyjny. A ten ślad na udzie powstał zapewne już wtedy, gdy została przeciągnięta z jednego miejsca na drugie.

– Ona wcześniej współżyła?

– Nie. Ten ktoś zadbał o swoje bezpieczeństwo, przynajmniej na tym odcinku, bo miał na dłoniach rękawiczki lateksowe. Na jej naskórku są ich ślady.

– Niespójne.

– Owszem. Niekonsekwentny zabójca. To teraz chodźmy, opowiem szczegółowo.

Po półgodzinie wyszła z budynku. Głęboko oddychała. Profilaktycznie nie zjadła śniadania, przed wejściem wzięła trzy drażetki gumy miętowej, tak aromatycznej, jakby ją naszpikowano olejkiem eukaliptusowym.

Zawsze była wrażliwa na zapachy, za mocne, drażniące, wywoływały u niej mdłości. Cotygodniowe froterowanie parkietu w domu dusząco-śmierdzącą pastą było dla niej mordęgą. „Tak trzeba, nie dyskutuj z koniecznością”, rzucała matka, sunąc na filcach przez pokój.

Dała radę. Wtedy gorzej, teraz lepiej. A może to kwestia przeniesienia uwagi? Kiedy patrzyła na młode martwe ciało Zuzanny Korczab, myślała o kilku spr-

wach.

O Julce, która została rano w łóżku, z lekką gorączką. Kranz uznała, że to żaden wirus, tylko stres.

O tych szczegółach morderstwa, o których właśnie usłyszała. Doktor Zachwat był bardzo oddany swojej pracy: skupiony, drobiazgowy, profesjonalny. Same fakty, żadnego fantazjowania. Miała wrażenie, że rozmawia z maszyną – miłą, ale bez zaawansowanego interfejsu relacji międzyludzkich. To był chyba wynik jakiegoś zaburzenia, odmienności w rozwoju mózgu, trudny do wychwycenia, zwłaszcza przez laika, jednak ona od razu to dostrzegła. Zachwata można by nazwać dobrym specjalistą, skupionym na pracy zawodowcem. Jak sam mówił, interesowało go „studium przypadku”, człowiek – mniej. Ten przypadek był „ciekawym”. Co to oznaczało w przełożeniu na śledztwo? Że nie będzie proste, chociaż...

Telefon. Nadkomisarz Kwiatkowski z komendy w Wałbrzychu.

– Już po sekcji?

Był konkretny, choć akurat w jego przypadku skupienie na pracy miało inne źródło niż u Zachwata.

– Po.

– I?

– I „interesujący przypadek”.

– Czyli Zachwat przy tym robił.

Wydawało jej się, że wyczuła w jego głosie lekkie zaniepokojenie.

– Podsumowując: sprawca wstrzyknął jej pavulon, ale małą dawkę. Potem cios w skroń, gwałt, szybki, bez oznak dewiacji, z zabezpieczeniem. Potem przeciągnięcie ciała kawałek od miejsca zabójstwa, czyli od domu do fundamentów, tam pewnie powstaje ślad na udzie, czyli sperma.

– Tej Rudej, znaczy tego Rudy?

– Czekam na wyniki.

– To kluczowe dla sprawy.

Przez chwilę się wahała.

– Nie jestem przekonana.

– Bo...?

– Bo jest w tym jakiś rozjazd. Z jednej strony zabójca jest przygotowany, wkłada rękawiczki lateksowe, prezerwatywę, ma pavulon, młotek albo inne narzędzie, nie zostawia śladów, a z drugiej strony ta sperma. To nie ma sensu. To się nijak nie klei.

– Może ten Ruda nie jest aż tak głupi? Może coś przemyślał, a potem uległ impulsowi? A może działał z kimś do spółki? Na przykład z właścicielem tego domu? Sprawdziłaś go?

Dębski nie miał alibi, to już wiedziała, przecież sam jej powiedział.

– Tyle że nie był karany. Do tej pory głównym podejrzanym był Ruda.

– Chyba wciąż jest?

– Nie mam tej pewności.

Właściwie – nie miała przekonania.

– Pewność przyjdzie razem z wynikami. Jeśli to jego sperma, to podane jak na tacy.

– Prokuratorka wystąpiła o zbadanie poczytalności.

– Oni wszyscy niepoczytalni! – prychnął Kwiatkowski. – Dziwactwo i nieuctwo nie robi z człowieka wariata.

Zygmunt Kwiatkowski był z natury konkretny i praktyczny, szybki w osądach, nigdy się nie wahał. Na ogół nazywano go męskim i stanowczym, ale raz usłyszała też „bezrefleksyjny” i właśnie z tą opinią się zgadzała.

– Na okoliczność takiego rozstrzygnięcia trzeba będzie wziąć się za wariant ze współdziałaniem, a tu nam wskakuje Dębski. Słyszałem, że ma ciekawą przeszłość. Wyjechał z Krakowa, gdzie pracował jako nauczyciel. Tam podobno była jakaś niefajna sprawa.

– Coś więcej? – spytała. – Bo w papierach ma czysto.

Było jej głupio, że odpuściła tę sprawę. Czuła, że z tym facetem jest coś nie tak, ale nie obstawiała tego kierunku. Lowelas stylizowany na filozofa, tak go oceniała. I tak, to jest niefajne, jednak do zbrodni to stąd jeszcze daleko.

– Nic. Zresztą to informacja z dziś, świeża. Rozmawiałem z Wrocławiem.

„Wrocław” oznaczał szefa Komendy Wojewódzkiej.

– Sprawdź to – rzucił Kwiatkowski.

– Okej.

– Przekaz jest taki, że na pewno sobie poradzisz, to pierwsze. Drugie, że Sokołowsko i te tereny są turystyczne. I że i tak ledwo zipią, bo covid, bo ludzie wolą Karpacz czy Szklarską, bo tam od dawna ładnie, a tu dopiero się robi. I że nie jest dobrze, że płynie w świat informacja o zbrodni na młodej kobiecie. To nie zachęci do wypoczynku.

Zadziwiająca troska, pomyślała Kranz.

– Zwłaszcza że w Sokołowsku właśnie powstała inwestycja: pensjonat w odrestaurowanym budynku. Wysokiej klasy obiekt, dopiero zaczął działać. I trzy ważne rezerwacje zostały anulowane.

I drobiazgowo.

– Właścicielką jest żona szefa.

No tak, sprawa natychmiast się rozjaśniła.

– To oczywiście tylko informacja, żadnych nacisków, ale pokazuje społeczną skalę problemu.

Co on pieprzy, jaka społeczna skala? Problemem jest śmierć czternastolatki, a nie mniejsze zyski żony szefa.

– Jasne.

Nie starczyło jej odwagi na szczerzy komentarz. To w sumie była niezła posada, bez nocek. Po co miałyby to psuć. Praktyczny konformizm, nie powinna się czuć źle. No ale czuła się źle.

– Dobra, to informuj mnie. Nie muszę dodawać, że lepiej zamknąć tę sprawę szybko. Toby był twój dobry start w nowym miejscu i pokazanie, że warto otwierać posterunki nawet w małych miejscowościach. Teraz wszędzie presja kasy, kto wie jakie będą decyzje: czy utrzymać, czy za jakiś czas zamknąć. Wiele zależy od statystyk.

To też tylko informacja? Kolejne niezadane pytanie. W prosektorium utrzymała żółć w żołądku, teraz poczuła nieprzyjemne pieczenie w przełyku.

– Jasne.

Kwiatkowski się rozłączył.

– Kurwa, no – rzuciła w powietrze.

Nie przeklinała bez potrzeby, ale tylko tak potrafiła luzować napięcie. W towarzystwie rzadko, chyba że z kimś bliskim. Kiedy była sama – często.

Spojrzała na zegarek. Za dziesięć minut pojawią się tu Korczabowie, żeby zidentyfikować ciało. „Weź tę posadę. Pipidówa, co tam się może wydarzyć? Może bez wyzwania, ale po co ci teraz wyzwania? Mało ci innych?”, przekonywała ją Magda.

– Kurwa, no – westchnęła smutno.

Dostrzegła zbliżającą się do budynku parę. Dwie ciemne, zgarbione postaci. Jedną z nich rozpoznała – to była matka Zuzi. Mężczyzna obok musiał być jej mężem.

Wyglądali na zjednoczonych cierpieniem. Może dopiero takie tragedie łączą ludzi?

– Błyskawiczna decyzja.

Po tygodniu świetnej pogody poniedziałek przywitał Mieroszów niebem zasnutym chmurami. Temperatura spadła tylko o dwa stopnie, więc nadal było ciepło, tyle że zrobiło się parno.

– Osobiste wstawiennictwo Wrocławia.

Prokuratorka podała tę informację zwyczajnym tonem, jakby nic jej nie dziwiło.

– Przyglądają się tej sprawie. W pełni zrozumiałe, zabójstwa popełniane na dzieciach zawsze bulwersują opinię społeczną.

Zawsze. Jak tamta sprawa – jedna z dwóch dziecięcych śmierci, którymi się zajmowała. Chłopczyk, siedmiolatek przetrzymywany w piwnicy i bity. Konał kilka dni. Kranz przez parę tygodni budziła się w nocy z koszulą przyklejoną do pleców – obraz tego dziecka na zimnej betonowej podłodze, ze złamaną nogą i ręką, posiniaczonego, z krwinkami, bez jedzenia i picia, tracącego i odzyskującego świadomość przed śmiercią, nie dawał się usunąć. O czym myślał? Jak bardzo cierpiał? Czy chciał żyć, czy się poddał, przeczuwając, że niebycie wreszcie uwolni go od świata dorosłych, którzy zadali mu tyle bólu?

Zabił go kochanek matki. Zazdrosny o czas, jaki mu dawała. Zresztą jej też przeszkadzał, ale nie aż tak. Ojciec, który który po rozwodzie niby walczył o prawo do opieki nad synem, choć tak naprawdę chodziło mu o dowalenie byłej żonie i niepłacenie alimentów, kiedy się zorientował w sytuacji, przestał się starać. Skoro dziecko wadziło żonie, to on go już nie chciał, bo poszedłby jej na rękę. Syn był instrumentem w rozgrywce, w sumie nikomu na nim nie zależało. Śledztwo nie

trwało długo, choć ślady dobrze zatuszowano. Kiedy się okazało, że zabił znany polityk, sprawa wyhamowała. „Znaczenie społeczne”. Nie mogła w to uwierzyć. Facet катуje dziecko, jest agresywnym, bezrefleksyjnym typem, a tu argumenty, że owszem, może ma taki „rys charakteru”, ale jest twarzą ważnej społecznie ustawy, którą przygotowywano kilka miesięcy, i teraz wszystko by się zawaliło, gdyby go przedstawić w złym świetle.

W końcu go skazano, po wielu miesiącach i po opinii, że w momencie popełnienia przestępstwa miał częściowo zniesioną poczytalność.

„A podczas społecznie ważnej pracy polityka był poczytalny?” Wtedy o to zapytała, miała dużo pieniędzy i mogła się kopać z koniem. Nieskutecznie, ale dla sumienia liczą się starania, a nie efekt.

– To więcej niż superekspres – powiedziała.

Wojciech Ruda był po pierwszej konsultacji psychiatrycznej, która zakończyła się zgodą na wizję lokalną z jego udziałem.

Prokuratorka milczała.

– Halo? – Kranz w końcu rzuciła w ciszę.

– Tak. No cóż, taka decyzja. Wszystko, co przybliży do rozwiązania sprawy, służy jej oczywiście.

– Kiedy mają być wyniki kolejnych badań?

– We wtorek.

– Też ekspresem.

– Zobaczymy się na miejscu.

Mitaj się rozłączyła.

Kranz jeszcze przez chwilę posiedziała w aucie, a potem wysiadła. Zaparkowała na dole, przy strumieniu. Miała jeszcze dwadzieścia minut do rozpoczęcia dyżuru.

Słońce wiele załatwiało. Teraz, kiedy było szaro, miasto traciło na uroku. Gdyby pozbawić je zieleni, zostałyby tylko smutek i apatia.

Minimarket Bandilandia. Duży baner, w tle jakieś budynki udające metropolię, a z przodu dwie kobiece sylwetki w typie *Seksu w wielkim mieście*. Kawałek dalej Shop in, miejsce tanich zakupów. Solarium i bieżnia pod ciśnieniem. Fryzjerstwo Koczek i stylizacja paznokci. Wszystkie lokale z usługami dla kobiet. No, prawie

wszystkie, był też cukierniczo-monopolowy. Pół na pół: cukier dla niej, na osłodę, procenty dla niego – na odcięcie.

Zastanawiała się, jak ludzie dobierają się tu w pary. To w ogóle był coraz większy problem, tak wynikało z różnych badań i codziennych obserwacji. Kobiety generalnie szły do przodu, faceci jeszcze nie do końca się zorientowali, że patriarchyta się chwieje. To, co kiedyś oznaczało normę, teraz przestawało nią być. Kasa, od niej wiele zależało. Niezależność uwalniała od konieczności związku. Kobieta, która dawała radę się utrzymać, nie musiała się godzić na kiepską relację i wiele rzeczywiście się nie godziło, przede wszystkim młodych. Starsze, którym zdecydowanie trudniej było udowodniać, że chceć to móc, wciąż trwały w kulawych układach, a ich partnerzy rzadziej doświadczali na sobie kruszenia starego systemu.

Minęła lumpek, w którym pracowała matka Zuzi. Zamknięty; ciekawe, czy dziś przyjdzie do pracy.

Poprzedniego dnia była zdecydowanie spokojniejsza. Przyjechała na identyfikację razem z mężem. Kranz inaczej go sobie wyobrażała. Maryla Korczab, mimo stylistyki, która w ogóle nie podkreślała jej urody, była ładną kobietą. Kiedyś musiała być bardzo ładną dziewczyną. Kojarzyła jej się z Polą Raksą – miała w sobie taką samą delikatność. Córka się w nią wdała, choć w wersji bardziej kobiecej: jaśniejsze włosy, pełniejsze kształty. Grzegorz Korczab wydawał się całkiem w porządku. Starszy od żony, postawny. Przyszedł w ciemnych okularach; kiedy zdjął je w budynku, Kranz zobaczyła zaczerwienione oczy. Pomyślała, że ten mężczyzna nie lubi okazywać słabości. Stał blisko żony, podtrzymywał ją, wyprowadził z wykafelkowanego pomieszczenia prosektorium, trzymając pod ramię, żeby nie osunęła się na podłogę. Milczący, sprawiał wrażenie troskliwego. Może pochopnie oceniła tę relację? Maryla była na pewno bardzo wrażliwa, delikatna, Grzegorz był facetem i to on przejął dowodzenie, ale taka dynamika pary: jedno potrzebuje prowadzenia, drugie prowadzi.

Zidentyfikowali córkę. Kiedy Korczab pytał o postępy w śledztwie, Kranz odpowiadała zdawkowo. Zdenerwował się, gdy nie podała szczegółów zatrzymania. „Tu chodzi o dziecko. O dziecko!”, uniósł się, a potem przeprosił. Rozumiała, nie brała tego do siebie. I jednocześnie brała. Odsuwała myśli o Julce – do roboty nie można przynosić spraw domowych, tyle że tutaj zrobiła się pętla.

Doszła do cmentarza. Zerknęła na zegarek. Zostało jej dziesięć minut – akurat na powrót.

Spojrzała na stojak z miotłami. Najwyraźniej były majątkiem wspólnym. Do wzięcia, uprzątnięcia grobu i oddania. Aż dziwne, że nie zginęły. Może dlatego, że w sumie niewiele warte, a może dlatego, że cmentarne.

Zawahała się, ale weszła na ogrodzony teren. Lubiła cmentarze, wbrew oczywistemu charakterowi wiele mówiły o życiu.

Spacerowała główną alejką, przyglądała się nagrobkom. Średnia długość życia mężczyzn zawsze była mniejsza niż kobiet, ale tu te dysproporcje były naprawdę duże. Sonia szybko doszła do wniosku, że na Dolnym Śląsku faceci żyją średnio pięćdziesiąt lat. Ci, co pokonują te statystyki, wystają potem na rynkach i placach, konserwując się alkoholem.

Zawróciła. Znowu pomyślała o Korczabach. Bała się o matkę Zuzi – czy czegoś sobie nie zrobi, czy wytrzyma? Wytrzymała. Ojciec na pozór wyglądał lepiej, ale może to tylko właśnie poza?

Rozdział 8

Dziewięć spraw. Trzy zakończone fiaskiem, dwóch sprawców wciąż w więzieniu, czterech na wolności.

Taki był bilans przestępstw na tle seksualnym z tego terenu prowadzonych w ciągu ostatnich lat – spraw ujawnionych, bo te niezgłoszone mogły solidnie zmieniać statystyki. Część ofiar milczała ze wstydu, bo nie wierzyła w system sprawiedliwości albo dlatego, że przestępcą był ktoś bliski.

Zbrodnie domowe, w których motywem jest niepowściągnięty popęd, należały do najtrudniejszych, bo w tego typu sprawach trzeba było pokonywać opór ofiary przed tym, żeby zeznawać przeciwko komuś najbliższemu. Ta bliskość bywała formalna, na przykład w przypadku żony, albo genetyczna – w przypadku córki, siostry, wnuczki. Tę drugą dodatkowo obciążało poczucie lojalności, oczywiście zawsze skierowanej w jedną stronę: od pokrzywdzonej (czasem pokrzywdzonego) do oprawcy (bardzo rzadko oprawczyni).

– Cześć. – W drzwiach pojawił się sierżant Majkowski.

– Cześć. – Kranz odsunęła się od biurka.

– Koszmarna sprawa. Strasznie przykra. Nie było tu takiej. Wypadek na drodze, wtedy też zginęła nastolatka. Ale zabójstwo... – Mężczyzna patrzył na nią ze szczerym przejęciem.

– Przykra. – Pokiwała głową. – A jak było na wyjeździe?

– Byłoby lepiej, gdybym nie myślał o tej dziewczynie. Nie da się tak odciąć, nie?

Nie dało, dlatego tak ważne było zaplecze: życie rodzinne, związek, przyjaźnie, hobby – wszystkie odskocznie, które pozwalały na złapanie równowagi.

– Rozmawiałem z Markiem. Jutro wizja lokalna?

Znowu pokiwała głową. Była sceptyczna, no jak by miała nie być? Owszem, życie potrafi zaskoczyć, ale nie aż tak. Gdyby tak rozwiązywało się wszystkie sprawy, do pracy w policji mógłby iść każdy, a jednak nie każdego przyjmowano.

– O. – Zobaczył wydruki, które miała rozłożone na biurku. – Jakiś inny trop?

Trochę się spieszył, kiedy na niego spojrziała. Majkowski też miał problem z pilnowaniem granic. U Ranika wynikało to z braku... nie wiedziała, jak to nazwać – ogłady? Nie, nie do końca, przecież nie był chamski ani niemiły, po prostu nie zawsze czuł konwenans, a do tego wyrósł w tradycyjnej rodzinie i wchłonał pogląd stawiający faceta na pierwszym miejscu. Szefowa musiała mu trochę doskwierać. Nie traktował jej tak serio, jak traktowałby faceta, który zostałby kierownikiem tego posterunku. U Majkowskiego zaś emocja była zawsze trochę przed myślą. Oczywiście próbował nad tym panować, ale z naturą niełatwo się wygrywa.

– Rutynowe sprawdzanie, czynność równoległa, gdyby trop z Rudą nie wypalił.

– On jest dziwny, ale żaden z niego zabójca. To moje zdanie. – Podniósł ręce w obronnym geście. W ogóle dużo gestykulował. Włoski typ, nawet z wyglądu.

– Podobno ma za sobą zoofilię. – Popatrzyła na niego.

Skrzywił się.

– Wiem, słyszałem. Wtedy, po tamtej interwencji z psem. Ludzie gadają, bo lubią gadać, i wierzą w przeróżne rzeczy, zupełnie bez refleksji.

– Ty w to nie wierzysz?

– Nie. Widziałem go kiedyś u nas na placu. Siedział na ławce, dłonie miał złożone i coś w nich trzymał. Przechodziłem, patrzę, a tam motyl. Z oberwanym skrzydłem. On go potem do pudełka położył, narwał mu trawy i chciał go ratować.

– Hitler też lubił zwierzęta.

– Nie, to...

– Podpuszczam cię. – Uśmiechnęła się mimowolnie. – Ruda też mi się nie klei. Za bardzo nadaje się na kozła ofiarnego. A co wiesz o Dębskim?

– Tym, który znalazł dziewczynę?

– Tak. I tym, do którego się włamano.

– Człowiek, który chce uciec z systemu.

– Podobno był nauczycielem.

Wzruszył ramionami.

– Nic o tym nie wiem. Teraz pracuje w sklepie ze starociami, sprzedaje też swoje prace w internecie.

– Mógłby zabić i zgwałcić dziewczynę?

– No, w takim sensie, jak każdy – odparł po chwili Majkowski. – To znaczy nie da się tego wykluczyć, ale pytanie po co. On mógłby inaczej to załatwić. Jest przyzwoity, ma coś w sobie.

Ma, pomyślała Kranz.

– Ja mam teraz kilka spraw w rejonie. Wypiję szybką kawę i pójdę. Trochę jednak jestem niewyspany. – Uśmiechnął się po raz pierwszy podczas tej rozmowy, a Kranz nie miała wątpliwości, że przyczyną tego stanu było „załatwianie spraw” podczas wyjazdu.

Wróciła do swoich papierów i do komputera.

Trzy godziny później wstała od biurka.

Dwóch siedzących w więzieniu skreśliła z listy. Nie wychodzili na przepustki w ciągu ostatnich tygodni. Pozostałych czterech sprawdziła – jeden wyjechał pół roku temu do Norwegii, jeden zmarł. Czyli zostało dwóch do zweryfikowania – jeden mieszkał w Wałbrzychu, drugi w Kłodzku. Lokalnie, wygodnie. Obaj mieli sprawę o napastowanie, żaden nie był oskarżony o gwałt, co oczywiście niczego nie przesądzało. Nie udało się wtedy, mogło się udać teraz.

Najbardziej interesujące były jednak te trzy niewyjaśnione sprawy: dwa gwałty i usiłowanie. Mieroszów dziesięć lat temu, Kamienna Góra osiem lat temu i Chełmsko Śląskie piętnaście lat temu. Zawahała się, bo ustaliła limit czasowy na dziesięć lat, ale postanowiła dołączyć ten przypadek.

W Mieroszowie dziewczyna, siedemnastolatka, poszła na teren ogródków działkowych, bo zostawiła w altanie plecak – pomagała tam dziadkom w różnych pracach. Gdy wracała, ktoś ją napadł. Broniła się, ale on był silniejszy. Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby nie przypadkowy przechodzień. Wdowiec, który często chodził na cmentarz do niedawno zmarłej żony, przepłoszył napastnika. Ofiara była w szoku, nie potrafiła go opisać. W aktach pojawiła się sugestia, że to ktoś obcy, może turysta, może Czech – znajomego by przecież rozpoznała. Zanim przyjechała policja, dziewczyna się umyła, co uniemożliwiło pobranie materiału dowodowego.

W Kamiennej Górze ofiarą też padła dziewczyna. Poszła na spacer do parku, na wzgórze. Był październik, pusto. Oprawca zaczął się na nią niedaleko kościoła. Kilka razy uderzył ją w głowę, aż straciła przytomność, i zgwałcił. Znalazła ją ko-

bieta, która przychodziła sprzątać kościół. Materiał biologiczny zabezpieczono, ale próbki okazały się zanieczyszczone. Ofiara nie miała pojęcia, kto mógł ją napaść.

Ostatnia sprawa – z Chełmska. Dziewiętnastolatka przyjechała na wakacje, na obóz historyczny organizowany przez uniwersytet. Lato, wieczór, samotny spacer. Obok kościoła ewangelickiego ktoś ją zaatakował. Udało jej się uciec, bo obok było wesele i goście, pewnie już rozbawieni, wyszli na zewnątrz, co przepłoszyło sprawcę. Tu do gwałtu nie doszło. Owca

Spojrzała na zegarek – minęła pierwsza. Majkowski jeszcze nie wrócił, a Ranik jeszcze nie przyszedł, więc postanowiła pójść coś zjeść. Wybór niewielki, no bo jaki by mógł być? Miała postanowienie, żeby bardziej przyłożyć się do posiłków, ale w obecnej sytuacji...

„Jesteś tym, co jesz”, powtarzała Magda.

Trudno, dziś Kranz będzie zapiekanką. Znowu.

U Ewy, w małym barze na placu, spotkała Ranika i Majkowskiego. Obaj jedli hot dogi.

– Jak nastrój przed wielkim dniem? – Ranik pierwszy skończył. Ostrożnie zawiął papier, który przemiekł od keczupu, i rzucił go do kosza. Chybił. Westchnął, schylił się, tym razem trafił i spojrzał na Sonię.

– Wielkim?... – Majkowski jadł wolniej i subtelniej. Zrobił sobie przerwę między jednym a drugim niedużym kęsem.

– No, wizja lokalna.

– A, to... – Majkowski znowu się odezwał, bo Kranz milczała. Pytanie było rzucone w przestrzeń, skoro Majkowski chciał je przejąć, bardzo dobrze. – Dziś nasza komisarz szukała podobnych spraw.

Zapadła cisza.

– To jednak tędy droga? – Ranik pierwszy nie wytrzymał.

– Nie wiem którądy – odparła. – Powiedzmy, rekonesans. I przy okazji smutek, że trzy sprawy niewyjaśnione. Czasem to trudne, ale zawsze warto wrócić.

– No. Teraz statystyki ponownie otwieranych spraw są niezłe. A tamte sprzed ilu lat? – zapytał Majkowski.

– Osiem, dziesięć i piętnaście. Dwa gwałty i jedna próba. Na razie jednak interesują mnie ci, których namierzono.

– Czyli Ruda też? – Ranik bawił się pustą puszką po coli.

– Też. I dwóch takich, którzy mają na koncie napaść. Jeden z Wałbrzycha, drugi z Kłodzka. Trzeba będzie z nimi porozmawiać.

– A jeśli badania spermy potwierdzą Wojtkę?

– Jest też hipoteza, że to mogło być działanie zbiorowe – powiedziała Kranz, patrząc na Ranika. Ewidentnie się zdziwił.

– Jakaś nowa?

– Z góry. Z samej góry.

– A co oni mają do tego? To znaczy dlaczego ta sprawa tak ich interesuje?

– Jakiś powód być musi. – Nie miała ochoty mówić nic więcej. Nie tylko dlatego, że ją to irytowało. Nie chciała pokazać, że jest poddawana różnym naciskom.

– Zresztą to działanie prewencyjne. Operacyjno-prewencyjne. Żeby ci, którzy mają coś za uszami, wiedzieli, że policja o nich nie zapomina. To też część naszej roboty: trzymanie ręki na pulsie.

Ranik zgiął puszkę – najpierw ścisnął, potem spłaszczył i znowu rzucił do kosza.

Tym razem poszło mu całkiem dobrze.

Chybił dosłownie o milimetry.

Wojciech Ruda wyglądał naprawdę nieźle.

Myślała, że zobaczy go znękanego, przestraszonego jak zwierzątko wyciągnięte z klatki, tymczasem chłopak był w zadziwiająco dobrej kondycji. Może trochę niewyspany, bo miał podkrążone oczy, ale narzucona w areszcie higiena wyszła mu na dobre. Co prawda był przedziwnie uczesany, raczej – ulizany, co dawało niepokojący efekt stylizacyjny, przywodzący na myśl oślizgłego typu o lepkich rękach. Czy to czyjaś inwencja...? Miał też na sobie osobliwie dobrane ubrania, ciut za duże, ale generalnie wydawał się ogarnięty. Można by go nawet było wziąć za wystylizowanego w dziwacznym stylu wielkomiejskiego chłopaka.

Na tym ogarnięcie się kończyło. W szerszym planie wyglądał jak przypadkowo doczepiony do Ranika. Dosłownie, bo łączyły ich kajdanki, i w przenośni – spr-

wiał wrażenie, jakby się zagubił w czasoprzestrzeni.

Stali pod domem Piotra Dębskiego. Zobaczyła go wśród innych gapiów. Nie było ich wielu, choć na początku zawsze jest mniej osób – przecież policja się nie zapowiada. Zaraz pewnie się rozniesie, że przyjechali: oni i ten, co zabił tę biedną dziewczynę. Wakacje, sezon ogórkowy, nuda, a tu wreszcie coś. Nie szkodzi, że z daleka i w sumie to niewiele widać, grunt, że coś się dzieje. Oby tylko nie znalazł się nikt chętny do samosądów.

Znowu spojrzała na Dębskiego. Opierał się o drzewo. Z nikim nie rozmawiał, nie gestykulował, nie udawał też, że nie jest zainteresowany tym, co robi policja. Ludzie zwykle odwracali wzrok, gdy widzieli, że patrzy na nich jakiś funkcjonariusz. On – nie.

„Przyjechał tu z Krakowa”. „Pracował jako nauczyciel”. „Niefajna sprawa”.

Pomyślała, że bycie nauczycielem to w ogóle niefajna sprawa, przynajmniej w tym kraju. Żal jej było nauczycieli, podobnie zresztą jak całej budżetówki, ale ich najbardziej. Jasne, zdarzali się tu różni ludzie, jak w każdym zawodzie – lepsi i gorsi, zaangażowani i leserzy, z powołania i z innych powodów – generalnie jednak oceniała ich dobrze. Wcześniej mogła mieć przekłamaną obraz, bo Julka chodziła do szkoły społecznej, ale tu, w Sokołowsku, trafiła na naprawdę okej wychowawczynię. Kranz pamiętała strajk nauczycielski sprzed kilku lat. Zapowiadało się, że tym razem wreszcie mogą coś osiągnąć, przecież nie da się zlekceważyć faktu, że dzieci nie mają lekcji, że nie będzie egzaminów, matur, świadectw. A jednak – cofnęli się. Rząd ich olał, rodzice dołożyli swoje. Rolnicy by wywalili gnojówkę pod siedzibą premiera i wbili w nią świński ryj, górnicy rozwlekli węgiel i zablokowali ruch, a nauczyciele...? Cichym głosem wyartykułują słuszne postulaty, a potem wrócą do tablic.

Jakaś część wtedy nie wytrzymała i rzuciła tę robotę. Sama знаła taką osobę – polonista, kilka lat starszy od niej. Miał dość uważania go za lenia, który coś tam pogada do dzieci, a przede wszystkim ma wolne, bo pracuje tylko osiemnaście godzin w tygodniu i dwa miesiące byczy się na wakacjach. Prawda była taka, że przygotowanie do lekcji, sprawdzanie prac, biurokracja i wychowawstwo zabierały mu ponad czterdzieści godzin. Doszedł do sufitu nauczyciela dyplomowanego, zawrotnych czterech tysięcy na rękę. Frustrował się, walczył z systemem i sobą, a potem wyjechał na Islandię.

Może Dębski wykonał podobną woltę, tyle że nie lubił chłodu, więc wybrał Dolny Śląsk? No ale podobno było coś „niefajnego”.

Każdy trop trzeba sprawdzić, więc zadzwoniła do dawnej koleżanki ze Szkoły Policyjnej. Trzymały się wtedy razem, potem życie rzuciło je w różne strony. Iwonę najpierw do Limanowej, później do Krakowa. Okrzepla tam, kilka lat temu wyszła za mąż. Sonia była na jej ślubie, z przyjemnością na nią patrzyła. I na jej faceta też. Informatyk, ale zadziwiająco rozmowny. Fajnie razem wyglądali. Iwona Kostecka, dawniej Rola, dusza towarzystwa, mnóstwo gości i naprawdę przyjemne wesele. Bez sałatki jarzynowej, schabowych, litrów wódki i żenujących zabaw organizowanych przez wodzireja. Potem wymieniały krótkie informacje, bo praca, dom, dzieci. Iwona też urodziła córkę, nie tak dawno – dwa, może trzy lata temu. „Dwa i pół”, uściśliła, kiedy Kranz zadzwoniła do niej poprzedniego dnia. Rozmowa się trochę przeciągnęła, ponieważ Sonia uznała, że uczciwość obowiązuje i na pytanie „Co u ciebie?” nie może odpowiedzieć „Okej”. Iwona była poruszona, ale nie ponad miarę. Sama zaliczyła kilka związków, nie miała wielkich złudzeń i jeszcze większych oczekiwań. „Radzisz sobie?”, chciała wiedzieć. „Bardziej, niż przypuszczałam”, odparła Kranz, a potem już przeszły do konkretów, czyli do tej sprawy. Iwona wróciła do roboty, córkę zostawiała z opiekunką, stać ich było, bo mąż dużo zarabiał. Obiecała, że spróbuje sprawdzić, gdzie Dębski pracował i dlaczego już nie pracuje.

Znowu na niego spojrzała. Nie ruszył się. Statyczny obserwator. Poza czy taki po prostu był?

– Zaczynamy? – Z zamyślenia wyrwał ją głos prokuratorki.

– Zaczynamy.

Kiwnęła głową w stronę Majkowskiego, żeby zaczął nagrywać.

– Mam mówić? – zapytał Ruda.

– Tak.

Był ożywiony, niewiele w nim zostało z tego przepłoszonego chłopaka, którego poznała kilka dni temu. Obstawiłaby inaczej i przegrałaby. Nawet jednak ze swoją skąpą wiedzą z pogranicza psychiatrii widziała, że Wojciech Ruda występował w dwóch wcieleniach, jak w chorobie dwubiegunowej, gdzie są górki i doły, wzmożenia i osłabienia. Teraz był w fazie naporu.

– Więc to było tak, że tu ją zobaczyłem. – Ruda machnął ręką, a razem z nim zamachał Ranik przykuty do tych samych kajdanek.

– Była tu już?

– Tak. Stała, tyłem do mnie. Nie widziała mnie. Podeszedłem i się zamachnąłem.

Znowu szarpnął ręką, ale się zreflektował i podniósł drugą.

– Czym?

– Czym? No... młotek miałem.

Drgnęła.

– Jaki młotek? Skąd?

– Tu był, przy domu. Czasem Piotrek czegoś nie schował i tak leżało, o, tu, przy schodach.

– I co było dalej?

– No uderzyłem ją, a ona upadła.

– Proszę pokazać.

– Upaść?

– Pokazać, jak ją pan uderzył, a potem, jak ona upadła.

Ruda przez chwilę się namyślał, a potem schylił się i wolną ręką podniósł z ziemi patyk.

Majkowski zbliżył się, wysuwając przed siebie brązowoszarą kukłę.

Ruda wziął zamach i trafił w jej głowę, a dokładniej w miejsce, gdzie u człowieka byłaby skroń.

Ranik i Mitaj nic nie mówili, ale Kranz miała wrażenie, że oboje postawili w myślach kolejny plusik.

– Tak. Właśnie tak było. – Ruda przejechał spojrzeniem po ich twarzach, jakby oczekiwał pochwały.

– W jakiś jeszcze sposób pan na nią napadł? – zapytała po chwili milczenia prokuratorka.

– Nie. Nie... znaczy nie tu, tylko tam, kiedy... – Ruda odwrócił wzrok w kierunku fundamentów.

– Czyli tu nic się nie wydarzyło.

Było jasne, że pyta o zastrzyk. W sposób zdecydowanie zbyt mocno sugerujący.

Ruda pokręcił głową.

– Co było dalej? – Kranz znowu przejęła pałeczkę.

– Zabrałem ją.

– Proszę pokazać.

Ruda niezdarnie pochylił się nad kukłą, a potem złapał ją za obie „ręce” i zaczął ciągnąć. Nogi i kadłub podskakiwały na trawiastej ścieżce.

Teraz Kranz postawiła w myślach plusa. Zuzanna Korczab była ciągnięta z nogi, czyli odwrotnie.

Doszli do murku z cegły, gdzie leżało ciało dziewczyny.

– Tu stanąłem. – Ruda puścił kukłę.

– I co było dalej? – zapytała Mitaj.

– Dalej... No, patrzyłem na nią.

– Patrzył pan – powtórzyła po nim prokuratorka. – A potem?

– Potem już nie patrzyłem.

Teraz też nie patrzył, spuścił głowę. Oni jednak się w niego wpatrywali: Mitaj, Ranik, Majkowski i Kranz. Ona pierwsza odpuściła, bo poczuła w kieszeni wibrowanie telefonu. „Lab”.

– Kranz, słucham.

Zrobiła kilka kroków w bok.

– Cześć. Czytam najważniejsze zdanie, reszta w mejlu: „Materiał biologiczny zawierający ślad spermy tożsamy z materiałem pobranym od Wojciecha Rudy”.

– Okej, dzięki – odparła, choć chciałaby powiedzieć: „Na pewno?”.

Przecież to nie miało sensu. Ten chłopak nie wiedział, jak zginęła Zuzanna. Skąd by zdobył pavulon?

– Co się wydarzyło w tym miejscu, kiedy położył pan ciało? – Usłyszała głos Mitaj.

– Ciało... – Ruda podniósł głowę.

Patrzył teraz na Kranz, która znów stanęła bliżej. W jego oczach pojawiło się to samo, co wtedy, na posterunku, kiedy oznajmił, że zabił Zuzannę Korczab – teraz, przez to obleśne uczesanie, jeszcze dobitniejsze. W spojrzeniu Wojciecha Rudy widać było zadowolenie. Kąciki ust uniosły się, wargi się rozchyliły i wysunął koniu-

szek języka. Kranz poczuła dreszcz obrzydzenia. Jednocześnie nie potrafiła oderwać wzroku od tej twarzy.

A jednak w końcu przeniosła spojrzenie – spłynęła nim po ramionach ukrytych w za dużej bluzie, przez klatkę piersiową do chudego, białego brzucha i jeszcze trochę niżej, gdzie biel się kumulowała – kościste palce Rudy obejmowały penisa, a potem zaczęły sprawny, posuwisty ruch.

– Rozumiemy, może pan zakończyć demonstrację – odezwała się pierwsza, nawet całkiem zwyczajnym tonem, choć czuła napięcie. Nigdy nie miała skłonności do podglądactwa, nie kręciły jej pornosy, nie czytała erotyków, ale tak działa natura: obnażone drugorzędowe cechy płciowe przyciągają uwagę.

Ruda patrzył na nią, może w ogóle nie oderwał od niej wzroku. Oczy miał nieruchome, górnymi zębami złapał dolną wargę. Przymknął powieki, ramiona zaczęły szybciej podrygiwać. Po chwili ciszę przeciął pojedynczy jęk, a chłopak zwiotczał, jak kukła, która leżała na ziemi.

W jej centralnej części pojawiła się teraz mlecznobiała plama.

– Cóż, wyglądało to bardzo realistycznie. – Mitaj poprawiła kołnierzyk koszuli, choć Kranz nie potrafiłaby powiedzieć, co z nim było nie tak.

– Jest zgodność materiału, laboratorium dzwoniło – poinformowała prokuratorkę.

– O! To znaczy tego oczekiwaliśmy, prawda?

– Tak przypuszczaliśmy, bo ten fragment ma jakieś umocowanie, ale reszta... – Kranz pokręciła głową. – Nie sądzę, żeby on ją zabił. Pozostałe szczegóły się nie zgadzają.

– To jest punkt wyjścia. Bardzo mocny. Wokół tego można budować śledztwo. – Mitaj była wyraźnie nakręcona. – Coraz bardziej prawdopodobna jest wersja o współudziale...

Niby z kim?, pomyślała Kranz. Że Ruda miałby sobie kogoś skołować? Niemożliwe. Że jego ktoś wziął na kompana? Też kulawo. Nie, to nie tak.

– Na pewno ma jakieś fiksacje seksualne – ciągnęła prokuratorka.

– Nie wiem, co pokażą badania, ale wiem, jak często myślą o seksie młodzi faceci. – Kranz nie porzuciła swojego sceptycyzmu. – Bardzo często. A tacy, którzy mają małe szanse na zwykły seks, jakoś muszą sobie radzić.

– To oczywiste, ale nie wszyscy radzą sobie właśnie tak. Poza tym była jeszcze sprawa tego psa, prawda?

– Nie, to jakieś ploty. Tylko tak można to traktować.

– Niemniej pojawiło się dwa razy. Zresztą takie historie się zdarzają, zwłaszcza przy... przy różnych zaburzeniach. Więc ten pies...

– Pies?

Ruda, jak się okazało, miał niezły słuch. Po finałowej scenie ich wizji lokalnej przez moment był oszołomiony, automatycznie podciągnął spodnie i wytarł w nie dłoń, a potem, jakby ktoś go przełączył – wrócił do rzeczywistości, na tyle, na ile naprawdę w niej uczestniczył.

– Pies? – znowu zapytał.

– Pies. Podobno miał pan... kontakt. Kontakty z psem. – Mitaj znowu poprawiła kołnierzyk koszuli.

Kranz zauważyła na jej szyi czerwoną pręgę. Albo coś ją ugryzło, albo się denerwowała.

– Pies. – Ruda pokiwał głową. – Tak. Był pies.

– I co pan z nim zrobił?

– Zabiłem.

– Zabił pan?

– Zabiłem i upiekłem. A potem zjadłem.

Prokuratorka wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

Kranz zaś patrzyła w stronę drogi, gdzie wciąż stała grupka osób, a wśród nich Dębski. Teraz obok niego siedział pies. Średniej wielkości, ciemny. Pewnie Wo-land.

„Na miejscu znaleziono niedopałek papierosa ze znakowaniem firmowym »Marlboro«. Materiał zabezpieczono”. O psie Dębskiego nie było w raporcie ani słowa, za to teraz ten papieros przykuł jej uwagę. Spojrzała znad kartki na Ranika.

– Dębski nie pali? – Pamiętała jego deklarację o wegetarianizmie i niepaleniu. Przyznał się tylko do picia, choć ujął to w ładną formę wina.

– Nie wiem. – Sierżant się zdziwił.

– Nie pali. Pytasz z powodu tego niedopałka? – Majkowski zauważył, jakie dokumenty Kranz przegląda.

– Tak. Skoro mamy teraz materiał biologiczny Rudy, można go porównać z tym na niedopałkach i potwierdzić lub wykluczyć jego udział we włamaniu.

Wolałaby drugi wariant. Ruda był elementem układanki, temu nie dawało się zaprzeczyć, ale przypadkowo w nią zaplątanym.

– No, może się okazać, że on ma więcej na sumieniu. – Ranik obstawiał inaczej.

– Różnie może się okazać. Chciałabym też sprawdzić tych dwóch skazanych za napastowanie. Na razie po prostu rozmowa: gdzie byli i co robili tego dnia. Jacek, zajmiesz się tym? – Spojrzała na Majkowskiego.

– Zajmę. Wydzwonię ich dzielnicowych. Tego z Kłodzka to nawet nieźle znam, wcześniej był w Boguszowie.

– Dobra, to na razie tyle. Trzeba jeszcze porozmawiać z Korczabami. Pewnie już wiedzą o wizji lokalnej, więc dziś to nie najlepszy pomysł, za duże emocje. Chciałabym pojechać do nich jutro rano. Uprzedź ich. – Spojrzała na Ranika.

Pokiwał głową.

– Biedni ludzie. Jedyne dziecko i takie coś – westchnął.

Świetnie to rozumiała.

– Ale ty myślisz, że to naprawdę on?

Julka obracała w dłoniach telefon i przyglądała się matce.

– Julka, przecież wiesz. Nie mogę z tobą o tym rozmawiać.

– Bo jestem twoim dzieckiem?

– Bo jesteś dzieckiem, to raz. Bo tajemnica śledztwa, to dwa. Przecież ci tłumaczyłam.

Julka wzruszyła ramionami.

– Ale oni wiedzą, że jesteś policjantką.

– Kto: oni?

– W klasie. Wcześniej jakoś to nie wypłynęło, no bo tu się nic nie dzieje. Pytali, czy mandaty wystawiasz. Ale teraz...

– Julka, to nie jest film sensacyjny ani jakiś kryminał. Zginął człowiek, sprawa jest cholernie poważna. I na pewno nie dla dzieciaków.

– Przecież ja wiem. Tyle że to był Uzik... – Zaczęła płakać. Najpierw cicho, jakby się wstydziła, później się rozryczała na dobre.

Smutek wracał do niej falami. Wydawało się, że już jest trochę lepiej, a potem znowu tąpnięcie. Normalny proces, zresztą to była pierwsza tak poważna strata w jej życiu, nie licząc rozvodu rodziców.

– Nie jesteśmy dzieciakami. Dorośli myślą, że tak, ale nie jest jak za twoich czasów, gdy nie wolno było nawet się odezwać i trzeba było robić to, co rodzice mówią. – W końcu wytarła twarz, wydmuchała nos i spojrzała na Sonię.

– Ja byłam w twoim wieku niecałe trzydzieści lat temu, to nie prehistoria. Fakt, wyglądało to może trochę inaczej, ale tylko trochę.

– Kiedy patrzę na babcię, to myślę, że dużo, a nie trochę.

– Babcia jest... specyficzna. Kiedy ona miała czternaście lat, na pewno było inaczej. Może to ją tak ukształtowało?

Nie broniła matki, po prostu szukała wytłumaczenia. Kiedy Krzysiek ją zostawił, poszła na kilka sesji terapeutycznych. Zaskakująco szybko doszła do tematu dzieciństwa. Nic nowego, przecież podobno wszystko stamtąd się bierze, a ona miała świadomość, jak tamten czas na nią wpłynął. Zdziwiły ją jednak własne łzy i smutek – może nawet większy niż ten drugi, związany z zakończonym małżeństwem. „Może uciekam z jednego problemu w drugi?”, zapytała. „A co pani czuje?” No tak, te terapeutyczne pytania. Zatem czuła, że nie. Nawet więcej, że póki nie posprząta dzieciństwa, nie ruszy dalej. Odkryła jednak coś jeszcze: że najpierw musi w matce zobaczyć kobietę – też pokiereszowaną przez czasy i los. Próbowała pokazać ten oczyszczający schemat córce. Uznała, że to jedyna droga w życiu, wszystkie inne niszczą tego, kto się złości. Myślała też o sobie – żeby i w niej córka widziała zwyczajnie drugiego człowieka, który ma wady, ale nie złe intencje.

– Może. – Julka nie wydała się jednak do końca przekonana. – A, bo ci nie mówiłam. Tata się odezwał.

– O, to dobrze.

Nagle się spięła. Ostatnie przykłady pokazywały, że to wcale nie było dobrze.

– No. – Uśmiechnęła się Julka.

Nie będzie jej psuła dobrego humoru ani odbierała nadziei. Dostrzeganie człowieka w drugim musi obejmować także byłego, no, prawie byłego męża.

– Naprawdę okej. Zadzwonił, pytał, co u mnie. Nie powiedziałam nic o tej sprawie, jakby co. Nie chciałam, żeby się martwił.

Słuszne przemilczenie, pomyślała Kranz. Też by się bała o córkę. Ludzie, którzy się rozwodzą, potrafią grać dziećmi, robić sobie świństwa, nie patrząc na koszt, jaki dzieciaki ponoszą. Im udało się tego uniknąć. Krzysiek kochał Julkę, to się nie zmieni. Teraz był po prostu zamroczony nową miłością, ale kiedy ta się trochę wypali, kiedy fala hormonów odpłynie i mózg mu się wysuszy, sytuacja się unormuje. Wciąż powtarzał, że pokój Julki jest i zawsze będzie w ich domu. Znaczący jego i pani Jeszcze-Nie-Kranz domu. W tej drugiej Soni najtrudniej było zobaczyć człowieka. Cóż, to też ludzkie.

– W ogóle był bardzo miły. Przepraszał i powiedział, że mi to wszystko wynagrodzi, te spotkania, na które teraz nie dojechał.

– Cieszę się.

Cieszyła się ostrożnie, ale nie było sensu dzielić się z Julką tego typu obiekcjami.

– No... i wytłumaczył też, dlaczego tak się stało. – Julka spojrzała na matkę.

– Dlaczego? – zapytała Kranz, od razu obiecując sobie, że jakakolwiek padnie odpowiedź, ona jej nie skomentuje ani nie storpeduje.

– Bo Kinga.... znaczy wiesz...

– Wiem. Każdy ma imię, możesz go używać. Nie ma u nas w domu takiego zakazu.

Bardzo ładnie to powiedziała, terapeutka byłaby z niej dumna.

– Więc Kinga... ona... ona jest w ciąży.

Cios wprost w splot słoneczny. Aż dziwne, że nie jęknęła. Sądziła, że to się wydarzy, ale aż tak szybko? Zwykle w takiej sytuacji ludzie najpierw chcą się sobą nacieszyć, pożyć, poużywać, a potem... Tyle że oni używali sobie i siebie od kilku lat. Fala złości przetoczyła się przez jej serce. Zaliczyli wiele miodowych miesięcy, teraz kolejny etap budowania idealnej rodziny.

– Mamo, tobie jest przykro? – Julka się przejęła.

– Nie. Nie. – Odchrząknęła. – To dość niespodziewana wiadomość. Nie byłam przygotowana.

– Tata też tak powiedział. Powiedział też, że się cieszy, bo będzie miał dwoje dzieci.

Gdyby Sonia obstawiała reakcję córki na wiadomość o przyrodnim rodzeństwie, raczej by powiedziała, że Julka się zasmuci albo zezłości, bo już nie będzie jedyna. Pomyłka. Nie pierwsza ostatnio.

– W pierwszej chwili to mi się zrobiło tak... No, bo to jednak zmiana. Poczułam zazdrość. Ale potem... Tata opowiadał mi o wakacjach. Że pojedziemy razem, to znaczy tylko ja i on, bo ona, znaczy Kinga, teraz źle się czuje, no i w ogóle w ciąży trzeba uważać. I wiesz, dokąd pojedziemy?

– Dokąd?

– Na Malediwy! Tata ma mi wysłać ofertę tego biura turystycznego, ale opowiadał tak, że już bym tam chciała być.

– Pewnie. Tam jest pięknie.

– Byłaś?

To nie był odpowiedni moment, żeby mówić, że miała taki pomysł: za rok, kiedy Julka zda do liceum, polecą tam na rodzinne świętowanie. I nawet zapracowany – był zapracowany, bo jak obskoczyć dwa życia? – ojciec wyrwie się na dwa, a może i trzy tygodnie.

– Oglądałam film przyrodniczy. Cudownie: perłowy piasek, zielen palm, turkusowa woda...

Turkusowa. Musiała znowu zahaczyć Julkę o tę sprawę. Wciąż nie znajdowała dobrego momentu, zresztą nawet tego popołudnia córka płakała, ale może Malediwy zrobiły swoje i smutek trochę zelżał? Może ten temat skupił jej uwagę?

– Julcia, bardzo fajnie, że tak to się układa, naprawdę. Wiesz, że sprawy między mną a ojcem...

– Tata. Nie mów „ojcem”, dobra?

– To neutralny wyraz, jak matka, ale...

– Matka też taka twarda. Nie chciałabyś, żebym tak mówiła o tobie.

– Nie wiem... No dobra, chyba bym nie chciała.

I od razu przyszło do niej, że ona o swojej matce, właśnie – matce, mówi „matka”.

– Więc to, co między mną a tatą, to jedno, a wasze relacje to zupełnie inna sprawa. Zresztą my zawsze będziemy twoimi rodzicami, to nas łączy bez względu na wszystko.

Teoria była taka ładna i wydawała się przystępna, a jednak Sonia czuła kamień w brzuchu. Nie chciała mieć drugiego dziecka, całą uwagę i miłość skupiła na Julce, poza tym dziecko to ogrom pracy i wyrzeczeń, zwłaszcza jeśli chce się pracować zawodowo, a ona chciała. Dlatego ten temat był zamknięty, aż do teraz. I tak, była wkurwiona na Krzyśka – że ją oszukał, że zostawił, choć to już jakby mniej. Teraz bolało ją to, że on zaczyna nowe życie. Całkiem nowe. A ona jest w połowie, może nawet za połową swojego. I nie ma takich warunków jak on – pod żadnym względem. I zaraz w ogóle nie będzie mogła mieć dzieci i nie ma znaczenia, że ich nie chce. Po prostu biologia da jej kopniaka i powie: „Przesuń się, rób miejsce młodszemu”. I jeszcze to, że gdyby kiedyś coś – Jezuuuu, nie! – stało się Julce, to Krzysiek zapewnił sobie zamiennik, zastępstwo. A ona nie. W każdym z tych punktów była na przegranej pozycji.

– Wiem, wiem. Naprawdę okej. To mogę iść? O siódmej są takie filmiki o...

– Jeszcze chwilka, dobra? Ja wiem, że to dla ciebie trudne, ale śledztwo jest w toku i każda informacja jest istotna. Możemy przez chwilę porozmawiać o Zuzi?

Julka powoli pokiwała głową.

– Możemy.

– Opowiedz mi jeszcze trochę o niej. Jaka była, co lubiła?

– Miła, to chyba najbardziej. Dobra. W takim starym znaczeniu, że dobry człowiek. Była też mądra, a do tego fajna. To wcale nie jest częste, a ona taka właśnie była.

Kranz uśmiechała się do córki. Nie chciała jej nakierowywać. Czasem ważne rzeczy wypływają w takiej luźnej, niesterowanej rozmowie.

– Ale była też... Jak ty to mówisz? Zahukana? – Julka popatrzyła na matkę.

– W sensie, że nie miała odwagi, by mówić, co myśli?

– Tak, w takim sensie. Ona była cicha. Jak byliśmy razem, to się otwierała, robiła się śmielsza, weselsza, ale tak na co dzień, to nie... – Urwała.

– Nie było z nią żadnych problemów? – dokończyła Sonia. – Tak mi chyba kiedyś powiedziałaś.

– No. Ona była taka, że nikt nie musiał się nią zajmować, mówić jej, co i kiedy robić, pilnować. Ona wszystko sama wiedziała i robiła, i to w taki sposób... Nie wiem, jak to nazwać. Głupio mi się skojarzyło, ale jak zakonnica? Tak cicho, sprawy się u niej po prostu działy.

– Czyli była bezproblemowa.

– Tak. Choć nie do końca. Z nią naprawdę nie było żadnych problemów, ale ona miała takie różne...

Julka popatrzyła na matkę, a potem odwróciła wzrok i zaczęła się bawić breloczkiem przy telefonie.

– W domu mieli taki układ, że tata był najważniejszy, mama na drugim planie – odezwała się po chwili, wciąż nie patrząc na Sonię. – Mama jest fajna, miła. Zuzia miała to po niej. Prowadzi swój sklep, ciuchland, wiesz, byliśmy tam przecież, ale z tego nie ma dużych pieniędzy. Widzisz, jak tu jest. Na przykład dla mnie to *fun* pójść zobaczyć, co mają, może coś markowego się trafi, może śmiesznego, a inni przychodzą zwyczajnie się ubrać. I tak jest dla nich drogo. No a tata Zuzi ciągle gdzieś jeździ. Jest przedstawicielem handlowym, sprzedaje jakieś narzędzia czy coś takiego, jakieś techniczne sprawy. Chyba nieźle zarabia, tyle że jakoś... No nie wiem, to się nie przełożyło na ich wspólne szczęście. Zuzia chciała się stąd wyrwać, zwiedzać, coś zobaczyć. Ale chciała też więcej ciepła, miłości, tak po prostu, w rodzinie. Jej rodzice nie są ze sobą bardzo blisko, w sumie to nawet się zastanawiałam, czy oni się nie rozwiodą, bo jeśli mało ich łączy, każde ma swoje życie, to... – Julce załamał się głos.

Sonia zaczęła głaskać ją po rękę.

– Dorośli też mają problemy – powiedziała cicho. – Pełnoletność przed tym nie chroni.

– Wiem, mamó. Tylko dla mnie to za dużo, bo z każdej strony dzieje się coś złego.

Sonia przytuliła córkę, a potem pocałowała ją w czoło.

– Kocham cię, wiesz?

– Wiem. Ja ciebie też.

Posiedziały tak przez chwilę, a później Julka delikatnie się odsunęła. Sonia czuła, że to już koniec tej rozmowy.

– To ja sobie odpocznę.

– Jasne. – Pokiwała głową.

Odpoczynek oznaczał sesję z telefonem, ale póki to nie nałóg, postanowiła nie być upierdliwą matką, która kojarzy się wyłącznie z nakazami i zakazami. Zresztą Julka czytała, spacerowała, robiła różne rzeczy. Daleko jej było do tej dziewczynki, która zaatakowała matkę nożem kuchennym, gdy ta w końcu siłą odebrała jej komórkę. Później trafiła do ośrodka odwykowego.

Kranz się otrząsnęła. To nie jej, nie ich przypadek. Ona ma dobrą relację z córką.

Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Mogłaby częściej przerzucać ten obowiązek na Julkę, ale w sumie jej to nie przeszkadzało. Drobne prace fizyczne, zakończone widocznym efektem, dawały jej poczucie sprawczości, sensu. Był syf, jest czysto. Pozamiatane. Ona to zrobiła.

Szkoda, że z innymi sprawami w życiu tak się nie da. Że jest się w nich zależnym od ludzi. „Relacje są potrzebne, nikt nie jest samotną wyspą”. Kłamała głową, bo teoretycznie to miało sens, tyle że czasem koszty relacji przewyższały płynące z niej zyski. Z tego wyłączało się rodzicielstwo, bo to w ogóle jakiś kosmos, jazda bez trzymanki, coś, gdzie zwykle bilanse nie działają. O tym też rozmawiała z terapeutką. „Zwykle jest tak, że dług zaciągnięty od rodziców oddajemy dzieciom. Znaczący to, że nie powinniśmy oczekiwać od naszych dzieci żadnych specjalnych względów; robimy, co należy, a one »podziękowania« przeniosą na swoje dzieci. I tak wygląda ta sztafeta pokoleń”. Tyle że gdyby Sonia miała oddać Julce to, co sama dostała, byłoby raczej słabo, dawała więc inaczej i więcej, ale po omacku.

– Dobra, dość tego.

Już się znała. Od takich myśli blisko do tąpnięcia w czarny dół. Znad zlewu spojrzała w lustro nad stołem. Z tej odległości wyglądała jak zjawą, rozmyta kobieta sylwetka. Chciałaby wreszcie mieć ostry kontur.

Skończy mycie, przejdzie się na wieczorny spacer. Namówi Julkę, żeby się z nią wybrała. Za chwilę córka pewnie już w ogóle nie będzie nią zainteresowana, zwłaszcza że u ojca, *pardon*, taty, tyle się dzieje. Rodzeństwo, Malediwy... A może Krzysiek naprawdę jest nią zainteresowany i będzie ją namawiał, żeby do niego przyjechała? Najpierw na weekend, potem na dłużej. Wrocław kusi, kasa kusi,

nowe kusi. Dom ogromny, prywatności nikomu to nie zakłóci, a Krzysiek zmyje z siebie poczucie winy. Zresztą układ będzie korzystny, bo później Julka może zostać babysitterką...

Zanurzyła ręce w ciepłej wodzie. W tym domu nie było zmywarki, meble kuchenne pamiętały chyba lata pięćdziesiąte, a może były jeszcze starsze. Drewniane, takie daje się odnawiać w nieskończoność.

Trzasnęły drzwi, aż podskoczyła.

– Julka, rany! – powiedziała trochę za głośno i trochę za ostro, ale nerwy miała ostatnio w nie najlepszym stanie. – Jeszcze jakaś szyba pójdzie albo coś się rozwali – dodała łagodniej, żeby zatrzeć złe wrażenie. Tyle gada o potrzebie wyciszenia, a sama jest nerwowa.

Przetarła ścierką kran i wytarła metalowy zlew. Ostatni element uspokajającego rytuału.

Julka wciąż milczała, więc obróciła się w jej stronę.

Córka stała w progu, z telefonem w dłoni. Ścisnęła go tak, jakby trzymała jakieś narzędzie. Młotek, dłuto, nóż.

Kranz przypomniała sobie tę uzależnioną dwunastolatkę. W artykule było stoczkowe zdjęcie palców obejmujących rękojeść noża. Poczowała zimny dreszcz na plecach. Co się z nią działo? Te wszystkie poplątane myśli i obrazy...

– No co tam, Julcia? Sorry, że tak zareagowałam na ten przeciąg, ale...

– To nie przeciąg. – Julka się nie ruszyła. – To ja tak walnęłam drzwiami.

– Ty? Ale dlaczego?

– Dlaczego? Dlaczego? Ja ci powiem dlaczego! – wybuchła.

Sonia podeszła do niej. Czuła nieprzyjemne mrowienie w dłoniach.

Julka wpatrywała się teraz w ekran swojej komórki i nerwowo przesuwiała po nim palcem.

– O. To się stało! – Obróciła aparat w kierunku matki.

Kranz spojrzała na wyświetlacz. Było na nim zdjęcie, a nad nim jakiś tekst. Po chwili zorientowała się, że to zrzut ekranu. Z facebookowego konta Krzyśka.

„We dwoje, a właściwie we troje. Wielka wyprawa...”, a pod tekstem zdjęcie z lotniska. W tle hala odlotów, na pierwszym planie Krzysiek i ta jego Kinga. On za nią, obejmuje jej ramiona, ona obejmuje swój płaski i lekko odsłonięty brzuch.

Sonia spojrzała na datę. Wpis był sprzed trzech godzin.

– To dziwne – zauważyła. – Ojciec dzwonił do ciebie, opowiadał, że ona źle się czuje, a teraz coś takiego? Nie pomyślał, że zobaczysz ten post?

Co jak co, ale taktykę jej mąż miał ogarniętą. W końcu nie odkryła jego romansu, był bardzo zapobiegliwy.

– Nie zobaczę. – Julia zabrała jej telefon z ręki, kilka razy przejechała palcem po ekranie i znowu oddała.

– To jest jego konto. I ostatni wpis. Więcej nie ma. Ja więcej nie widzę. Rozumiesz?

Rozumiała. Jeśli chodzi o Facebooka, była chyba nawet sprawniejsza niż Julka, która uważała, że to dla zgredów.

Podeszła do stołu. Odłożyła smartfona córki, sięgnęła po swój i weszła na konto męża. Widziała tyle samo, co Julka, więc przed nią też ukrył ten wpis, na wypadek gdyby podglądała, co u niego. Nie robiła tego. Już nie. Myślała, że po prostu przestał zamieszczać wpisy, a nie dlatego, że miała taką silną wolę.

– A skąd to masz? – zapytała.

– Od Olki.

Olka była wrocławską przyjaciółką Julki. Poznały się na angielskim i polubiły. Sonia czasem odbierała je obie, a potem odwoziła Olkę do domu. Krzysiek zabrał je kiedyś do kina i na pizzę. Potem Olka mówiła, że jest taki fajny. Jej ojciec umarł kilka lat wcześniej.

– Pewnie nie pamiętał, że Olka zaprosiła go do znajomych, a on ją przyjął. Nie nad wszystkim widać panuje.

– Julcia... – Sonia nie wiedziała, co powiedzieć. Dlaczego ona miała go tłumaczyć? Była zła. Tak, kurwa, była zła. Ale czy to powód, żeby Julce się oberwało? W końcu to ona, Sonia, wybrała go na męża i ojca. – Słabe to. Chciał pojechać z nią – w cholerę z imieniem, pomyślała – okej, ma swoją drugą młodość, ma pieniądze, ma czas, niech jedzie. Ale po co te kłamstwa?

Julka stała naprzeciw niej. Nie wyglądała teraz jak ofiara, tylko ktoś, kto szykuje się do ataku. Była wyprostowana, ręce miała opuszczone wzdłuż ciała, dłonie zacisnięte w pięści.

– Widać wszyscy ojcowie są beznadziejni. Mój to oszust i kłamca.

– Julcia...

– Ale wiesz co? Ma jedną zaletę.

– Na pewno ma więcej.

„O drugim rodzicu wypowiadaj się dobrze”, ale i tak omal nie udławiła się tym zdaniem.

– Przynajmniej nie robi mi tego, co Zuzi robił jej ojciec.

Rozdział 9

– We czwartek o jedenastej z minutami zameldował się w hotelu w Pradze. Wyjechał w sobotę późnym popołudniem. – Sierżant Ranik patrzył na swoje zapiski.

– Gdzie on właściwie pracuje? – zapytała Kranz.

– Staltechwet, firma z Wrocławia. Generalnie produkują jakieś rzeczy z metalu i stali, przede wszystkim dla przemysłu medycznego, tyle że w wersji weterynaryjnej. Na stronie mają tak napisane, że trudno zrozumieć szczegóły.

– Okej. A na miejscu? Na pewno miał poumawiane jakieś spotkania.

– Miał. Ten jego szef był dociekliwy, pytał, po co, dlaczego. „Przecież to jego spotkanie dramat”.

– I co powiedziałaś?

– Że sprawa formalna, a dla dobra śledztwa nie udzielamy żadnych informacji.

Kranz pomyślała, że jeśli użył tego samego urzędowego tonu, to nie było żadnej możliwości, by dalej dopytywać. Ranikowi zdarzały się zbyt familiarne zachowania, ale tylko między nimi. Na zewnątrz przyjmował pozę zawodowca – zasłaniał się formalnościami i zachowywał jak członek hermetycznej, zamkniętej organizacji. Dawało mu to poczucie wyższości – Kranz była tego pewna. Lubił czuć się ważny, bez przesady, proporcje zwykle potrafił zachować, dobrze jednak dostrzegała ten jego rys.

– Obiecał, że sprawdzi. Prosiłem go o dyskrecję, ale nie wiem, czy i co powie Korczabowi. A ty myślisz, że to coś na serio? Że on naprawdę by mógł... swoją córkę?

– Statystyki o powiązaniach rodzinnych w zabójstwach znasz. – Teraz to ona przyjęła jego pozę.

– No znam, ale to wszystko jakoś... Pierdolnik tu po prostu jest.

Ranik, kiedy był w emocjach, robił się sobą – zwykłym chłopakiem.

– Bo ten Wojtek, gwałt, sperma, tamci, co ich Jacek sprawdza, ten papieros... I teraz jeszcze Korczab – westchnął. – Zagęściło się.

– Każdy trop trzeba sprawdzić. Tę informację też.

– Ale każdy może takie oskarżenie rzucić, nawet specjalnie, żeby przedstawić kogoś w złym świetle. Była taka sprawa w Wałbrzychu. Żona zeznała w sądzie, że jej eks molestuje córkę, chciała, by zakazano odwiedzin i kontaktów. Potem wyszło, że zrobiła to na złość, bo mieli na pieńku, ale machina ruszyła i sąd się przychylił. No to on porwał dziecko, wywiózł do Niemiec, Child Alert, szeroko zakrojona akcja. W końcu go znaleźli, dziecko wróciło do matki, stres gigantyczny. Na końcu się okazało, że wszystko wymyśliła.

– To nie taki przypadek.

Nie powiedziała mu, skąd wie. Chciała trzymać córkę jak najdalej od tej sprawy. I póki mogła, zamierzała to robić.

Z Julką nie dało się od razu porozmawiać. Płakała, była zła, rozzalona, dopiero rano wydała się spokojniejsza. Kranz powiedziała, że to bardzo ważne oskarżenie, że może mieć ogromne znaczenie, dlatego Julka musi jej przekazać wszystko, co wie.

„Zuzia powiedziała, że on jest, że bywa obleśny. Że widziała go w łazience, jak się... no, onanizował. I że ona przypadkiem weszła, a on zamiast się zakryć, spe-szyć, to zapytał, czy już widziała to u jakiegoś chłopaka. Siedział z tym fiutem na wierzchu i mówił takie rzeczy”.

„Fiutem”. Jej czternastolatka tak mówiła. Sonia wciąż myślała o niej w kategoriach dziecka – na każdym polu, a tych pól coraz bardziej ubywało.

Podczas rozmowy okazało się, że Grzegorz Korczab był wtedy po kilku piwach. Czy to coś tłumaczy? Trochę. Generalnie mniej więcej normalny facet nawet pijany nie zachowa się tak wobec własnej córki. Czy było coś jeszcze? Jakies gesty, dotyk, słowa?

Wyglądało to na jednorazową akcję. „W nim było coś takiego”, „Nie zawsze był dobry dla mamy”, „Mama jest delikatna, a on taki macho”, „Zuzia mówiła, że ostatnio był jakiś dziwny, więcej piwa i więcej nerwów”.

To mogło znaczyć wiele albo nic. Oczywiście przy założeniu, że Zuzia mówiła prawdę. Różnie z tym bywało, nastolatki potrafią konfabulować. Może Zuzia zbudowała taką narrację, żeby wzbudzić współczucie Julki? Może rozzłościła się za coś na ojca i chciała go w ten sposób ukarać? Choć mogło być i tak, że to wszystko naprawdę miało miejsce, a nawet, że wyglądało znacznie gorzej, i tylko o tym potrafiła powiedzieć, w tę scenkę upchnęła całą traumę.

– Ja nie wiem, ale to by było jakieś... Patologia, wbrew naturze – rzucił Ranik. – Przecież nawet u zwierząt tak nie ma.

Kranz próbowała wyobrazić sobie, że Krzysiek... Z miejsca ją zemdliło. Koszmar.

– Ja z nim rozmawiałem, wczoraj – dodał sierżant. – Przez telefon robił bardzo korzystne wrażenie, był też cholernie smutny.

– Zaraz do nich pojedę. Stałtechwetu nie odpuszczaj, sprawdź spotkania, godziny i czy wszystko było tak, jak miało być, oczywiście oprócz tego wcześniejszego powrotu. Ma samochód służbowy? Komórkę służbową? Kartę służbową? Gdyby coś zgrzytało, trzeba będzie szukać dokładniej.

– Jasne.

Nie czuł tego. Kranz czuła, że on nie czuł. Może miał rację. Oczywiście wiedział, że takie rzeczy się zdarzają, ale niechętnie się z tym godził. Odpychał od siebie. To nie był jego świat. To nie był świat, jakiego Ranik by chciał, a to, co nie pasowało do jego koncepcji, po prostu negował.

Kranz też nie chciała takiego świata, ale zdawała sobie sprawę z jego istnienia. Był, i to bliżej, niż się wydaje.

Jej ojciec...

„Prokuratura Wałbrzych – Joanna Mitaj”.

Odebrała połączenie.

– Od razu powiem, że to informacja nieoficjalna. – Wbrew tej deklaracji prokuratorka brzmiała oficjalnie. – Ruda miał w ustach papierosa znalezione po włamaniu u Dębskiego.

Kranz milczała. To była interesująca informacja, tyle że nie wiedziała, co z nią zrobić.

– Na papierze będzie w tym tygodniu. To jednak zmienia postać rzeczy.

Zmieniało, fakt. Komplikowało.

– Upraszcza sprawy – dodała Mitaj.

Najwyraźniej ich myśli biegły rozbieżnymi torami.

– Skoro Ruda ma związek z włamaniem do Dębskiego, to znaczy, że nie jest taki czysty, jak myśleliśmy. Tam były jakieś niepokojące elementy satanistyczne, pomazane ściany. Kto wie co siedzi w jego głowie.

– À propos, jak kolejne badania? – Kranz w końcu się odezwała.

– W toku, ale pierwsza opinia jest ostrożnie optymistyczna.

Tak, była optymistyczna, w tym sensie, że dopuściła do wizji i nie wykazała niepodważalnych cech niepoczytalności.

– Kolejne badania wymagają czasu, ale zebrany do tej pory materiał daje mocne podstawy, by traktować Rudę jako głównego podejrzanego.

– Posłuchaj. – Kranz wstała zza biurka i skierowała się w stronę drzwi. Otworzyła je i wyszła na korytarz. Postanowiła, że pójdzie do sklepu po colę. Rzadko ją piła, bo nie chciała się pokazywać przy Julce z napojem, o którym mówiła, że to przecukrzony syf. Popijała więc w ukryciu, nieczęsto, ale jednak. Wtedy, gdy potrzebowała dawki glukozy na cito. Jasne, że to szybki szczyt, a potem jeszcze szybszy spadek, ale wiedza nie zawsze przekłada się na racjonalne działania. Potem jeszcze bardziej chciało jej się pić i czuła się głupio, ale i tak to powtarzała. – Rozmawiamy teraz nieoficjalnie. – Szła przez środek placu. Trochę się wypogodziło, znowu nadciągała fala upałów.

– Zgadza się.

Mitaj była bardzo konkretna. Zadaniowa, zorganizowana.

– To zostawmy teraz na boku te wyniki. Obie wiemy, że Ruda jest zaburzony, ale w sensie deficytów intelektu, a nie w sensie psychopatii.

– Są jego ślady.

– Są – przyznała Sonia. – Z tym nie ma dyskusji. Ale jak powstały?

– Może używał prezerwatywy i podczas zdejmowania coś wyciekło? Może po przeciągnięciu ciała jeszcze się onanizował?

– To by było bez sensu, ale okej, zabójcy nie muszą być logiczni, zwłaszcza tacy jak on. Tyle że pierwsza część tej zbrodni wydaje się przemyślana.

Teraz prokuratorka milczała.

– Zadrapania, teraz jeszcze włamanie – odezwała się po dłuższej chwili. – Plus pogłoski o psie... – Łamała się, było to słychać. Podawała te argumenty w taki sposób, jakby sama im nie wierzyła.

– Mamy równoległe wątki. Kilka równoległych wątków. Sprawdzam pewne fakty na temat Korczaba. Jest przypuszczenie, że doszło do jakichś nieporozumień na linii ojciec–córka.

– A gdzie ich nie ma? Teraz nastolatki są trudne. Mam młodszą siostrę i daje rodzicom popalić. To inny świat. – Mitaj wreszcie poluzowała kołnierzyk koszuli, przynajmniej tak Kranz przełożyła spadek napięcia w jej głosie.

– Może to nie było nic wielkiego, nie wiem, trzeba zrewidować. Przyglądam się też sprawom sprzed lat. Dwóch skazanych za napaść seksualną z tego rejonu sprawdzamy pod kątem alibi.

– Okej, słusznie.

– No i są te trzy niewykryte sprawy.

– Nie jesteśmy Archiwum X.

– Nie, ale nigdy nie wiadomo. Trzy przestępstwa seksualne na jednym terenie. Trzy kobiety, które nie doczekały się żadnego zadośćuczynienia, żyją w poczuciu podwójnej krzywdy. Pomyśl, jak to musiało zniszczyć im życie i jak ta bezkarność może rozzuchwalać przestępców. Albo przestępcę, bo nie wiadomo, ilu ich było. Może gdyby nasi bardziej się przyłożyli do tych spraw, ta dziewczyna wciąż by żyła. To mogła być moja córka. – Poczwała ukłucie. Czy Julka na pewno była bezpieczna? – Albo twoja siostra.

Cisza. Kranz uznała, że wspierająca.

– Ale to wszystko będzie się toczyło równolegle? – zapytała prokuratorka.

– Tak.

– Bo oni... znaczy wojewódzka... Statystyki są ważne, ta sprawa jest ważna. Każda jest, ale ta... – Mitaj zaplątała się w słowa.

Jakby Kranz tego nie wiedziała. Jakby nie miała nad sobą Kwiatkowskiego i innych.

– Ta jest bardzo ważna. Tak ją traktuję.

Nie było w tym cienia kłamstwa.

Udawał czy taki był naprawdę?

Grzegorz Korczab stał za krzesłem, na którym siedziała jego żona. Dłonie trzymał na jej ramionach. Maryla Korczab wydała się Kranz jeszcze delikatniejsza, mniejsza, bardziej przezroczyta niż na posterunku. Jednocześnie, choć to nie przy-

stawało do sytuacji – ładna. Tak, była naprawdę ładną kobietą, w taki zapomniany, naturalny sposób.

Grzegorz Korczab nie był ani specjalnie przystojny, ani szczególnie brzydki. Średnia krajowa, twarz do zobaczenia i do zapomnienia, ale dbał o siebie. Pachniał wodą kolońską, włosy miał zaczesane, buty czyste. Styl niewyszukany, jednak nie było mu wszystko jedno, jak wygląda.

Pasowali do siebie i nie pasowali jednocześnie. Oboje blondyni, jakoś spójni stylistycznie ze sobą i z tym miejscem. Potoczny, uśredniony gust. On energiczny, ona spokojna. On rzutki, ona bez większej inicjatywy. A jednak widać było, że coś ich łączyło.

Do tej pory – także córka.

Dzielił ich natomiast wiek – Grzegorz Korczab był starszy od żony. Równo dwadzieścia lat.

– Podobno on zabił Zuzię? – Wpatrywał się w Kranz.

– Na tym etapie śledztwa wszystko jest hipotezą – odparła.

– Przecież się przyznał? – zdziwił się, raczej nieprzyjemnie.

– Sprawdzamy różne wątki.

– No ale...

– Grzegorz. – Maryla Korczab dotknęła dłoni męża. – Nie denerwuj się.

Zignorował ten gest i te słowa.

Kranz знаła to. Jej matka też prosiła ojca, żeby się nie denerwował, a potem przeproszała, że zdenerwował się na nią, mimo że jej winy w tym nie było.

– No jak „nie denerwuj”, jak taka sytuacja!

– Grzegorz...

– Ale po której ty jesteś stronie? No chyba po stronie Zuzi?

– Grzegorz, ja cię przeproszam, ale...

O, właśnie to. „Przepraszam, że się na mnie zdenerwowałaś”.

– Będę państwa informować, proszę jednak zrozumieć procedury.

Korczab spojrział na nią, potem na żonę.

– Tak, no tak – spuścił z tonu. – To jest po prostu taka sytuacja, że człowiekowi nerwy puszczają. Pani przecież rozumie?

Rozumiała.

– Mam do państwa jeszcze kilka pytań, jeśli można.

Maryla Korczab pokiwała głową, ale Kranz zauważyła, że wciąż spogląda na męża.

– Czy w ostatnim czasie zachowanie Zuzy było inne?

– Nie, chyba nie. Nie zauważyłam nic takiego. – Matka dziewczyny ścisnęła w dłoni papierową chusteczkę.

– A pan?

– Też nie. Choć wie pani, ja dużo jeżdżę, żona więcej czasu spędzała z córką. Zresztą to dziewczyna, taki wiek, że kontakt z matką jest naturalniejszy. Różne kobiece sprawy i takie tam.

– Często pana nie ma w domu?

– Jak się w pracy ułoży. Ostatnio rzeczywiście więcej jeżdżę, bo firma próbuje mocniej wejść na rynek czeski, a to akurat moje rejony.

– Jest pan przedstawicielem handlowym?

– Tak. Od zawsze. Od małego lubiłem jeździć, być w ruchu. Żona jest stacjonarna, jak gdzieś osiadzie, od razu chce tam zostać.

– A Zuzia? Jaka była?

– Zuzia miała marzenia. Chciała się uczyć, na studia jechać... – Maryli Korczab załamał się głos. – To była taka dobra dziewczyna. Taka dobra! – Rozpłakała się. Mąż znowu położył jej dłonie na ramionach.

– Żona nie daje rady. Mnie to jakoś łatwiej, ja jestem facetem.

Kranz pokiwała głową.

– Ja sobie nie wyobrażam, co będzie dalej. Jak teraz życie ma wyglądać, bez niej. To jest jakaś czarna dziura. Ja się boję, że ja... – Kobieta zaczęła się trząść.

Kranz patrzyła na tę parę. Jak by to wyglądało u niej i u Krzyśka, gdyby Julka...

– Pani przecież wie. – Korczab utkwiała w niej wzrok. – Pani też ma córkę, prawda?

Wreszcie to padło.

– Mogę się tylko domyślać. Naprawdę bardzo mi przykro.

– A czy ja bym mogła kiedyś... nie teraz, ale w przyszłości... czy byłaby taka możliwość, żeby o coś zapytać Julkę? Julkę, prawda?

– Myślę, że tak. Ale nie teraz.

Kranz spięła się i nie potrafiła tego ukryć. Z jednej strony była matką rozumiejącą, empatyczną, a z drugiej chroniła swoją córkę. I jeszcze musiała do tej opozycji dokleić rolę policjantki.

– Julkę? Chyba nie znam. – Mężczyzna przeniósł wzrok z żony na Sonię.

– Koleżanka z klasy. Przyjaciółka nawet, prawda? – Przesłuchiwana szukała u niej potwierdzenia.

– Tak, chyba tak to wyglądało.

– Ja nie mogę przecież... Zrozumiem, jeśli pani, ale... Pani wie, jak to jest, dziewczyny w tym wieku są ze sobą blisko, w pewnych sprawach bliżej niż z matką. Może gdybym mogła... Może to by było coś, dzięki czemu byłoby mi łatwiej... Przecież ludzie żyją też w innych, we wspomnieniach, słowach, zdjęciach. O, na przykład tu. – Maryla Korczab sięgnęła do kieszeni sukienki i wyjęła z niej telefon. Nie swój. Kranz rozpoznała kwieciste etui. – Na tym zdjęciu. Zuzia jest tu taka wesoła, uśmiechnięta. Taka śliczna.

Popatrzyła na fotografię. Znała ją.

– Ale to chyba prośba do matki tej dziewczyny. Jeśli ma jakieś zdjęcia, to da. Dlaczego nie? – Grzegorz Korczab pogłaskał żonę po ramieniu.

– Julka to córka pani komisarz.

Jego dłoń się zatrzymała. Znieruchomiał. Wszyscy troje na chwilę zastygli – jak dwie nastolatki w turkusowych bluzach złapane migawką aparatu.

Z pierwszą sprawą było najłatwiej, w końcu to ta sama miejscowość.

To znaczy byłoby najłatwiej, gdyby Jolanta Budzyńska wciąż tu mieszkała. Ale nie mieszkała, wyjechała na drugi koniec Polski – na Podlasie, do Moniek. I nie nazywała się już Budzyńska, tylko Marecka.

– Za miesiąc minie dokładnie dziesięć lat.

Tak brzmiały jej pierwsze słowa, kiedy oddzwoniła. Najpierw w ogóle nie chciała rozmawiać. Natychmiastowa blokada, gdy tylko usłyszała, po co Kranz

dzwoni. Potem przemówiła przez nią podejrzliwość, czy na pewno rozmawia z funkcjonariuszką policji, a na koniec powiedziała, że musi się zastanowić, czy w ogóle chce do tego wracać.

Mimo wszystko chciała. Odezwała się, nim minęło pół godziny.

– Z domu wyszłam, żeby nie rozmawiać przy mężu. I to jest mój absolutny warunek: że on się nie dowie.

– To sprawa między mną a panią – zapewniła ją Sonia.

– A jakby coś się ruszyło? Jakbyście go w końcu znaleźli? No przecież tego nie da się ukryć. Znowu jakieś zeznania, wezwania... Rozniosłoby się. Ja już sama nie wiem, czego bym chciała. Na początku chciałam tylko, żebyście go dorwali, żeby poszedł siedzieć, żeby była sprawiedliwość. Ale teraz? Dziesięć lat. To już jakoś okrzepło we mnie. W sumie gdyby pani nie zadzwoniła... Ja prawie zapomniałam. Dlaczego teraz?

– Prowadzę sprawę. Również gwałt.

– W Mioszowie?

– W Sokołowsku.

– Też młoda kobieta?

– Dziewczyna. Czternaście lat.

– Jezu. Biedna. Jak się ma?

– Nie żyje.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– To może być ten sam? – Jolanta Marecka w końcu się odezwała.

– Właśnie to próbuję ustalić.

– Ja przeżyłam, ale chyba po prostu miałam w tym nieszczęściu szczęście. Gdyby ten Kolecki, wie pani, co na cmentarz chodził do żony, go nie spłoszył, to nie wiem, jak by było. A tak to tylko... No, dziesięć lat. Teraz potrafię powiedzieć „tylko”, ale wtedy... Ja nie chciałam żyć. Czułam się taka brudna, zbrukana. Winna. Wie pani, co mi wtedy ojciec powiedział? To znaczy nie mi, ale ja to słyszałam. Że może gdybym nie miała takiej krótkiej sukienki... A to było lato, sierpień, gorąco! To w czym miałam chodzić? W kiece po kostki? Chociaż potem tak się ubierałam. Mój mąż to nie mógł pojąć: „Taka zgrabna jesteś, po co chowasz ciało?”. Nie-

dawno mi puściło, jak dziecko urodziłam, syna. I cieszę się, że syn. Dziewczynki mają gorzej.

– Czy mogłaby mi pani opowiedzieć, co pani pamięta z tego wieczoru?

– Ja to już wszystko mówiłam. Tyle że mało pamiętam, jakby się zatarło, po prostu wymazało z pamięci. Psycholog mi wytłumaczyła, że ja się tak chronię. Że mój mózg mnie chroni. Dlatego tak obsesyjnie chciałam się umyć. A to teraz... to podobne?

– Sprawdzamy to. Dziewczyna też była z Mieroszowa.

– Jak się nazywa?

– Nie mogę...

– No tak. U mnie wszyscy wiedzieli, bo jak to ukryć. Współczuli, ale mnie było wstyd za to, co on mi zrobił. Gdy mnie widzieli na ulicy, nie wiedzieli, jak patrzeć. Niecały rok potem poznałam męża. W pociągu, jechałam na wakacje. Jak się dowiedziałam, że on tak daleko mieszka i że jego rodzina chce, żeby on został na gospodarce, to dla mnie było jak znak. Od razu się zgodziłam wyjść za mąż. Zresztą to dobry człowiek, naprawdę. Tak mi go żal było, jak nie mogliśmy mieć dzieci. Bo wie pani, ja długo nie mogłam zajść w ciążę. Na pewno przez ten uraz. Teraz jest syn i jest dobrze. I dlatego ja już więcej nie chcę. Mamie też powiedziałam, że już nigdy ani słowa. Dlatego nawet nie wspomniała o tej sprawie, choć przecież na pewno wie.

– A ojciec?

– Umarł. Niech pani nie myśli, że on był jakiś zły, bo powiedział, jak powiedział. Ja to rozumiałam: oni tak myślą. Że kobieta prowokuje, że się prosi. Ci, co napadają, chcą się tak usprawiedliwić, a ojciec chciał tylko zrozumieć. Tak, chciał zrozumieć. Więc to by było tyle.

– Może jest coś, co teraz wydaje się pani ważne? – zapytała Sonia. – Może jednak coś sobie pani przypomniała? Czasem takie obrazy odblokowują się po latach.

– Nie, nic. Zamazane. Przykro mi.

– Rozumiem. Dziękuję za rozmowę. I – Kranz się zawahała – życzę spokoju, mimo wszystko. Do widze...

– Zaraz. Niech pani zaczeka. Coś pani powiem. Ale tylko teraz i ten jeden raz. Nieoficjalnie. Ja naprawdę już nie chcę mieć z tym nic wspólnego, chyba że pani kiedyś zadzwoni i powie, że go macie. A jeśli nie, to nie. A ta jedna rzecz: on nie

miał palca. Nie miał kawałka jednego palca. Coś mi nie pasowało, ale dopiero potem zrozumiałam, w czym rzecz. Bo kiedy on mnie... on mnie dotykał, to było coś dziwnego. I to było właśnie to.

Krzyż. Chyba trzeci, a może czwarty? Pierwszy był już na klatce schodowej, nad drzwiami. Drugi od wewnętrznej strony, trzeci w salonie. Czwarty na łańcuszku. Srebrny, prosty, ale całkiem duży. Miało go być widać.

W przeciwieństwie do Kamili Rokickiej. Była katechetką, ale wyglądała jak zakonnica – taka, która jeszcze nie złożyła ślubów, jednak już dopasowuje się do zakonnego stylu bycia.

– Bardzo mi przykro w związku z tą sprawą – powiedziała. – Okropna tragedia, zwłaszcza dla rodziców, a matki to już szczególnie. Moja mama bardzo to przeżyła, a przecież ja ocalałam. Czy oni są wierzący, ci rodzice?

– Nie wiem, chyba tak.

– To ważne, bez takiej podpory człowiek może się nie pozbierać, bo jak sobie to wytłumaczyć? Gdzie szukać pociechy?

Kranz pomyślała, że nawet jeśli bardzo by wierzyła, nie dałoby jej to zbyt wiele, gdyby Julce coś się stało. Choć może umysł osoby zaangażowanej religijnie działa inaczej. Tak musiało być, Kamila Rokicka była przecież tego dowodem.

– Wie pani, ja o tym myślę, że to był znak. Zwrotnica losu. To się może wydać okrutne, bo po co tak dramatycznie doświadczać kobietę, ale bez tego moje życie byłoby inne. Gorsze, z całą pewnością. Kończyłam liceum, myślałam, co dalej. Może jakieś studium kosmetyczne, może szkoła rachunkowości? Coś, co da mi samodzielność, pracę zwyczajnie. Miłą, dość lekką, bo ja byłam z tych, co nie szukają wyzwania w życiu. I wtedy to się zdarzyło...

Kobieta zamilkła. Kranz sięgnęła po herbatę, którą została poczęstowana. Ludzi nie można pospieszać, muszą opowiadać w swoim tempie. Rozejrzała się po pokoju. Niewielki, jak to w bloku. Kanapa, okrągły stół, trzy krzesła. Regał, trochę książek, na oknach storczyki. Schludnie i czysto, odrobinę bepcioowo.

Kamila Rokicka też taka była. Cała w beżu, z którym zlewały się jej włosy i twarz. Sweterek z krótkim rękawem, spódnica do połowy łydki. Nieumalowana,

nie licząc bezbarwnej wazeliny na ustach – już dwa razy w ciągu ich rozmowy zdążyła je posmarować.

– Pani zna przebieg tego zdarzenia, prawda? – odezwała się w końcu.

– Znam. I nie powinnam o to prosić, bo wiem, że wywoła wspomnienia, ale czasem po latach coś potrafi się uruchomić, więc gdyby...

– Był początek wiosny. Wracałam od koleżanki. Chorowałam kilka dni, więc ona podrzucała mi zeszyty po szkole. Czułam się już lepiej. Wszystko przepisałam, nadrobiłam, poszłam je zwrócić. W drodze powrotnej postanowiłam pójść do parku, tego na górze. Pachniało tak ładnie, zrobiło się trochę cieplej, ja ostatni czas spędziłam w domu... Podeszłam, a tam jest dość stromo, i poczułam się zmęczona. To sobie przysiadłam na ławce. Słońce świeciło, jakoś mnie zmorzyło... Przysnęłam. Kiedy się ocknęłam, zaczęła się robić szarówka. Wracałam do domu. Wybrałam trasę przy kościele. Tam jest takie wąskie zejście, a obok niego drzewa i krzewy, gęste. I ja tym przesmykiem poszłam. A tam... To był moment. Jakiś nagły ruch, nie zdążyłam się obrócić. Poczułam ból, pierwsze uderzenie w głowę, potem kolejne. Później jeszcze chłód, zapach mokrej ziemi i... i że ktoś ściąga ze mnie spodnie. I znowu ból, tam na dole. Później już zupełnie nic.

– Zeznała pani, że to był ktoś wysoki, masywny.

– Tak, tak to zapamiętałam. Jakby uderzył z góry. Mocno, zdecydowanie. No ale ja nie jestem duża, więc nietrudno o takie wrażenie.

– I już nigdy nic się pani nie przypomniało?

– Przestałam o tym myśleć, wybaczyłam sprawcy. Tak naprawdę, bo bez przebaczenia nie ma wolności. Złość, żal i smutek tylko by mnie dręczyły. Wtedy, w tych krzakach, znalazła mnie pani, która sprzątała w kościele. Nie wiedziała, co robić. Gdy się trochę ocknęłam, podniosła mnie i podprowadziła do kościoła, bo to blisko. Na tyle starczyło nam obu sił. Potem opadłam na posadzkę, czułam ten specyficzny zapach, widziałam krzyż... Jakoś mi się to wszystko w jedno połączyło. Wtedy tak o tym nie myślałam, ale potem, kiedy już doszłam do siebie fizycznie, to do mnie trafiło. Nasz ksiądz mi pomógł, bardzo. I to on zasugerował, że może zostanę katechetką. Że skoro miałam takie myśli, że jeśli tak czuję Bożą obecność... Bardzo dobrze się stało. Mam kontakt z dziećmi, a ja uwielbiam dzieci. Nie zdecydowałabym się na nie, bo od tamtej pory ja... Nie byłam z mężczyzną. Nie potrafiłabym. Rozmowa, spotkanie tak, ale bliżej... Pani psycholog mówi, że można prze-

pracować, ale mnie to nie przeszkadza. Tak jest mi dobrze, dzieci w szkole są mi bardzo bliskie, mam z nimi dobry kontakt, a w domu spokój, ciszę.

Kranz patrzyła na nią i zastanawiała się, co z życia tej kobiety jest prawdą, odnalezieniem powołania, a co ucieczką.

– Pani pewnie myśli, że ja to sobie wmawiam, że odwracam sprawy.

Cóż, tak było.

– Myślę, że nasza psychika potrafi wyczyniać różne rzeczy, by zapewnić nam spokój – odparła łagodnie.

– Też tak myślę, ale tu jest obecny ktoś jeszcze. – Kobieta dotknęła krzyżyka na szyi. – Jego towarzystwo wszystko zmienia.

Kranz pokiwała głową. To musiała przyjąć – nomen omen – na wiarę.

Doszła do rynku. Był ładny, naprawdę ładny. W ogóle Kamienna Góra miała niezaprzeczalny urok – położenie, układ urbanistyczny, kamieniczki, w tym sporo odnowionych, ale nawet te, które jeszcze czekały na zainteresowanie i pieniądze obecnych użytkowników, broniły się dawną urodą.

Tu, jak wszędzie dokoła, unosił się duch minionego. Czuć było, że to tereny, które cywilizowano w nieco innym kręgu kulturowym. Wciąż zauważalnym, choć przykrywały go polskie akcenty, choćby szyldy i reklamy – w dużej ilości, nieumiarkowanym formacie. Na przykład „Garmażeria”, którą przed chwilą minęła. Choć to akurat nie polskie słowo, słychać w nim francuski. Nad nim „Come & get it”. No tak, byli przecież częścią europejskiej wspólnoty, nawet tu, w Kamiennej Górze. Na szybie jednak – duże, z daleka widoczne – wybrzmiało umiłowanie polskości: „#dobrebopolskie”, „#lepszebonasze”. Kilka osób stojących w środku w kolejce mogłoby pewnie o tym świadczyć, ale tak poza tym...

Były wakacje. Piękna pogoda. Ładne tereny. I pusto.

Z czego ludzie tu żyją?, zastanawiała się, siedząc na ławce pod drzewem. Sużyło ją po herbacie wypitej u Rokickiej. Nie wyjęła torebki na czas, za mocno naciągnęła. Żeby złagodzić gorzki smak, Kranz solidnie ją posłodziła. Zimna woda z lodówki dobrze teraz smakowała. Mogłaby pójść na jakiś obiad, ale właściwie jeszcze nie była głodna. No i chciała się zatrzymać w Chełmsku Śląskim. To tam doszło do trzeciej napaści – jedynej niezakończonych gwałtem. Anna Wojtyszek

miała najwięcej szczęścia – gdyby nie wesele, które odbywało się w pobliżu, i goście, którzy postanowili zaczerpnąć świeżego powietrza, zdarzenie miałoby na pewno dużo dramatyczniejszy przebieg, a tak skończyło się na szarpaninie i strachu. Choć może uraz psychiczny pozostał solidny.

Kranz nie udało się skontaktować z Wojtyszek. Wszystko, co wiedziała o sprawie, знаła z dokumentów. Dziewiętnastolatka na letnim obozie studenckim. Grupa wraz z opiekunami prowadziła tu jakieś prace badawcze – zajmowali się niemieckimi pozostałościami na terenie Dolnego Śląska. W ciągu dnia katalogowali, robili zdjęcia, mieli wykłady, a wieczorem odpoczywali. I, co oczywiste, imprezowali. Tamtego wieczoru też. Gdyby Anna Wojtyszek była pijana, nie usprawiedliwiłoby to napastnika, lecz bardzo ułatwiłoby mu zadanie. Ale nie była. Wyszła na spacer, sama. Gdy wracała, za rynkiem skręciła w stronę kościoła ewangelickiego. Tam doszło do napaści – przerwanej, bo zjawili się goście weselni.

Kranz udało się ustalić, że dziewczyna skończyła studia, została na uniwerku i zrobiła doktorat. Nadal zajmowała się pracą badawczo-naukową. Teraz przebywała w Szwajcarii i nie było z nią kontaktu telefonicznego. Wylogowała się z sieci, pewnie ze względu na koszt połączeń. Kranz dwa lata temu na kilka minut odpaliła internet w Zurychu, a potem nie mogła uwierzyć w sumy na rachunku.

Doktor Wojtyszek miała wrócić do Polski za trzy dni. Mieszkała we Wrocławiu, więc Kranz mogłaby się nawet do niej wybrać. W innej sytuacji zabrałaby Julkę na spotkanie z ojcem, ale teraz... Zresztą nie wiadomo, na ile wyleciał. Spojrzała na komórkę. Julka nie dzwoniła, to chyba dobrze. Jakoś dawała sobie radę, choć polegało to głównie na uczestnictwie w wirtualnym świecie. Pies byłby naprawdę dobrym rozwiązaniem. Siłą konieczności wyciągałby ją z domu. Może nie rano, ale ten spacer to Kranz by mogła obskoczyć. Potem jednak Julka miałaby towarzysstwo, na pewno dobrze by jej to zrobiło. Byłby pewien problem, gdyby chciały wyjechać na wakacje, ale w tym roku Kranz nie miała takich planów. Dopiero zaczęła tu pracę, a teraz jeszcze ta sprawa. No i kasy brak. Wciąż istniała opcja wypoczynku nad morzem, u jej matki. Ona nie była na to gotowa, ale może udałoby się namówić Julkę? Od niej babka aż tak dużo nie wymagała, a morze miało urok, więc pewnie by się dogadały.

Wstała i wyrzuciła butelkę do śmieci. Mieli tu na rynku i drzewa, i ławki, i kosze. Niemiecki ład. Polski porządek jakoś za nim nadążał.

W Chełmsku za to był smutek. Sporo przyrynkowych kamienic odnowionych, ale mało starannie, bo już zaczynały się sypać. Innych w ogóle nie tknięto – stały tak, jak je zbudowano, i próbowały przetrwać. Nad uporządkowanym placem górował kościół, do tego kilka sklepów – niektórych czynnych, innych zamkniętych, dwie grupki mężczyzn pijących piwo, kot, który przemknął jej przed nogami. U wylotu, przy drodze na Mieroszów, stały domy tkaczy – lokalna atrakcja turystyczna najwyraźniej jednak nie przyciągała turystów, skoro mały parking, na którym Kranz zostawiła samochód, był pusty.

– Szefowa by nie poratowała piątkiem? – zagadnął ją jeden z pijących, to znaczy chwilowo bez piwa w ręku.

– A na co ten piątek? – zapytała. Była ciekawa, co odpowie. Gdyby skłamał, od razu by go skreśliła.

– Na co? Na przeżycie. Na trochę wesołości. Żeby w głowie było jak tam. – Zadarł zarośniętą brodę i spojrzał na błękitne niebo.

– Źle się tu żyje?

– Może inni mają gorzej, ale cieszyć się z cudzego nieszczęścia to grzech.

– A pić za dużo to nie grzech?

– No... Ale blisko kościoła. Nawet dwóch. Pan Bóg widzi i nie grzmi.

Sięgnęła do torebki. Facet był miły, mimo że lekko wstawiony. A może dlatego? Ona nie jest z Armii Zbawienia, a on jest dorosły, bardzo dorosły.

– Do kościoła ewangelickiego jak dojść? – zapytała. Widziała ceglaną wieżę, ale nie miała pewności, czy od rynku jest tam przejście. Brama co prawda była, choć może tylko na podwórko kamienicy.

– A po co tam iść, szefowo? Tam nic nie ma, zamknięte. Jeszcze można w krowi placek wdepnąć, bo tam bydlę teraz podchodzi. Tu jest kościół, czynny, ładny. – Pokazał ręką na żółtawą bryłę górującą nad nimi. – Zresztą też był niemiecki, jak wszystko. Teraz wygląda po naszymu, po polsku znaczy. Ładnie, nie ma co narzekać.

– Tu wciąż dużo niemieckich śladów, prawda?

– No a jak by miało nie być, jak oni tu tyle lat żyli. Jak pani ma czas, to pani sobie obejrzy trochę. Na niektórych domach są tabliczki, takie ze zdjęciami, na któ-

rych widać niemieckich właścicieli. Na przykład tam. – Pokazał ręką w stronę, gdzie stał zrujnowany ewangelicki kościół. – Trochę w dół była drukarnia. Widać ich na zdjęciu, całą rodzinę. Tacy solidni, odprasowani. Dostatek mieli. A teraz... my to przy nich jak dziady. Przed wojną dziady, w wojnę dziady i teraz też dziady. Bywa, że oni przyjeżdżają, chyba oni, znaczy jakieś potomki, no bo to tyle lat przeszło, że już tylko te ich dzieciaki mogą żyć albo wnuki... Na niemieckich rejestracjach, więc muszą jakoś być z tym miejscem związani, bo po co inaczej by tu się pchali? I tak chodzą, patrzą, bardzo kulturalnie, ale smutni są. Na górkę pójda, kościół już nie ich, ale cmentarz tak. Tamten przy tej ruinie to zapuszczony, no wstyd, bo żeby tam krowy łąziły...? Ale tu ładnie, groby zostały. Po jednej ich, po drugiej nasze. Tak, bardzo ładna górka, miło tam leżeć. To co, da szefowa jeszcze piątaka za te informacje?

Dała. Był miły. Wolałaby, żeby nie kupował kolejnego piwa, ale i bez jej pieniędzy w jakiś sposób skołowałby następną butelkę.

– A do tamtych ruin to trzeba prosto, do końca rynku, potem w tę ulicę, co do Kamiennej jest tablica, i zaraz w lewo.

Pokiwała głową i poszła we wskazanym kierunku. Blisko było. I rzeczywiście teren wyglądał na zapuszczony. Sama bryła kościoła jeszcze nieźle się trzymała, na drzwiach wisiała tabliczka: „Zakaz wstępu”. Na tyłach były domy, jeden zaanektował trochę przykościelnego terenu. Po prawej stał duży, pusty budynek, zdaje się dawna plebania. Na bramie łańcuch i kłódka. Kranz poszła jeszcze wyżej. Rzeczywiście, znajdował się tu cmentarz – cmentarzyk właściwie. Trochę płyt nagrobnych utrzymało się w pionie, ale większość spadła i dawała się pochłaniać bluszczowi. I naprawdę leżały tu krowie placki. Zrobiło jej się przykro. Nie była religijna, ale cmentarz to zupełnie inna bajka – przecież tu pochowano ludzi. Im to niby już wszystko jedno, ale ci, którzy by ich tu odwiedzili – jak oni by się poczuli...? W oddali, na łące, zobaczyła krowy. Nie sądziła, by ktoś specjalnie przyprowadzał je tu, pod kościół. Teren był nieogrodzony, jedna albo druga zapuściła się za daleko i tyle. Nikt się tym nie przejmował. Nikogo nie obchodziło.

Może to kwestia biedy, może bezradności, a może uczucia złości na los przechodziły z pokolenia na pokolenie? Dziadkowie nie chcieli tu przyjechać – to przez Niemców i ich wojnę zostali wyrwani z korzeniami z własnej ziemi. Trafili do ponemieckich wsi, miast i miasteczek. Może było w tym trochę satysfakcji, że tamci też musieli się szybko zbierać i wszystko tracili. Na pewno nie było chęci, by sza-

nować pamiątki, przejąc się losem cmentarza. Ale od tamtego czasu minęło kilkadziesiąt lat i takie sprawy nie powinny mieć miejsca. Głupio i wstyd.

A może gdyby to jej przodków tutaj rzucono i gdyby wyrastała w niechęci do wszystkiego, co niemieckie, też patrzyłaby na to z obojętnością?

Nie, chyba nie. W końcu ona była inna niż jej rodzice, dużo życiowych wyborów podejmowała w kontrze do tego, co oni robili.

Odwróciła się i znowu znalazła na wąskiej uliczce, która prowadziła do kościoła. To tu musiała dojść Anna Wojtyszek. Co ona tu robiła? Miejsce było odludne i mało zachęcające, choć miało urok, a dla kogoś, kto zajmuje się historią, mogło być wręcz pociągające.

Postanowiła wrócić na rynek i obejrzeć drugi kościół. Kwadrans jej nie zbawi, a dobrze znać tereny, na których się mieszka.

W myślach wracała do dzisiejszych rozmów z obiema kobietami. Niewiele wniosły do sprawy. Czy oczekiwała czegoś więcej? Trochę głupio było jej się przyznać, ale tak. I ze względu na tę biedną Zuzię, i na poszkodowane. Podle musiały się czuć z myślą, że sprawcy nie złapano. Kranz nie miała z tym nic wspólnego, ale była policjantką, więc mimo wszystko brała takie niepowodzenia do siebie.

W żadnym z tych dwóch przypadków gwałciicielem nie mógł być Wojtek Ruda. Miał trzydzieści pięć lat (dopiero za trzecim razem się nie pomylił – nie do wiary, że można serio oskarżać faceta, który ma problem z podaniem swojego wieku), ale nie pasował do opisu. Zero zdziwienia. Rozmawiała z Majkowskim, który przepytiał kilka osób z Sokołowska – ekspedientkę ze sklepu, faceta z wypożyczalni rowerów, woźnego ze szkoły. Miejscowi wiedzieli o jego defekcie intelektualnym. Podobno zdarzało się, że podpuszczano go do zrobienia czegoś głupiego za piwo albo czipsy, zwłaszcza kiedy był młodszy. Taki odpowiednik durnego, wioskowego Jasia. Mieszkał tu z matką w komunałce, potem wyjechali do Wrocławia. On chora, została umieszczona w jakimś ośrodku opiekuńczym, on wracał, choć nie było do czego, bo tu mieszkanie im zabrali. Nikt nigdy specjalnie nie badał jego upośledzenia – skończył szkołę podstawową, później zawodową, więc po co? Wszyscy zgodnie twierdzili, że nie jest zdolny do przemocy, nigdy nie zachowywał się napastliwie.

No i co z tego? Niewiele.

Jeśli chodzi o te niewyjaśnione gwałty, ewidentnie było tu dwóch różnych sprawców. Ciekawe, co wyjdzie w trzecim przypadku. Kranz miała nadzieję, że historyczka się do niej odezwie – wysłała jej wiadomość i liczyła na kontakt. Ta dziewczyna jako jedyna wyszła z tej sytuacji obronną ręką.

Kranz doszła do bramy kościoła. Na tablicy przy wejściu zauważyła niemieckie napisy, niezbyt wyraźne, bo je zamalowano, ale wyźłobienia po literach zostały i na tym powstał polski tekst. Ekonomiczne, płynne przejście pałeczki.

Budynek był w bardzo dobrym stanie – zarówno kościół, jak i plebania. Niedawno musiały przejść remont. Przez otwarte okno usłyszała płacz dziecka, a potem kobiecy głos. Język ukraiński. Zdziwiła się, że tu też dotarli uchodźcy, choć przecież po pierwszych tygodniach wojny zaczęły się migracje – nie wszyscy mogli mieszkać przy granicy czy w Warszawie.

Pomyślała o nieprzewidywalności historii, o tym, że zawsze za ruchy tych na górze płacą ci na dole. Żal jej się zrobiło tej kobiety. I wszystkich innych, których wojna porozstawiała jak pionki na planszy.

Pomyślała też o ogromnej różnicy, z jaką czas potraktował oba kościoły. Tamten był ruiną, ten – błyszczał. Na starym ewangelickim cmentarzu pasły się krowy, tu tejszy otoczono opieką, nawet niemiecką część. Nie dało się jednak postąpić inaczej – niemiecki kwartał od polskich grobów oddzielały tylko alejki. Trzeba było się jakoś zaopiekować tym, co zostało po poprzednich mieszkańcach, bo zaniedbania psułyby ogólny widok. Natura pomogła. Większość nagrobków zarosła bluszczem, ale był jeden, nowy. Szary błyszczący kamień wyglądał jak groby po polskiej stronie, jednak odróżniała go od nich tablica nagrobna – porcelanowa, z odręcznie zrobionymi napisami. „Britte Lindner”. Data urodzenia 1929, daty śmierci brak, choć obok stał znicz – wypalony, ale najwyraźniej nowy. Wyglądało to przedziwnie. Facet od piątku mówił o przyjeżdżających tu czasem Niemcach, ale żeby ktoś chciał być tu pochowany...?

Historia tych terenów wpędzała w nostalgię, choć było tu naprawdę ładnie.

Jechała do Mioszowa pustą prawie drogą rozciągającą się wśród zieleni.

Zastanawiała się, kiedy znów odwiedzić Marylę Korczab. Chciała porozmawiać z nią na osobności, nie na posterunku i bez towarzystwa męża, który pewnie nie będzie teraz wyjeżdżał w delegacje, ale w pracy chyba nie weźmie wolnego. Na drzwiach lumpeksu pojawiła się kartka: „Zamknięte”. Widziała ją rano. Tylko

jedno słowo; po co więcej, skoro wszyscy wiedzą? Ktoś nawet położył bukiet kwiatów – rumianki. Takie dziewczęce... Leżały tam i więdły.

Postanowiła, że przejedzie teraz koło domu Korczabów. Może dopisze jej szczęście?

Dopisało. Granatowego passata, którym jeździł ojciec Zuzi, nie było na podwórku.

Zaparkowała przed bramą i weszła przez otwartą furtkę. Już miała się skierować do drzwi wejściowych, kiedy zauważyła, że kobieta siedzi w altanie z tyłu ogrodu.

– Dzień dobry – przywitała się, gdy była już blisko.

Tamta podniosła na nią zdumione spojrzenie, jakby dopiero teraz ją dostrzegła.

– Nie chciałabym przeszkadzać – dodała Sonia – ale mam jeszcze kilka pytań. Mogłybyśmy teraz porozmawiać?

– Tak, oczywiście.

Błada i cicha, wyglądała, jakby jakaś jej część zastygła i nie kontaktowała się z otoczeniem. A Kranz miała teraz znowu mówić o jej zamordowanej i zgwałconej córce. Maryla Korczab dramatycznie źle przyjęła tę ostatnią informację. To było oczywiste, bo jak sobie radzić z obrazami, które natychmiast podsuwa wyobraźnia? Mama Zuzi zareagowała jednak tak intensywnie, jakby ją samą to spotkało, jakby przejmowała strach i ból swojego dziecka. Skuliła się i kucnęła, zastygła w kamień, a potem objęła się rękami i kiwała. „Boże... Boże... Boże...” Co musiała czuć, wyobrażając sobie ostatnie chwile życia córki? Kranz powiedziała, że sama Zuzia nic nie czuła, ale nie miała pewności, czy to dotarło do jej matki.

Teraz miała rozdrapywać te rany na nowo.

A jednak musiała – rozmowa Zuzi z Julką była niepokojąca. Często przecież się zdarza, że sprawcą napaści seksualnej jest ktoś z najbliższego otoczenia. Dlatego nie mogła zignorować tego wątku. Pytanie o Grzegorza Korczaba musiało paść, bez względu na to, jak będzie bolesne.

– Chciałabym...

Dzwonek telefonu. „Iwona Kostecka (Rola)”.

– Przepraszam na chwilę. – Kranz odwróciła się i odebrała. – Hej, Iwona. Sorry, ale teraz nie mogę rozmawiać, oddzwonię.

– No hej. Jasne, tylko tak na szybko ci powiem, że to, co mam dla ciebie, jest interesujące. I że może mieć znaczenie dla sprawy, którą prowadzisz.

– Mówisz o Dębskim? – Kranz poczuła mrowienie.

– O Dębskim. Słuchaj, rzeczywiście, był mały skandal z jego odejściem z pracy. Wiesz, jaki był powód?

Nie wiedziała, no skąd.

– Bliskie relacje z jedną z uczennic. Bliskie i brzydkie. Bardzo brzydkie.

Rozdział 10

– Ten z Wałbrzycha ma murowane alibi. Nie było go w mieście. Pracuje jako kierowca, od tygodnia jest w trasie. Generalnie ma teraz czystą kartę, ożenił się, żadnych zatargów z prawem. – Majkowski przeglądał swoje zapiski.

Kranz nie zadała Maryli Korczab pytania, z którym do niej pojechała. Wiadomość o Dębskim je odroczyła. A może w ogóle nie będzie potrzeby, żeby ciągnąć ten wątek? Jeśli kto inny okaże się drapieżnikiem, jaki sens miałyby taka rozmowa? Czy prawda zawsze wyzwala?

Poczuła zawód. Tak, Dębski ją zawiódł. Może pozer, może udawany hipis, ale żeby takie rzeczy z nieletnimi? Brzydziło ją to. Brzydziło ją wszyscy faceci, którzy wykorzystywali swój wiek, swoją pozycję czy inną przewagę, żeby uwieść młode dziewczyny. Zresztą jakie tam uwieść – po prostu prymitywnie skorzystać z ich ciała. Jezu, jakie to słabe!

Od takiego zachowania do morderstwa było jednak daleko. Czy Piotr Dębski dramatycznie skrócił ten dystans?

– Więc tego bym sobie odpuścił. Co do drugiego... – Majkowski spojrzał teraz na nią.

– Słucham, słucham cię, po prostu... Dostałam dziś ważną informację. Prawdopodobnie nawet bardzo ważną. – Wahala się, czy mu powiedzieć.

– No to może... – Sierżant gestem dał znać, że poczeka z dalszym opowiadaniem.

– Nie, najpierw ty. Odfajkujmy to i już.

Lubiła porządek. Mogłaby go znienawidzić, bo przecież rządził jej domem rodzinnym, ale akurat tę część życia prowadziła jak matka – panowała nad wszystkim, nie była chaotyczna, potrafiła trzymać emocje na wodzy. Może nawet za bardzo. „Czasem człowiek potrzebuje odrobiny szaleństwa. Nieracjonalności”, powiedział Krzysiek. Jej mąż potrzebował poczuć, że jeszcze nie zaczyna się starzeć, że wszystko jeszcze przed nim, jak wtedy, gdy miał niecałe trzydzieści lat. To nie było

żadne szaleństwo, tylko zwykły strach przed śmiercią. Nie rzuciła mu tego w twarz właśnie dlatego, że nad sobą panowała, nawet w takich sytuacjach.

– Okej, zatem tak: facet pracuje w niedużym zakładzie tokarskim, u kumpla. Ten kumpel trochę był szemrany, w sensie szwindli i to kiedyś, w przeszłości, bo teraz się dobrze prowadzi, to znaczy nie jest w nic zamieszany. Porządny obywatel się z niego zrobił. Ten nasz przychodzi rano, na siódmą, siedzi różnie, zależy, jak jest praca. W tamten piątek był mniej więcej do dwunastej.

– Krótko, a do Kłodzka nie tak daleko. Ile to kilometrów?

– Niecałe pięćdziesiąt. Godzina samochodem.

– Teoretycznie...

Teoretycznie by mógł. Tyle że Dębski miał dużo bliżej.

– Teoretycznie tak, to znaczy autem, bo inaczej nie da rady. I teraz sprawa się trochę komplikuje. Bo ten nasz, on się nazywa Rybak, nie ma prawa jazdy.

– Czeka, ile on ma lat?

– Chwila... – Majkowski spojrzał w notatki. – Z siedemdziesiątego dziewiątego. Czyli czterdzieści cztery. Jeździł samochodem, bo w historii ma też karę za kierowanie pojazdem bez uprawnień, ale prawa jazdy nigdy nie zrobił.

– Co nie znaczy, że wciąż nie jeździ bez papierów.

– Mógłby, choć nikt go nie złapał. Ale w czym innym rzecz. Rybak jest chory.

– Na co?

– Mirek, ten mój kolega, który był w Boguszowicach, a teraz jest w Kłodzku, nie wiedział dokładnie, to znaczy dowiedział się, ale zapomniał. Nie jest lekarzem, tylko dzielnicowym. W każdym razie to coś z układem nerwowym. Facet ma ograniczoną sprawność. Czasem mu się ręce trzęsą, czasem go zarzuci, jak chodzi. Podobno wygląda tak, jakby był pijany, a nie jest. W nazwie tej choroby jest coś z nerwami... Neuropatia albo jakoś podobnie, a to pewnie dyskwalifikuje przy prawie jazdy. Może jakoś jeszcze by oszukał w papierach, ale podobno nie da się tego ukryć, jak się z nim chwilę dłużej pobędzie. I on właśnie do lekarza jechał, dlatego krócej był w zakładzie.

– Z takimi dolegliwościami pracuje jako tokarz? – zdziwiła się Kranz. – Przecież to kwestia czasu, kiedy zrobi sobie krzywdę. Robota może nie jest jakoś szczególnie skomplikowana, ale ręce trząść się nie mogą.

– No nie mogą. Chyba dlatego pracuje mniej niż osiem godzin i nie jest tak bardzo dociążany robotą. Mirek zna jego szefa – Majkowski spojrział w papiery – Krysteckiego, tak się nazywa, i twierdzi, że ten traktuje Rybaka oszczędnie. Daje mu fory.

– Coś ich łączy? Krysteckiego i tego Rybaka?

– W sensie pokrewieństwa?

– Jakimkolwiek.

– Nie wiem, nie pytałem, ale gdyby tak było, Mirek by o tym powiedział. Mówił o nim „starszy facet” i że Rybak jest dla niego trochę jak syn. On się zmienił, ten Krystecki. Wcześniej też był na bakier z prawem, ale tamten bujny czas życia zakończył się tragedią: jego żona i córka zginęły w wypadku samochodowym. Wpadły w poślizg podczas ulewy, a tu kiedy pada, to jakby wiadrami z nieba lało, jeszcze te mroczne doliny i wąskie drogi... Podobno po tej tragedii coś się Krysteckiemu poprzestawiało w głowie. Nawrócił się, w ludzkim sensie przynajmniej. Ale dlaczego ta dobroć objęła Rybaka, nie wiem. W każdym razie nie chce, żeby coś mu się znowu stało, więc go oszczędza.

– Znowu? A co się stało wcześniej?

– Palec sobie obciął.

– Palec?

– U ręki. Nie ma jednego.

– Kiedy?

– Nie wiem. A to ważne?

– Może być ważne. Może być cholernie ważne.

Wjechała w ich uliczkę.

„Ich”. Szybko poszło. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu przywiązywała się do tego miejsca. Kiedy patrzyła na dom, który wynajmowała, zawsze przypominały jej się rysunki z dziecięcych książek: dom, ładny, równy prostokąt z klasycznym dachem, obok wysokie drzewo, z przodu kwiatki, z tyłu ogródek. Spokój i bezpieczeństwo – tak jej się wtedy kojarzyły. Dom oaza. Dom azyl. W tym domu mama, która gotuje obiad, i tata, który pojechał do pracy. Równouprawnienie nie istniało,

to nie były czasy, żeby, jak teraz w gazetce Lidla, kobieta reklamowała zestaw kluczy nastawnych albo wiertarkę-wkrętarkę. I to oczywiście było słabe, ale dziecku dawało poczucie stabilności i pewności. To plus fakt, że mama radośnie witała dzieci wracające ze szkoły. Ojciec też się cieszył, nawet pies był pogodny. Wesoła rodzina. U Kranz tak nie było i nie wynikało to wyłącznie z faktu, że oni mieszkali w bloku. Ojciec wybywał na długo, w końcu rejs to nie dniówka, po kilku tygodniach wracał i odpoczywał. Wtedy matka chodziła wokół niego na paluszkach, a Sonia mogłaby dla niej nie istnieć, a potem... A potem matka popłakiwała po kątach i odreagowywała na córce, że mąż znika. Był u tej drugiej, choć to nigdy nie padło – ani wtedy, ani teraz.

Zaparkowała. Poprosiła Majkowskiego, żeby sprawdził, kiedy Rybak stracił palec. Powiedziała, że w jednej z tych niewyjaśnionych spraw facet miał taki defekt. I jeszcze, że sprawa jest absolutnie priorytetowa, ale i delikatna, więc musi to przeprowadzić dyskretnie. Oczywiście, że nie powinna tego zostawić dla siebie i nie robi tego, choć zadba, żeby burzenie z trudem odzyskanego przez Jolantę Marecką spokoju miało sens.

Majkowski umówił się z tym swoim Mirkiem, żeby sprawdzić Rybaka.

Kranz czuła ekscytację. Nie w jakiś niepohamowany sposób, bo to przecież nie jej *modus operandi*, ale to jednak było coś. Gdyby się potwierdziło...

– Hej, jestem.

Julka nie zamknęła drzwi od środka, ale Kranz nie chciała zaczynać powitania od wymówek.

– No hej.

Były jednak i powody do radości. Jej córka siedziała przy stole ubrana, wykąpana, zdecydowanie przytomna. I w niezłym nastroju.

– Ziemniaki obrałam. I gotuję. Pokroiłam pomidory. Mamy też jajka, więc obiad gotowy. Bo ognisko to pewnie na razie nie...?

– Julka, słuchaj...

– Wiem, wiem.

– Trochę wiesz. Sprawa się rozciąga, tak to ujmę. Są kwestie z przeszłości, podobne sprawy. I obecne, które są jak niepasujące kawałki układanki. To naprawdę trudne. I naprawdę zajmuje czas i głowę.

– Mamo, zrozumiałam.

– Jest mi z tym średnio. To znaczy z tym, że masz wakacje i powinnaś odpocząć. Ten rok był trudny, z różnych powodów. Przydałby ci się solidny reset.

– Tobie też.

– Bez szans, Julka. Te wakacje są dla mnie stracone, ale ty możesz dokądś pojechać. Pomyślałam, że może do babci. Co ty na to?

– A rozmawiałaś z nią?

– Wstępnie się zgodziła.

– Wstępnie?

Kranz westchnęła.

– Później już nie dzwoniłam. Nie składało się.

– Mamo...

– Jeśli wiesz, to po co pytasz?

– Rzecz w tym, że niewiele wiem.

– Babcia nie była matką czule obecną w moim życiu. Nie ma między nami silnej więzi, takiej, jaka łączy nas. – Popatrzyła na córkę. – Ale nie ma też nienawiści. Jest... tyle, ile może być.

Julka milczała. Ta cisza była potwierdzeniem ich bliskiej relacji. Co jednak nie znaczyło, że nie będzie mówiła tego, co myśli.

– Babcia widzi to inaczej – odezwała się po chwili. – Że wydziwiasz, bo nic złego się nie działo i nikt cię nie krzywdził.

– Julka... – Sonia musiała zaprzeczyć. Jeśliby tego nie zrobiła, wersja matki byłaby jedyną obowiązującą. Jak przez całe życie. – Ja nie twierdzę, że ktoś mnie bił albo się nade mną znęcał. Krzywdzić można na różne sposoby, też słowami albo różnymi zaniechaniami. Dziecko musi czuć, że jest ważne. I że jest wystarczające. Dla babci to jakiś kosmos. Chyba naprawdę nie rozumie. I zawsze się broni, choć ja jej nie atakuję, tylko próbuję... – Machnęła ręką.

– Kiedy zjawię się w Kołobrzegu, odpali tę swoją płytę. I jeszcze zacznie o tacie. Że nie potrafiłaś... No wiesz. Ja tak nie myślę, a będę musiała tego słuchać. Jeśli kiedyś będę miała córkę, też będzie musiała tego słuchać. Babci nie da się zmienić.

– Babcia cię kocha. Tak po swojemu – powiedziała Kranz, stoczywszy ze sobą walkę.

„Kochanie po swojemu” było tak naprawdę jakimś koszmarnym zwrotem, niby to usprawiedliwiającym, bo przecież miłość bierze w nawias różne podłości albo świrstwa. No, nie bierze.

Julka wzruszyła ramionami.

– Może. Ciebie też, tak kiedyś powiedziała.

– Próbuję to przyswoić, ale na razie nie mam na to przestrzeni.

– To zwrot z terapii?

Sonia pokiwała głową. Lubiła go. W bardzo kulturalny i ładny sposób przekazywał różne rzeczy – że ma w dupie, że już jej się nie chce, że nie ma ochoty i nie będzie. I że do tego wszystkiego ma prawo.

– Dobra, dawaj te jajka – rzuciła. – Usmażę, zjemy i zawinę się z powrotem do pracy.

– Na długo?

– Nie wiem, zależy. I jeszcze mam sprawę w Sokołowsku, więc...

– W Sokołowsku? To może byś mnie podrzuciła, a potem zabrała?

– Stamtąd? A co ty tam chcesz robić? Chyba nie chcesz iść tam, gdzie... – Spojrzała na córkę.

– Nie, no co ty. Zupełnie nie.

– Chciałabym, żebyś się trzymała od tej sprawy jak najdalej. Z różnych powodów. Od razu ci powiem, że mama Zuzi pytała, czy mogłaby z tobą porozmawiać.

– I co jej powiedziałaś? – Julka wyglądała na zaniepokojoną.

– Że nie teraz. Że potrzeba czasu. Że wszyscy go potrzebujemy.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Mnie jest jej bardzo żal. Ona kochała Zuzię i to normalne, przecież to jej córka, tak zawsze jest. No, prawie zawsze.

Sonia nie zapytała, kogo dotyczy to ewentualne wyłączenie. Nie miała siły na grzebanie sobie w duszy. To straszliwie osłabiało – pamiętała ten stan z sesji, a ona musiała być teraz w dobrej formie.

– Ale tam u nich to chyba wyglądało tak, że Zuzia była dla mamy... zbyt ważna. W tym sensie, że ona, to znaczy mama, nie ma nic innego, nikogo innego tak ważnego w życiu. Więc teraz jest pewnie strasznie samotna.

– Słuchaj, Julka, ja wiem, że już cię o to pytałam, ale muszę jeszcze raz. Czy z tego, co ci Zuzia powiedziała, mogło wynikać, że ojciec zrobił jej coś złego?

Coś złego. Przecież nie o to chciała zapytać.

– Czy mógł ją molestować? To znaczy dotykać, obmacywać, zmuszać do seksu?
– doprecyzowała.

– Mamo, powiedziałam ci wszystko, naprawdę. Więcej nie wiem. – Rozłożyła bezradnie ręce. – A robił to...? – zapytała po chwili cicho.

– Julka...

– Okej, wiem, wiem, wymiana informacji działa w jedną stronę. Tylko że jak teraz o nim myślę, od razu przychodzi mi to do głowy. I nie wiem, czy tak było, ale już tak myślę. A przecież to jej ojciec. I wtedy od razu zaczynam myśleć o... – Głos jej się załamał.

– Ale chyba twój...

– Nie, nie, no co ty. – Julka gwałtownie zaprzeczyła. – Tata mnie okłamał, ale takich rzeczy to on nigdy. Zresztą jest bardzo szczęśliwy z Kingą, jak na nią patrzy, to... – Urwała.

Zabolało. Już chyba nie chodziło o to, że jej jeszcze mąż patrzy tak na inną kobietę, tylko o to, że na nią nikt tak nie patrzy. Że dla nikogo nie jest tak atrakcyjna. Mimo całej tej niezależności, jaką od dawna budowała, takie spojrzenia mocno na nią działały. To była biologia, impuls, nad którym się nie panowało. Pojawiał się, kiedy zdarzała się zgodność feromonów, sygnały z ciała. Z obu ciał. A potem mógł się zmienić w fantastyczny seks, który wyrzucał poza orbitę świadomości. Jeszcze to pamiętała, choć coraz mgliściej. Kiedy ostatni raz tak naprawdę...? A później podobny impuls dopadł ją tu, w Sokołowsku, kiedy spotkała Dębskiego. Beznadziejna sprawa, bo facet słaby. Dlaczego brakowało jej instynktu, dlaczego nie potrafiła wyczuć takich sytuacji? Czy ona w ogóle miała intuicję?

– Przepraszam, nie chciałam – mruknęła Julka.

– Okej. Mówisz, jak jest. Przecież sama cię nauczyłam, żeby zawsze mówić prawdę. No dobra, to ja się zbieram.

– A podrzucisz mnie do Sokołowska?

– Teraz?

– Tak.

– Tyle że nie wiem, kiedy będę wracała. Co ty tam będziesz robiła tyle czasu?

– Spotkanie będzie, warsztaty.

– Jakie?

– Plastyczne. W wakacje organizują różne takie rzeczy. Fundacja Różowe Słone. Dużo robią dla młodszych dzieci, bo tam jest świetlica, ale też dla starszych, znaczy dla młodzieży.

– I ciebie to interesuje?

– No. Recykling i lepienie z gliny. Pamiętasz, chciałam chodzić we Wrocławiu, ale nie starczało czasu. Zresztą, co lepszego mam do roboty?

Sonia poczuła się winna. Były wakacje, a ona nie popisała się z ofertą odpoczynku dla Julki. A jej ojciec?, ta myśl pomagała, choć tylko trochę.

– Dobra, to chodź. Ale potem będziesz musiała na mnie poczekać. I pamiętaj, nie idź na miejsce, gdzie Zuzia... Na miejsce zbrodni. I w ogóle nie chodź w miejsca odludne, gdzie mogłabyś...

– Spotkać dzikie psy. – Julka się uśmiechnęła. – Mamo, ja już nie jestem dzieckiem.

Dla mnie zawsze będziesz, pomyślała Kranz.

– Dziesięć lat temu. – Sierżant Majkowski wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

– Co dziesięć lat? – Kranz przeglądała notatki, szukając numeru telefonu do Dębskiego.

Z jednej strony wcale nie chciała go uprzedzać, że się u niego zjawi, bo wolała go zaskoczyć, ale z drugiej – chciała odbyć tę rozmowę już dzisiaj. I jeszcze musiała to jakoś połączyć z odbiorem Julki. Te warsztaty mają trwać trzy godziny. Spokojnie obrobi tu papiery, a potem...

– Rybak obciął sobie palec dziesięć lat temu. A kiedy tamten... – Sierżant nie dokończył. Nie musiał. Mina komisarz Kranz była odpowiedzią. – No, to jest coś. To jest coś. – Wstał i usiadł.

– To może być coś – poprawiła go Sonia. – Kiedy dokładnie? Tamten gwałt wydarzył się... – Chciała sprawdzić w notatkach, ale przypomniała sobie, że Jolanta

Budzyńska mówiła o upale i krótkiej sukience. Sierpień. To było w sierpniu.

– Kurde, tak dokładnie to nie wiem. Zadzwoiłem do Mirka, on powiedział, że zobaczy, co da się zrobić, bo przecież nie będzie tego szukał po szpitalach, tylko zasięgnie języka. Oddzwonił chwilę przed twoim przyjściem. Akurat mu się Krystecki nawinał, bo on oprócz tego swojego zakładu ma sklep metalowy niedaleko komendy. Minęli się gdzieś na ulicy. Szczęśliwy traf. To znaczy dla Rybaka mało szczęśliwy.

– Tamten gwałt miał miejsce w sierpniu. To bardzo ważne, bo albo Rybaka wykluczy z tamtej sprawy, albo go obciąży. I kto wie czy nie ma związku z Zuzią.

– A tamta sprawa, za którą siedział? Co to było?

– Napaść w parku, siedem lat temu – wyjaśniła Sonia. – Kobieta wracała z nocnej zmiany w piekarni. Nie doszło do gwałtu, ale podarł jej spódnicę, szarpali się, obmacywał ją.

– Ktoś mu przeszkodził?

– Nie. Kobiecie udało się uciec. Pewnie dlatego, że był po alkoholu. Procenty rozzuchwalają, ale utrudniają wykonanie.

– A gdzie to było? W Kłodzku?

– Nie, w Wałbrzychu. Wtedy tam mieszkał.

– Okej. No dobra, to zadzwonię jeszcze raz do Mirka – powiedział Majkowski. – Tylko wiesz, ten Krystecki to Rybaka hołubi. Zacznie się zastanawiać, pewnie coś mu powie... Tu trzeba inaczej, tak, żeby nie wzbudzić podejrzeń, ale Mirek sobie poradzi. Raz, że jest bystry, a dwa, że on tam już osiadł, zna ludzi. On w ogóle zna wiele osób. Jest bardzo towarzyski. Kontaktowy.

Kontaktowy. Kranz spojrzała na sierżanta. Dopiero teraz usłyszała w jego głosie tę nutę. Czyżby...?

Jacek Majkowski lekko się uśmiechał, ale w jego przypadku to nic nadzwyczajnego. Ten chłopak tak patrzył na świat. Ranik zwykle zachowywał czujność – wciąż musiał kontrolować sytuację, żeby nie dać się zaskoczyć, pilnował formy. Właściwie istniało dwóch Raników: jeden zawodowy i jeden prywatny. Ten pierwszy chciał być lepszy od tego drugiego. A Majkowski zawsze był sobą i miał w sobie pewien miły dla otoczenia luz, choć trudno uwierzyć, że życie nigdy mu nie dokopało – przecież sama widziała tych dwóch gości. „Ładniutki”. Pewnie gdy był

młodszy, inni się tak nie certolili. Tak, życie na pewno nieraz mu dokopało, no ale matka na pewno tego nie zrobiła. Może to wystarczy?

– Okej, to zajmij się tym, ja odpajkuję papiery.

Policjant pokiwał głową.

– A, poczekaj, bo z tego wszystkiego bym zapomniał. Dzwonił Kwiatkowski.

– Tu, na posterunek?

– Bo podobno masz telefon wyłączony.

– Nie mam. – Sięgnęła po aparat. Ekran się odpalił. Zdjęcie robione na łąkach nad Unisławiem. Zastąpiła nim Chorwację sprzed trzech lat. Tamten obrazek był widokiem z okna ich wakacyjnej sypialni: bardzo ładny, wręcz nierzeczywisty. Tak wtedy pomyślała. Słusznie, jak się okazało. W jej życiu było sporo ułudy. – I zero śladu po połączeniu. W domu mam słaby zasięg, czasem jak dzwonię do Julki, włącza się komunikat, że abonent poza zasięgiem albo wyłączył telefon.

– Tak mu powiedziałem. I że oddzwonisz.

Kiwnęła głową. Jasne, że oddzwoni. Od razu wybrała numer Kwiatkowskiego.

– No cześć. Dzwoniłem, żeby zapytać, jak ci idzie.

– Nieźle. Mam kilka rozpoczętych wątków pobocznych. Rokujących.

– A potwierdzenie, że na tych papierosach są ślady Rudy, już oficjalnie dostałaś?

– Nie, jeszcze nie.

– Ale dostaniesz.

– Tak.

Mitaj już jej o tym powiedziała. Oboje ją wyprzedzali, oboje – albo tylko Kwiatkowski, cholera wie, jakimi kanałami to szło – trzymali rękę na pulsie. I chcieli wpływać na ten puls.

– Słuchaj, Sonia... No patrz, ty masz takie imię, że brzmi, jakbym zdrabniał, a nie zdrabniam, bo sytuacja jest z tych grubszych. Rozmawiałem z Mitaj. Właściwie przychyła się do tego, żeby działać z tym, co mamy. W toku może się okazać, że on opowie więcej, może zdradzi, kto tam jeszcze w tym palce maczał. Bo zgoda, on sam by tego tak nie przeprowadził. I dwa, że na papierosach są ślady jeszcze kogoś, kogo nie ma w naszej bazie. To ci od razu powiem, bo akurat wiem.

Akurat.

– Więc trzeba za tym iść.

– Tak.

– Dobra, to działaj, nie rozdrabniaj się. A, poczekaj, jeszcze jedno. Ten nauczyciel, jak mu było?

– Dębski.

– Właśnie. Sprawdziłaś, co z nim?

– Wstępnie. To znaczy mam informację o tym, dlaczego się wyniósł z Krakowa.

– Śmierdząca sprawa, sam ci mówiłem. A co dokładnie śmierdziało?

– Dokładniej to będę wiedziała dziś, ale... – zawahała się – niewłaściwe relacje z jedną z uczennic. Tyle wiem.

– Niewłaściwe znaczy co? Stukał ją po lekcjach?

Tak, Kwiatkowski nie poddawał się prądowi zmian feministycznych, które – nie z powodu gremialnej zmiany poglądów w policji, ale dlatego, że siła nacisku opinii publicznej jednak rosła – docierały nawet do służb.

– Wiem niewiele. Podobno występował z niemoralnymi propozycjami w stosunku do jednej z uczennic. Nie doszło do seksu, ani dobrowolnego, ani wymuszonego, ale była skarga i odszedł ze szkoły. Bez wpisu w papiery.

– Umie się ustawić. Tym bardziej go sprawdź. Czekam na wyniki.

Nadkomisarz Kwiatkowski się rozłączył.

Papierosy. Dębski mówił, że nie pali. Różne rzeczy mówił, ale tu akurat chyba nie kłamał. A w innych sprawach?

Zaczęła przekładać papiery na biurku. Uspokajało ją to, świetnie znała ten mechanizm. Owszem, organicznie nie znosiła brudu, nie lubiła, kiedy coś się lepilo, kleiło czy było zakurzone. Ale czyste a poukładane to dwie odrębne kwestie. U niej obie musiały być zaliczone.

Odhaczyła formalności, a potem wzięła kolejną kartkę z notesu. Na środku napisała „Zuzia”. Od niej zrobiła kilka strzałek. Pierwsza szła do Rudy. Trzy do niewyjaśnionych spraw gwałtu, następna do Rybaka. Zawahała się, ale przy kolejnej napisała „Korczab”. I jeszcze jedna, gdzie wpisze...

Telefon piknął. Julka wysłała jej wiadomość przez Messenger.

Weszła w aplikację. To były zdjęcia, właśnie się ładowały. Na pierwszym zobaczyła pracownię, przynajmniej tak jej się wydawało. Kolorowe ściany, sztaluga, blaty zastawione ceramiką, jakieś dziwaczne prace o mocnym zacięciu artystycz-

nym. Nawet klimatyczne, choć nigdy jej do czegoś takiego nie ciągnęło. Na drugim zbliżenie na misę. Tak, to chyba była miska. Duża, ceramiczna, w kolorze ładnego beżu. Niby prosta, a miała oryginalnie wykończone brzegi – zawinięte jak ciasto w rogalach.

Na trzecim zdjęciu ujrzała dłonie, które nadawały glinie jakiś kształt. Ładne, zgrabne. Kranz była wyczulona na tę część ciała u mężczyzn. Rzadko jej się podobały, a te były w jej typie.

Doszło kolejne zdjęcie. Też dłonie, ale mniejsze. Bo już nie o same ręce chodziło, lecz o osobę, do której należały. Ujęcie z profilu: mężczyzna lekko pochylony nad stołem. Chyba nie wiedział, że jest fotografowany. Był skupiony na glinie. Wpatrywał się w nią z taką miną, jakby dotykał kobiecego ciała.

Piotr Dębski.

Rozdział 11

Mógł już wyjść. Pójść do mieszkania albo do tego remontowanego domu. Albo cholera wie, dokąd jeszcze. I co zrobić.

Ale nie zadzwoniła. Nie mogła od razu, kiedy dostała zdjęcia, bo Julka pewnie była obok. Czy on wie, że ona jest jej córką? Czy wiedział, gdy pytała go o spotkanie z dziewczyną w górach? Wtedy wołała, żeby nie miał pojęcia o łączących je relacjach, ale teraz... Chybaby się powstrzymał, nawet jeżeli... A może on tak sobie z nią pogrywał? Co z tym facetem było nie tak?

Zacisnęła dłonie na kierownicy.

Dlaczego nie zapytała Julki o te zajęcia? Dlaczego nie chciała wiedzieć więcej? Julka pokazała jej plakat i Sonia uznała, że już, okej. No bo jakie zagrożenie czyha na dziecko w Różowych Słoniach?

Napisała do córki krótko: „Czekaj na mnie o 16.00 w kawiarni. Punktualnie”. To ostatnie dużymi literami. Dostawiła buźkę, ale wcale nie chciało jej się uśmiechać.

– Kurwa.

Spuściła z siebie trochę napięcia. Od kilku miesięcy wszystko, co jej się zawodowo przytrafiało, trzymała w sobie. Dawniej opowiadała o robocie Krzyškowi. Tyle, ile mogła. Wystarczało, żeby nie kumulować stresu. A teraz? Magda była od spraw osobistych, zresztą kompletnie nie znała realiów pracy w policji – to tak jakby Kranz próbowała miłośniczce filharmonii opowiedzieć o sylwestrze pod Tatrami. Matka...

– Kurwa.

Była samotna. Niby do tego przywykła, już od dzieciństwa, i nauczyła się dużej samodzielności, ale czasem jej to doskwierało. Człowiek nie jest stworzony do życia w pojedynkę. Nie chodzi o mus wynikający z lęku o materialną stronę życia, tu sobie dawała radę. Różnie, w końcu to budżetówka, ale nie musiała na nikim wisieć, na nikogo liczyć.

Skręciła w prawo i przyspieszyła. Droga lekko się pięła. Naprawdę piękne tereny. Spokój i cisza.

Tak myślała, kiedy przyjechała tu pierwszy raz. Gdzieś w tył głowy zepchnęła świadomość, że to nie do końca prawda, bo przecież przez tę ziemię przewaliło się dużo smutku. To, co widziała dokoła, miało ponurą historię. Czuć było niedopasowanie: ci, którzy żyli tu teraz, nie pochodzili stąd. Los ich tu rzucił wbrew ich woli. Jak w zaaranżowanym małżeństwie – rozsądek musi zwyciężyć, ale emocji to przecież nie usypia.

Dębskiego też tu rzuciło, tyle że on sam zapracował na swój los.

Minęła neogotyckie sanatorium i lekko zwolniła. Tu już zaczynało się centrum, tu ludzie chodzili, jak chcieli, zwłaszcza że pogoda sprzyjała leżakowaniu i picciu wina albo piwa. W końcu były wakacje.

Zaparkowała w miejscu, gdzie wysadziła Julkę. Obejrzała się – córki ani śladu. Była czwarta dziesiątka. „Czekasz?”, napisała SMS. „Tak”. „To zamów sobie pizzę, ja dojadę. Całuję”. To „całuję” było ważne. Jej matka nigdy tego nie napisała, a robiła tylko wtedy, gdy trafiła się okazja w postaci imienin albo urodzin. „Okej”. I serduszko.

Wysiadła z auta i weszła do środka.

Było tu bardzo różowo. Skojarzyło jej się z Barbie, a potem z jakimiś buduarowymi klimatami. No ale jakiego koloru mogła się spodziewać w Różowych Słoniach?

– Dzień dobry – rzuciła w pustą przestrzeń.

A jednak nie była pusta.

– Dzień dobry.

Piotr Dębski wyszedł z bocznego pomieszczenia. W rękach miał jakąś szmatę, coś nią wycierał. Pędzle. Wyglądał miło. I przystojnie, nawet w tym poplamionym farbami fartuchu.

– O, pani komisarz. Zajęcia skończyły się przed dwudziestoma minutami, ale będą kolejne. Zapraszam.

Wyglądał tak, jakby mówił serio. Oczywiście, że była w tym samcza nuta, ale raczej zwyczajna, jak między dwojgiem dorosłych. Wstęp do podrywu, gdzie panuje obustronna dowolność.

– A te dzisiejsze udane? Dużo uczestników? Uczestniczek raczej?

– Jedna.

Kranz się spięła. Czy Julka naprawdę była jedyną chętną? Spędziła z nim sam na sam trzy godziny? Dłonie jej się spociły.

– Myśleliśmy, że skoro wakacje, to więcej osób się zainteresuje, ale nie. Może ludzie wyjechali, a może mają coś lepszego do roboty. Niestety, teraz młodzi układają kontakty w sieci nad te prawdziwe. A przecież nic nie zastąpi rozmowy, spojrzenia, dotyku...

Mdliło ją. W innej sytuacji pozwoliłaby temu dreszczowi, który pełzał po jej ciele, zmienić się w przyjemną kulę ciepła, ale teraz przybrał postać nieprzyjemnych skurczów.

– I co pan robił podczas tych zajęć? – zapytała, zaciskając w pięść schowaną do kieszeni dłoń.

– Przepraszam, ale czemu właściwie mają służyć te pytania? Oczywiście, jest mi miło, jak zawsze, kiedy rozmawiamy, ale...

– Dlaczego pan tu przyjechał? – przerwała mu.

– Cóż, jestem wolnym człowiekiem w wolnym kraju. No, to ostatnie akurat...

– Lubi pan towarzystwo młodych dziewczyn?

– Stare chyba nie mogą być z definicji.

Uśmiechał się. Nie do wiary, ale on naprawdę się uśmiechał. Trochę jak Ruda na posterunku. Jak psychopata albo ktoś przesunięty w rzeczywistości.

– Nie będziemy rozmawiali o słowniku języka polskiego, tylko o tym, dlaczego wyrzucono pana z pracy w liceum. – Ile ją kosztowało, żeby nie wybuchnąć. Twarda szkoła matki przydawała się w takich momentach.

– Aha. – Zastygł. Wciąż się uśmiechał, choć już inaczej. W końcu podszedł do parapetu i wstawił pędzle do dużego słoja. Przez chwilę stał plecami do niej, ale się obrócił. – Odszedłem sam. Owszem, sugestie były silne, ale finalnie właśnie taką formę miało ustanie naszej współpracy.

– A nim ta współpraca ustała, jak układały się pana... stosunki z uczniami? I z uczennicami?

Przestał się uśmiechać. To znaczy jego usta już się nie układały w łódkę, ale w oczach wciąż było coś takiego, czego w obecnej sytuacji być nie powinno. Pogoda ducha? Spokój? Pewność siebie? Całkiem przytomne, nieudawane.

– Niech pani zapyta wprost.

– Zapytałam wprost.

– Nie, wprost to by było: Co pan zrobił tej uczennicy?

– Zatem: Co pan zrobił tej uczennicy?

W jego głosie i postawie nie było już uśmiechu ani spokoju ducha.

– Nic. Absolutnie nic.

– Jasne. I ja mam w to uwierzyć?

– Daleki jestem od tego, żeby mówić ludziom, w co mają wierzyć.

– Molestował ją pan? Składał niemoralne propozycje? Wykorzystał swoją pozycję? – Zignorowała tę jego stoicką gadkę. W innej sytuacji może, może jakoś by na nią podziałała, ale teraz nie. Teraz Kranz była policjantką i matką córki. I nie mogła inaczej potraktować takich facetów jak Dębski.

– Nie, absolutnie nie – odparł spokojnie. – Zresztą nie była moją uczennicą. Prowadziłem kółko, kółko filozoficzne. Żadnego przymusu chodzenia, absolutna dowolność.

– I to pana usprawiedliwia? W takiej sytuacji facet może zapomnieć, że jest pedagogiem, i robić, co chce?

– Omawialiśmy Kanta. „Dwie rzeczy napełniają umysł coraz to nowym i wzmagającym się podziwem i czcią, im częściej i trwalej nad nimi się zastanawiamy: niebo gwiazdziste nade mną i prawo moralne we mnie”^[1]. Co do Boga, to wątpię, ale prawo moralne mocno tu siedzi. – Dotknął dłonią klatki piersiowej, jak przy rachunku sumienia.

– I dlatego przyjął pan ugodę ze strony dyrekcji? Pan jest naprawdę bardzo szlachetny. Bardzo – zakpiła.

– Nie, nie jestem. Zdarza mi się. Zdarza się też, a właściwie zdarzało, że zachowałem się słabo. Megasłabo, jak mówi młodzież. Jak niedorosły facet, który myśli tylko o swoich przyjemnościach. Kiedyś używało się określenia skurwysyn, ale to krzywdzące dla matek. Często ich na takich wychowywały, ale przecież same w takich układach rosły. Więc nie, to złe słowo. Chuj jest dobre. Proste i z adekwatnym pochodzeniem.

W co on sobie z nią pogrywał? Patrzył już normalnie, mówił też normalnie. Była spięta, bo powinna zachować czujność. Praca w policji każe o kilka punktów obniżyć próg zaufania. W tym przypadku Kranz zjechała jeszcze bardziej.

– Poznałem pewną kobietę – ciągnął Dębski. – W kawiarni na rynku. Przysiadłem się, ale ona pozwoliła, zachęciła nawet. Pełna dobrowolność, i tam, i potem w moim łóżku też. Raz, drugi, trzeci. Miło, do czasu, kiedy przypadkiem jej mąż zobaczył, jak ode mnie wychodzi. Powstał zatem plan, bez mojego udziału, że ona odejdzie od męża. Do mnie. Nie miałem takiego pomysłu na życie. To była przyjemna, niezobowiązująca znajomość, a nie wstęp do „żyli długo i szczęśliwie”. Awantury, łzy, dużo nerwów. W końcu przestała dzwonić, nie wysyłała już wiadomości. W tym samym czasie pojawiła się na kółku nowa dziewczyna. Ładna, bardzo ładna. Uśmiechała się, zagadywała, kilka razy została dłużej. Gdyby była pełnoletnia, a my nie bylibyśmy w szkole, to zachowałbym się jak...

– Jak chuj.

– Może. Nie wykluczam, ale te dwa warunki występowały, nic więc się nie wydarzyło. Nic z tego porządku. Nic, naprawdę nic. A jednak przyszła pani dyrektor i powiedziała o skardze. Tej uczennicy. Że ją nagabywałem, że robiłem uwagi, kazałem zostać po zajęciach. Nie mogłem uwierzyć, przecież to były wymysły. Sytuacja jak u Kafki bez mała. Ona, ta Klara, nawet na mnie nie spojrzała. Przyszła jej matka, twardo stała przy tej wersji. Absurd, ale to było słowo przeciw słowu. Próbowałem walczyć, tyle że nie doszedłem jeszcze do siebie po tamtej historii. I co się okazało? Jakiś miesiąc później, kiedy wieczorem wracałem do domu, zobaczyłem je: tę matkę i moją niedawną kochankę. Szły z naprzeciwka, w stanie wskazującym na co najmniej jedną butelkę wina. Nic nie mówiłem. To ona, niedawna ukochana, powiedziała: „Widzisz, jest sprawiedliwość”.

– I pan tak po prostu odpuścił. Poddał się bez słowa. Stracił pracę i dobre imię – kpiła wciąż, choć może z trochę mniejszym zapałem.

– W sumie tak – odparł. – I może dlatego, że miałem za sobą różne burzliwe historie. I tak, nie zawsze byłem empatyczny, zdecydowanie częściej egoistyczny, choć nigdy na siłę. Uznałem, że dopadła mnie karma, taka za życia. Poza tym oczyścić imię jest trudno. Jak coś się do człowieka przyczepi, to już zostaje. Znajomy powiedział, że może mi udostępnić swoje wakacyjne mieszkanie. Zdecydowałem się, ale z myślą, że pojedę potem do jakiegoś dużego miasta, do Wrocławia na przykład i wrócę do dawnego życia. Nie wróciłem, tak mnie tu coś schwyciło. Spokój, cisza. Kilka spraw przewartościowałem. Mieszkam tu czwarty rok i zostanę pewnie do końca.

Święty pustelnik, przeleciało Kranz przez głowę. Była zła, wciąż. Uprzedzona, wciąż. Niepewna – trochę.

– Nie mam nic wspólnego z tą sprawą – dodał Dębski. – Nic a nic. I z tą, która się wydarzyła przy moim domu, też nie. Nie musi mi pani wierzyć, na pewno jest pani w stanie to sprawdzić.

Kranz się wahała. Próbowwała wsłuchać się w głos intuicji, ale tu go nie słyszała. W przypadku tego faceta nic nie było oczywiste. Prócz tego, że kiedy pierwszy raz go zobaczyła, coś zaiskrzyło. Poczowała to. Może to coś poważnego, a może tylko dała się złapać się na jego lep. Jak inne.

Zważywszy na jej robotę, jedno i drugie było wykluczone.

Pomyślała, że musi poprosić Iwonę o sprawdzenie wersji Dębskiego. To nie będzie łatwe, ale da sobie radę. To bardzo obrotna dziewczyna, znajdzie sposób. Póki to się nie stanie, Kranz utknie z Dębskim w miejscu.

– Czy Wojciech Ruda utrzymywał z kimś bliższe relacje? – zapytała. – Jest ktoś, kto ma na niego wpływ? Albo wie o niej coś więcej?

Zdziwił się przeskokiem na inny temat.

– Nie, raczej nie. On nie jest w stanie mieć bliższych relacji. To znaczy przywiązuje się, ale tak jak dziecko. Albo zwierzę. Jeśli ktoś jest dla niego dobry, nie krzywdzi go, to on do niego lgnie.

– Podczas włamania znaleziono w pana domu papierosy.

– Nie palę.

– Wiem. Palił je Ruda.

– Wojtek? – Dębski spojrzał na nią z niedowierzaniem. – To znaczy on pali, tak, widziałem go z papierosem w ręku, ale wtedy to nie on, on by się do mnie nie włamał.

– Skąd pan wie?

Rozłożył ręce. Znowu lekko się uśmiechnął.

– Takie rzeczy się po prostu wie. To kwestia inteligencji emocjonalnej.

Cholerny inteligent emocjonalny, pomyślała Kranz, mijając gościniec Kowalova.

To byłoby naprawdę miłe popołudnie z Julką, gdyby nie natłok myśli. Próbowwała wybadać córkę, dopytując, co robiła na zajęciach. Wyglądało na to, że faktycznie tylko lepiła misę z gliny, a dodatkowo rzeźbiła stojak na biżuterię z gałęzi. Obie rzeczy zamierzała skończyć na następnych zajęciach.

Sonia gorączkowo szukała pomysłu, jak by ją odwieść od uczestnictwa w tych warsztatach. Julka była zadowolona, odpoczęła, także psychicznie. To na plus. Na minus była cała reszta.

Co ciekawe, nawet słowem się nie zająknęła, że zna prowadzącego, że spotkała go wcześniej na szlaku. Może nie chciała wracać do tamtego dnia? A może nie chciała mówić o Dębskim, bo jej się podobał? To był czas pierwszych zauroczeń, często w starszych mężczyznach, którzy imponowali wiedzą, doświadczeniem. Bywali zastępstwem ojca – nieobecnego, niezainteresowanego.

– Tata się do ciebie odzywał? – zapytała Kranz.

– Tak.

– I...?

– I nic.

– No ale co pisał, jeśli mogę zapytać?

– Nie wiem, bo nie przeczytałam wiadomości. Nie weszłam w nie, tylko mu przesłałam printscreen od Olki. Najpierw milczał, a potem Messenger pikał, ale też nie sprawdziłam.

– To sprawy nie rozwiązuje.

– Nie. Ale to ty mówisz, że czasem trzeba dać czas czasowi. I sama przecież wiesz, że niektóre sprawy rozwiązuje się długo.

Julka była spokojna. Może nawet zbyt spokojna? Dojrzewała w przyspieszony sposób? U nastolatków to chyba normalne, takie skoki rozwojowe – fizyczne i psychiczne, a ona miała przecież powody, żeby dorastać. Sonia wszystko by zrozumiała, byle tylko córka się od niej nie odsunęła, byle wciąż chciała do niej przychodzić z różnymi sprawami. Choć za jakiś czas i to miało się zmienić – matka nie będzie już najważniejsza. W sumie to za rok, w liceum Julka zacznie mieć swoje życie, najpóźniej po maturze stąd wyfrunie, a ona zostanie sama.

Matka Zuzi już została.

Znów ta fala niepewności. Oczywiście, że takich spraw nie rozwiązuje się w trzy minuty. Życie pokazuje, że czasami przestępca umyka sprawiedliwości. W całej

puli przestępstw takich fuksiarzy było blisko trzydzieści procent, jeśli idzie o gwałty – kilkanaście. Kranz nie chciałaby podtrzymać tych statystyk.

– Jestem jakaś zmęczona. Chyba się przejadłam. – Julka dotknęła swojego płaskiego brzucha. – Położę się.

– Jasne.

Ona też sporo zjadła, ale wcale nie czuła się ospała, wręcz przeciwnie. Może to wpływ espresso, które zamówiła na koniec?

Poszła do kuchni, nalała sobie trochę wody. Usiadła przy stole, ale odbicie w lustrze ją przegoniło. Czasem, a nawet częściej niż czasem, miała nastrój na nostalgię, ale teraz ją nosiło. Teraz chciała patrzeć do przodu. Zebrała informacje z przeszłości i musiała wyłuskać z nich to, co istotne. Tymczasem ugrzęzła.

Podeszła na palcach do pokoju Julki. Delikatnie otworzyła drzwi. Jej córka leżała na łóżku i spała. Oddychała cicho i spokojnie. Sonia ściągnęła koc z obramowania i przykryła ją. Tak, nawet w lecie było tu chłodnawo. Te tereny nie rozpieszczwały. Zimny chów.

Wycofała się. Postanowiła, że pójdzie na spacer. Ruch zawsze dobrze jej robił, pomagał uporządkować myśli. Poza tym ostatnio się zasiedziała, albo jeździła autem, albo tkwiła przy biurku.

Zamknęła drzwi na klucz. Wcześniej sprawdziła, czy na półce przy wyjściu leży drugi komplet kluczy. Leżał. Aż dziwne, bo Julka ciągle wszystko gubiła, jakby do niej nie docierało, że pewne sprawy są ważne. Że rzeczywistość wymaga skupienia, wyrzeczeń, uważności. Że taki trening zaczęty już w dzieciństwie i młodości zapoczątkuje w dorosłym życiu.

Aż przystanąła. Ona siebie tak katowała. Trzy razy sprawdzała, czy na pewno przekręciła klucz w zamku. Czy legitymacja szkolna jest w odpowiedniej przegródce w plecaku. Czy nie minął termin oddania książki do biblioteki. Czy wyłączyła kuchenkę. Żeby nie stało się nieszczęście. Żeby mama – wtedy jeszcze mówiła i myślała „mama” – była zadowolona.

Naprawdę chciała w to samo wepchnąć Julkę? A może – i to była okropna myśl – uważała, że skoro sama miała taką tresurę, to dlaczego Julka miałaby jej uniknąć? Nie, to nieprawda.

Choć kilka razy przyszła do niej taka myśl o nierównowadze pokoleniowej.

Ale przecież Julka i tak miała słabo, bo oni z Krzyśkiem się rozwodzili. Rozbity dom, dzielenie opieki...

Gdyby jej matka rozwiodła się z ojcem, bo miałyby już dość udawania, że wszystko gra, albo on zdecydowałby się odejść, bo nie da się dzielić życia na dwa domy i morze, to... byłoby lepiej. Najpierw smutno, źle, ale potem wreszcie wkroczyłaby prawda. Atmosfera by się oczyściła, nie trzeba by było udawać. Może nawet matka ułożyłaby sobie życie?

Przyspieszyła. Szła w tym samym kierunku, który wybrała Julka, żeby zwiać. Na jakiś czas odciąć się od spraw dorosłych, którzy wcale nie zachowywali się dorośle.

Doszła do ścieżki, która ostro pięła się po zielonym zboczu. Trawy były poprzytykane kolorowymi plamami kwiatów. Tu, gdzie stała, panował półmrok, na plecach czuła wilgotny chłód strumienia. Naszła ją ochota, żeby pójść w słońce, jasność, rozgrzać się. Trochę zmachać, ale...

Dzwonek telefonu zatrzymał ją w pół kroku.

– Halo? – Gdzieś tam był Jacek Majkowski i coś do niej mówił, ale poza „cześć” nie słyszała nic, tylko trzaski.

Rozłączyła się i próbowała oddzwonić, lecz aparat po kilkunastu sekundach wybierania numeru poddał się i ją rozłączył. Telefon pokazywał zero zasięgu. Zawahała się. Jeśli to byłoby coś ważnego, sierżant próbowałby się do niej dobić. Zresztą może trochę wyżej złapie sieć? Albo za godzinę, maksymalnie dwie, kiedy wróci, podjedzie kawałek autem na szosę i pogadają.

Ostro ruszyła ku górze. W połowie miała już solidną zadyszkę. I telefon znowu zadzwonił. Ponownie Majkowski, ale teraz nawet nie usłyszała pierwszego słowa. Łapała oddech i wpatrywała się w ekran. Może jednak zejdzie? Bo już nie masz siły, flaku, powiedziała do siebie. Na ekranie pojawiła się ikona wiadomości. Kliknęła w nią. Ekran się rozbielił i mrugał jak zepsuty neon, który próbuje wyświetlić napis. Uniosła go wyżej, postukała w szkło, jakby to mogło pomóc.

A jednak.

„Rybak nie ma palca od 13 sierpnia 2013 roku. W tamten piątek wyszedł wcześniej z roboty, mówił, że do lekarza, ale do niego nie dotarł”.

Rozdział 12

– Trzynastego sierpnia – powiedziała do telefonu.

Zawróciła z trasy, szybkim tempem, bo słońce schowało się za górę i nagle zrobiło się kilka stopni chłodniej. Doszła do domu w kilkanaście minut. Julka wciąż spała jak zabita. Kranz wzdrygnęła się na to porównanie. Nie razi, póki kogoś nie dotknie osobista tragedia. Zostawiła na stole w kuchni kartkę, że pojechała do Mieroszowa, do pracy. Dwa razy – jak dawniej, kiedy dopadały ją różne lęki – sprawdziła, czy na pewno dobrze zamknęła drzwi, i wsiadła do auta. Tym razem zaparkowała na placu przed posterunkiem. Spieszyła się, żeby sprawdzić dokładną datę napadnięcia na Jolę Budzyńską.

I już ją знаła.

– Tak, trzynastego sierpnia. – W tle słychać było hałas. Majkowski musiał stać przy ruchliwej ulicy.

– Nie, to ja ci mówię, że ją napadnięto trzynastego sierpnia. Tego samego dnia, kiedy on stracił palec.

– O.

– No. O. Czyli to nie on. Na pewno był kilka dni w szpitalu. Wtedy jeszcze zatrzymywali ludzi, nie robili wszystkiego w procedurze „pół godziny”.

– Są takie? – Sierżant się zdziwił.

– Nie ma. Znaczący nie wiem, może wszystko przed nami. To była ironia.

– Ironia. Okej.

Chyba powiedziała to zanadto zgryźliwie, ale była rozczarowana. Odkrycie Majkowskiego niczego nie wniosło do sprawy. To znaczy do tej starej. To nie mógł być Rybak. A w przypadku Zuzi? Też raczej nie. Tylko dlaczego skłamał?

– Dlaczego skłamał? – powiedziała to na głos.

– Dobre pytanie, ale nie znam odpowiedzi. A co do lekarza Rybaka, to Krystecki podał jego namiary i od niego Mirek ma datę wypadku. Oraz informację, że Rybak ostatnio do niego nie dotarł. Zresztą nie miałby po co, bo wcale nie był umówiony.

– Może wybierał się do innego?

– Tak powiedział Krystecki, tyle że nie pamięta jego nazwiska, chociaż Rybak mu mówił. Zawsze chodził do tego samego.

– No dobra, to co teraz?

– Mirek do niego zadzwonił. Że potrzebuje podpisu pod zeznaniem, że to formalność. Żeby go nie wystraszyć.

– Jasne. A, słuchaj, przy okazji. Prosiłam o sprawdzenie, czy ślady na tym niedopałku należą do Rybaka albo tego drugiego, co jest teraz w trasie. Zająłeś się tym?

– Marek się zajął.

Ranik powinien być na posterunku do osiemnastej. Kranz zjawiała się kilka minut przed szóstą i było pusto. Nawet trochę go rozumiała. Nie licząc tej sprawy, niewiele się tu działo. Pewnie zrobił swoje i poszedł do domu. Opowiadał coś o meczach, był fanem piłki nożnej. Takim prawdziwym, dla którego nie miało znaczenia, że ulubiony lokalny klub to trzecia albo czwarta liga. Dziś mieli grać, wspominał o tym.

Może zresztą nie tylko on wybierał się na tę rozgrywkę? Kiedy przyjechała, plac świecił pustkami, i to bardziej niż zazwyczaj. Jasne, że życie zamierało tu wraz z zamknięciem sklepów, czyli około piątej, nie licząc spożywczych, które działały dłużej. Raz, że czuły na plecach oddech konkurencji – przy głównej drodze była Biedronka, a dwa, że gdzieś przecież trzeba było kupować alkohol, a stan potencjalnych klientów nie pozwalał na zbyt dalekie wyprawy.

Przez chwilę siedziała przy biurku. Zastanawiała się, co robić. Była ciekawa ustaleń Majkowskiego. Jeśli wróci do domu, nie uda im się pogadać. Będzie musiała znowu wyjeżdżać, żeby złapać sygnał. To już może lepiej poczekać tu, na miejscu, a potem walnąć się do łóżka i coś obejrzeć. Julka miała wykupione platformy streamingowe – ojciec płacił i nie marudził na kolejne prośby. Teraz było ich chyba pięć, a może cztery? Kranz już przy jednym Netfliksie miała problem z wyborem. Zdarzało się, że przez pół godziny czy dłużej oglądała zwiastuny filmów albo seriali, a kiedy w końcu się na coś zdecydowała, zasypiała po niespełna kwadransie. Ciekawe, czy innym szło lepiej? Może to była sprawa osobnicza – zawsze musiała mieć poczucie, że wybrała jak najlepiej, jakby to był samochód albo mieszkanie. Jakby to decydowało o jej życiu.

Ziewnęła. Mimo wypitej kawy miała zjazd. Beza, choć wzięta na pół, to już była przesada. Uratować mogło ją teraz tylko jedno – cola. Wiedziała, że to zwodnicze,

ale nie mogła przestać o niej myśleć. Nie musiała się przed sobą tłumaczyć, miała prawo zachować się nieracjonalnie i wlać w siebie trochę cukru. Siądzie sobie gdzieś z butelką i zadzwoni do Iwony. Prośba napęczniała, to już nie była drobnostka, ale przecież nie będzie jechała do Krakowa, żeby rozpytywać o Dębskiego. Zresztą oni w policji powinni sobie wyświadczać przysługi – wszystko dla dobra spraw. I w myśl zasady: dziś ja tobie, jutro ty mnie.

Kiedy ona będzie mogła się odwdzięczyć Iwonie? Wyjechać stąd, zostawić Julkę choćby na jedną noc? Była samotną matką. Ależ smutek pobrzmiwał w tym określeniu – singielka miała wielkomiejski rytm, samotna matka – smutek popegeerowskich terenów.

Zamknęła za sobą drzwi, przeszła przez korytarz, pokonała kilka schodów i prawie się zderzyła z Marylą Korczab.

– Dzień dobry – powiedziała do niej, w tym samym momencie zdając sobie sprawę z niezamierzonego nietaktu. Jaki „dobry”? Ten, kilka poprzednich i wiele, wiele kolejnych.

– Dzień dobry – odparła tamta mechanicznie. Zatrzymała się niepewnie. – Wracam z pracy. – Odwróciła się w kierunku sklepu, który prowadziła. – Jeszcze nie otworzyłam, bo... Ja w ogóle nie wiem, jak to będzie. Czy ludzie będą przychodzili, żeby jakoś mnie pocieszyć? Może będą się bali, bo co powiedzieć matce, która straciła dziecko? A może z ciekawości, bo ja na pewno wiem więcej, niż w gazecie podali? A ja przecież niewiele wiem. Tak niewiele. Nawet nie wiem, kiedy będę mogła zabrać Zuzię. – Ramiona Maryli Korczab zaczęły drżeć.

„Zabrać Zuzię”. Kranz poczuła skurcz w sercu. To ciało w chłodni, tylko na chwilę wstrzymującej rozkład tkanek, dla Maryli Korczab wciąż było Zuzią – jakby mogła wstać i dalej żyć. Jezu, jak to bolało! Współczuła jej, miała w sobie dużo empatii, której nawet służba nie stępiła, ale tu dochodziła wspólnota doświadczeń – przecież Sonia też była matką i przeżyła chwile szaleńczego strachu o córkę. A gdyby te chwile miały się rozciągnąć na wieczny smutek? Którego nie miałyby nawet w drobnej części z kim dzielić, bo Krzysiek zrobił sobie nowe dziecko i jego smutek by się rozrzedził...

– Nie wiem, nie wiem... – Kobieta się naraz rozsłochała.

– Może wejdziemy na chwilę? – Komisarz spojrzała w okno posterunku. – Dam pani wody, porozmawiamy.

Nie chciała jej tu zostawiać. Zauważyła, że dwie osoby po przekątnej placu przystały i patrzyły w ich kierunku. Ciekawość trudno okiełznać, nawet jeśli nie ma się złych intencji.

Maryla Korczab dała się poprowadzić, jak marionetka.

Usiadła na krześle, wzięła do ręki podaną szklankę wody, wypła trochę. Kranz obawiała się, że będzie musiała jakoś zacząć rozmowę, ale tamta sama zaczęła mówić.

– Ja nie wiem, co robić. Co zrobić ze sobą. Mam taki sen, od kilku dni. Że budzę się wcześniej rano i wciąż jest ten sam dzień. Ta sama ja, w tym samym ubraniu, z tym samym śniadaniem. Różnica między tymi dniami polega wyłącznie na tym, że każdego kolejnego jestem coraz bardziej zmęczona. Tak bardzo, że chciałabym już nic nie musieć, nawet się obudzić. Ja bym po prostu chciała odejść. Umrzeć – wyszeptała i się przeżegnała. – A nie mogę, bo wciąż trzeba żyć. I tak się męcę, sama. Tak bardzo sama...

– A mąż? To znaczy, czy w tym śnie jest mąż? To przecież wsparcie.

Kranz nie potrafiła zdecydować, czy bardziej chciała ją pocieszyć, czy raczej przejść do tematu Grzegorza Korczaba. Wreszcie nadarzyła się okazja, a ten punkt wciąż był nieodhaczony. Podobnie jak rozkład dnia podczas delegacji do Czech, czym również miał się zająć Ranik.

– Nie ma go. W tamtej chwili go nie było i teraz też go nie ma.

– Mąż znowu wyjechał?

– Nie, nie w delegację. Normalnie, do pracy jeździ. Rano wychodzi, wraca późno. To nie jest zarzut – zastrzegła szybko. – Przecież trzeba pracować. A każdy sobie radzi z problemami tak, jak potrafi.

– Może pani też by się przydał wyjazd? Już po... pogrzebie. – Kranz zrobiła minimalną przerwę między tymi wyrazami. – Żeby zająć głowę i nogi. Żeby się ruszać, żeby wciąż...

Chciała powiedzieć „żyć”, ale to słowo byłoby nietaktem wobec nieżyćcia Zuzi.

– ...żeby wciąż być w ruchu. To pomaga, naprawdę.

– Ja bym nie mogła tak zostawić Zuzi. Przecież trzeba znicz zapalić, wodę kwiatom zmienić. Zresztą co ja bym robiła gdzieś tam? – Korczab popatrzyła na nią tak, jakby ta proponowała jej lot w kosmos. – Dla mnie wszystko się teraz skończyło. Życie się skończyło, w tym sensie, że mnie już nic nie czeka. Nic.

– Przecież pani jest wciąż młoda.

Sonia sprawdziła datę urodzenia – jej rozmówczyni miała czterdzieści sześć lat. Wiele kobiet w tym wieku całkiem od niedawna było matkami, a niektóre dopiero się zabierały do macierzyństwa. I były przekonane, że wciąż wszystko przed nimi. Może Maryla Korczab mogłaby jeszcze mieć dzieci. To z jednej strony była okropna myśl, jakby jedno miało zastąpić drugie, ale tak to wyglądało. Przecież każda pustka domaga się wypełnienia, a taka tym bardziej. Natura chciała zapełnić próżnię.

– Młoda? – odezwała się Korczab. – Nie, no skąd. Ja bym za chwilę była mamą pełnoletniej dziewczyny. Już nie da się wrócić do tego, co było. Co przeszło, to przeszło.

Kranz, zdjęta odruchem nagłej czułości, dotknęła jej dłoni. Ją samą to zdumiało, ale widok drobnej, szczupłej, z jednej strony wciąż dziewczęcej, a z drugiej – tak postarzałej kobiety dał impuls do tego odruchu. A teraz bała się zabrać dłoń, bała się poruszyć. Nie miała w sobie takiego luzu, który by pozwalał na bliskość fizyczną w południowym stylu. Dopiero dziecko ją otworzyło na taki rodzaj kontaktów. Terapeutka zasugerowała jej wzięcie psa. „Niezwykły rodzaj bliskości. Pies jest wpatrzony w opiekuna, daje ciepło, kontakt i niczego nie chce w zamian. Można się na tej relacji uczyć bliskości”. Chyba naprawdę zdecyduje się na jakąś bidę ze schroniska.

– Zresztą ja... – Kobieta podniosła na nią wzrok. – Ja już w tym nie uczestniczę.

– W czym pani nie uczestniczy? – Komisarz nie zrozumiała. Chyba musiała przegapić jakieś wcześniejsze zdanie.

– W życiu. W takim życiu, że... Mnie to nie pociąga. To już nie jest dla mnie. Rozumie pani?

Sonia nie rozumiała, niestety.

– Bycie żoną. W sensie powinności. Mażeńskich powinności.

Teraz do niej dotarło.

– Tak jakoś... – Korczab nie patrzyła na nią. – Pytałam nawet księdza. Wstyd mi było, bo to młody człowiek, taki zaraz po seminarium, ale się pogubiłam. Jestem żoną, to się wiąże z pewnymi zobowiązaniami. Poza tym ludzie, to znaczy mężczyźni, mają swoje potrzeby.

„Swoje potrzeby”. Kranz nie lubiła tego określenia. Było przyklejone do faktów. „Tata ma swoje potrzeby”, usłyszała od matki, kiedy – już będąc w szkole policyjnej – dała znać, że wie, co się kryje za wyjazdami ojca. To jedno zdanie oznaczało początek, rozwinięcie i zakończenie rozmowy na temat niewierności ojca. Nigdy już do tego nie wrócili.

Delikatnie zabrała dłoń.

– Ten fragment wspólnego życia się państwu nie układa?

Wrócili do niej obrazy, które pojawiły się podczas rozmowy z Julką. Podpity, onanizujący się Grzegorz Korczab, który zachowuje się obleśnie wobec córki. Może to jednak nie były tylko słowa?

– Och, Boże, przecież to nie jest miejsce na taką rozmowę. Zresztą to sprawy osobiste, jaki to ma związek z... – Kobieta nie dokończyła. Jej oczy się rozszerzyły. Patrzyła teraz na nią z przerażeniem. – Pani chyba nie sądzi, że... że Grzegorz by mógł... że zachowałby się niewłaściwie wobec Zuzi?

Kranz postarała się o delikatny, uspokajający uśmiech.

– Jako śledcza muszę brać pod uwagę każdą okoliczność. Każdą. I z założenia nie dowierzać, wątpić, sprawdzać. W każdej sprawie, wobec każdego.

Czy ją uspokoiła? Tylko trochę. Ciągnęła więc:

– Rozmawiamy, po prostu rozmawiamy.

Tamta wciąż milczała.

– A czy pani uważa, że taka sytuacja mogłaby mieć miejsce? – podjęła Sonia. – A może były jakieś symptomy, coś, co wzbudziło w pani niepokój?

Kobieta nerwowo splótła palce.

– Nie, nic takiego. Niczego takiego nie widziałam. I nie powiedziałam teraz, że coś takiego było. Ja tylko... To znaczy my... on, Grzegorz... mąż nie był zadowolony z tej sytuacji. Dał temu upust. Kilka razy się zezłościł, mieliśmy nieprzyjemną wymianę zdań. On w ogóle jest taki... z temperamentem. To znaczy taki był. U niego to była podstawowa potrzeba, jak dla innych jedzenie czy sen. To hormony, one są u różnych różne. Ale potem to przeszło.

Może przeszło na córkę, pomyślała komisarz.

– Tylko jakby więcej pił. Nie jest alkoholikiem, nic z tych rzeczy. Po powrocie z pracy brał na uspokojenie piwo. Czasem dwa.

Kranz była przekonana, że jej rozmówczyni zaniża tę liczbę.

– Ja sobie pomyślałam, że to ze smutku. Żeby może ukończyć to niespełnienie, te swoje potrzeby. To znaczy ja się starałam, żeby on... no, żeby czasem...

Sonia poczuła, że robi jej się duszno. W ustach miała przetrawiony posmak bezy. Przełknęła ślinę, spychając go z powrotem, po czym nalała sobie wody do szklanki.

– Ale to minęło, to znaczy Grzegorz odstąpił. Mnie się wydaje, że to już ten wiek, on jest przecież starszy ode mnie o dwadzieścia lat. Zresztą w pracy dostał nowe zadania związane z Czechami. Zaangażował się, jakby się odrodził. Zaczął bardziej o siebie dbać, w końcu to nowe wyzwania...

Maryla Korczab mówiła tak, jakby było w niej kilka głosów. Jej własny, najcichszy, najskromniejszy, i innych ludzi, których kwestie powtarzała. Pewnie coś od tego księdza, coś od męża, może jeszcze skądś. Czy był tu też głos jej córki?

A te nowe wyzwania, ożywienie, wyjazdy, czy to przypadkiem nie...

Usłyszała znajomy głos silnika. Pod posterunkiem parkował Majkowski. Nie chciała, żeby tu wchodził, bo to by oznaczało koniec rozmowy z Marylą Korczab. Dziś się trochę otworzyła, dopuściła ją do siebie, co może się już nie powtórzyć, a przecież jeszcze nie skończyły tej rozmowy.

– Przepraszam, ale zabrakło nam wody. – Wzięła do ręki pustą plastikową butelkę. – Zaraz przyniosę.

Kobieta pokiwała głową. Wyglądało, że też nie chce się stąd ruszyć. Może nie miała siły, może nie chciała iść do pustego domu. A może jednak chciała jej coś powiedzieć?

Policjantka szybko przeszła przez korytarz. Spotkała się z Majkowskim na schodach.

– W środku jest Maryla Korczab, nie możesz teraz wejść, bo rozmawiamy. – Stała na górnym stopniu, on na dolnym. Dłonią opartą o jego bark niewerbalnie potwierdziła to, co przed chwilą powiedziała.

– W porządku. – Sierżant był trochę zdziwiony jej reakcją. Do tej pory Sonia zachowywała odpowiedni dystans. Nie tylko z powodu swojego charakteru, ale też dlatego, że wolała jasno ustawić relacje.

– Szybko ci poszło – zauważyła.

– Szybko? – zdziwił się. – Jest wpół do ósmej, w sumie to pół dnia tam spędziłem. Nie do końca było sens jechać, bo ostatecznie Mirek stwierdził, że byłoby le-

piej, gdyby poszedł sam, bo więcej z tego Rybaka wycisnie w sytuacji nieoficjalnej.

Spojrzała na zegarek. Rzeczywiście, była ta godzina. Czyli siedziała tu dłużej, niż sądziła. Kto by pomyślał, że cisza trwa dłużej niż gadanina.

– Telefon mi zaraz padnie, chyba muszę już wymienić baterię, bo przestaje trzymać. Pomyślałem, że się tu podepnę i do ciebie zadzwonię. No ale skoro jesteś...

– To dawaj w skrócie, bo zaraz okienko szczerości się zamknie. – Kranz obejrzała się przez ramię, jakby się obawiała, że Maryla Korczab stoi za drzwiami i wkrótce opuści posterunek.

– Więc w drodze powrotnej Mirek do mnie zadzwonił i wszystko powiedział. W skrócie to jest tak, że Rybak ma romans.

– Nowe wyzwania, ożywienie, wyjazdy... – Pokiwała głową.

– Wyjazdy to raczej nie, bo to prawo jazdy...

– Mówię o Korczabie. Żona tak o nim powiedziała. Uważa, że praca go pochłonięła. Ale to chyba nie praca.

– Aha. No, może. Rybaka pochłonięła żona Krysteckiego.

– Przecież umarła. Żona i córka umarły.

– Nowa żona. Tamta umarła dawno, ta jest od kilku lat. Młodsza. I spiknęła się z Rybakiem. To do niej szedł w piątek. Ona ma swoją kawalerkę w Kłodzku, jeszcze sprzed małżeństwa z Krysteckim. Tam się spotykają.

Kranz pomyślała, że być może Majkowski jest jedynym facetem w okolicy, który nie zdradza kobiet. Dlatego, że jest gejem.

– Ona musi to potwierdzić.

– Już potwierdziła. Bo on poszedł na spotkanie z Mirkiem wprost z tej kawalerki. Przestraszył się, że ten powie Krysteckiemu, i od razu zadzwonił do tej babki, żeby przysłała. I ona na tym skwerku zaręczyła, że to prawda, błagając, żeby mąż się nie dowiedział.

– I...?

– No przecież nie jesteśmy policją obyczajową. Ale słabo. Tak być oszukiwanym...

– Nieprzyjemnie. – Od razu pomyślała o Krzyśku. – Dobra, reszta potem, na dziś już masz wolne. A ta woda – popatrzyła na półtoralitrowkę, którą trzymał w ręku – to nieotwarta?

– Nie, właśnie...

– Słuchaj, ja ją wezmę dla Korczab, a ty sobie kup nową, dobra?

Podał jej butelkę. Nagle tak bardzo zachciało jej się pić, że pod drzwiami odkręciła zakrętkę i łapczywie pociągnęła kilka łyków. Gaz drapał w gardło, ale nie potrafiła przestać.

Maryla Korczab wciąż siedziała przy stole. I bez znajomości historii Kranz wiedziałaby, że to osoba po dramatycznych przejściach.

– Już jestem.

– Tak. – Kobieta popatrzyła na nią. – To mogłabym jeszcze wody? Jakoś tak mi duszno...

– Oczywiście.

Weszła, trzymając butelkę za plecami, żeby się nie wydało, że przed chwilą piła z gwinta. Maryla Korczab nie zwracała jednak uwagi na takie szczegóły. Przejęła uzupełnioną szklanekę i zaczęła pić małymi łykami. Kranz pomyślała, że tej kobiecie brakuje apetytu na życie. Teraz, po tej tragedii, to zrozumiałe, ale ona była taka i wcześniej. Pytanie, czy zawsze.

– Czy mogłybyśmy jeszcze porozmawiać o relacjach między pani córką a mężem?

Kiwnięcie głową.

– Czy było w nich coś, co panią niepokoiło?

– Zuzia spędzała czas przede wszystkim ze mną. Mówiłam już, że mąż...

– Wiem. Ale wtedy, gdy był w domu.

– Nie, to była bardzo dobra dziewczyna.

A czy on był dobry?, pomyślała Sonia.

– Wie pani, przed kilkoma tygodniami czytałam raport na temat niewłaściwych relacji w rodzinie – zaczęła powoli. Bała się ją spłoszyć, przestraszyć słowem, którego nie chciałyby usłyszeć żadna matka. – To dane amerykańskie, ale pokazują skalę problemu. Mówią na przykład o tym, że dzieci bardzo często padają ofiarami przemocy. Także seksualnej.

Tamta się poruszyła.

– Jedna na siedem dziewczynek jej doświadczy, tylko co trzecia komuś o tym powie. To nie zawsze musi być kontakt fizyczny, chodzi o wszystkie sytuacje, gdy

dorośli wykorzystuje swoją przewagę nad nieletnim: mówi, pokazuje, ogląda. Dziewięćdziesiąt procent wykorzystanych dzieci zna swojego oprawcę, trzydzieści procent doświadcza przemocy od osoby z rodziny. Zwykle do sytuacji wykorzystania dochodzi w domu.

– Od kiedy mąż jeździ do Czech, przywozi... to znaczy przywoził Zuzi stamtąd słodycze. Z fabryki Orion. Ona je bardzo lubi. Lubiła. Najbardziej to takie batoniki Deli. Ciemnobrązowy szczególnie.

„Grooming jest procesem, w którym sprawca łagodnie wciąga dziecko w relację seksualną i utrzymuje ten związek w tajemnicy. Zachowania charakteryzujące grooming to między innymi dawanie prezentów, spełnianie niezaspokojonych potrzeb dziecka, stopniowe przekraczanie fizycznych granic, które stają się coraz bardziej intymne. Wykorzystywanie tajemnicy, winy i gróźb w celu utrzymania kontroli”. Kranz przypomniała sobie ten akapit z raportu.

– I jeszcze jej kupił ostatnio jakąś bransoletkę. To było naprawdę miłe, nawet Zuzia tak powiedziała. Poza tym... – kobieta wreszcie na nią spojrzała – to, co pani mówi o tym raporcie, to przecież w Stanach. Tam wszystko jest inaczej. Oni inaczej żyją. Słyszysz się o różnych historiach, rozbojach w biały dzień, strzelaninach na ulicy. Albo w szkołach, zwłaszcza w szkołach. Że ktoś się zjawia z bronią i zabija niewinne dzieci, ot tak, bez powodu. No, u nas takie rzeczy się przecież nie zdarzają.

– Pewne mechanizmy są wspólne. Nic nie chroni przed takimi zachowaniami. Ani pochodzenie, ani kraj, ani nic podobnego. Nie chroni też rodzicielstwo. Ani bycie ojcem. Zatem czy...

– Właściwie to Grzegorz nie jest ojcem Zuzi. – Na twarzy Maryli Korczab odmalowało się coś w rodzaju ulgi.

– Jak to: nie jest ojcem? – zdziwiła się Kranz. To było coś absolutnie nowego.

– Zuzia jest, to znaczy była, córką Jana. Jan był bratem Grzegorza.

– Był...?

– Nie żyje. Od kilkunastu lat.

– Dlaczego nie wspomniała pani o tym wcześniej?

– Ja nie wiedziałam, że to ważne, że to ma znaczenie. Przecież to już tyle lat upłynęło. Dopiero teraz, kiedy pani powiedziała, że ojciec też by mógł... Nie

mógłby. Jan to był najlepszy człowiek na świecie. Byliśmy małżeństwem przez trzy lata. Najcudowniejsze trzy lata w moim życiu.

– Co się stało?

– Udar. Jeden dzień, kilka chwil i już.

Udar?, zdziwiła się w duchu Sonia.

– Przecież to nie był chyba jeszcze stary człowiek?

– Jan był starszy od Grzegorza.

Kranz jakoś odruchowo pomyślała, że Maryla Korczab najpierw związała się z młodszym.

– O dziewięć lat.

Czyli trzy dychy różnicy między małżonkami, pomyślała Kranz. Dużo.

– Ja byłam w zupełnej rozpaczce. Na dni. To było tak, jakby mieć wszystko, a potem wszystko stracić. Świat mi się skończył. Gdyby nie Zuzia... To straszne, tak bardzo straszne – zaczęła się trząść – ale ja tak mocno kochałam Jana, że były momenty, kiedy myślałam, że córka nie wystarczy, żebym chciała dalej żyć... Ani córka, ani Pan Bóg, ani nikt i nic w ogóle. I teraz, kiedy Zuzi nie ma, pomyślałam, że to może jest kara za tamte moje myśli. Za moją pychę.

Jezu. Jak bardzo można się udręczyć?

– Na pewno nie. Kto by miał panią ukarać? Bóg?

Wiele o nim nie wiedziała, ale generalnie przecież Bóg jest dobrocią. Może nie ten ze Starego Testamentu, ale później był Nowy.

– Ja nie wiem – odparła cicho tamta. – Człowiekowi w smutku takie myśli do głowy przychodzą...

– Takie, żeby wyjść za brata zmarłego męża?

– To... to nie tak. Przecież kiedyś był taki zwyczaj, że wdowa szła za mąż za brata swojego męża. Żeby wszystko zostało w rodzinie. Myśmy też tak żyli. Mieszkaliśmy z rodzicami Jana, a oni już zdążyli wszystko przepisać na Grzegorza, bo Jan wcześniej się usamodzielniał, wyjechał, więc nie potrzebował. Grzegorz był młodszy, dłużej w domu, to było naturalne.

– Ale mieszkaliście z nimi. Czyli jednak starszy syn wrócił do domu?

Kranz przetarła oczy wierzchem dłoni.

– Poznałam Jana przypadkiem. Zatrzymałam się tu u ciotki, bo razem jechałyśmy na ślub do Wałbrzycha. Potem jeszcze kilka dni tam spędziłam i właśnie wtedy na rynku spotkałam Jana. On coś załatwiał w urzędzie, ja siedziałam na ławce. Podszedł do mnie i tak jakoś się potoczyło. Powiedział, że ładnie wyglądam. Wyglądałam, bo byłam prosto od fryzjera, miałam nową fryzurę. Wróciłam do swojego koloru, obciąłam włosy. I on zobaczył we mnie „naturalne piękno”, tak powiedział. To był niezwykle dobry człowiek, taki łagodny, czuły. – Oczy jej się zaszklily. – Dużo starszy ode mnie, ale w ogóle tego nie czułam. On mówił, że tyle lat żeglował, żeby mnie spotkać i przy mnie zacumować. – Znowu zaczęła szlochać.

– Zamieszkaliście z jego rodzicami i bratem?

– Nie, najpierw przez chwilę w Wałbrzychu, a potem, jak teściowa zachorowała, to z nimi. Bo Grzegorz niby był, ale zawsze pracował jako przedstawiciel handlowy i bardzo dużo jeździł, nie mógł się nią opiekować. Jan zaraz po maturze wyjechał do Szczecina, poszedł do Szkoły Morskiej. Przez wiele lat żył w tamtej części Polski, ale później znów zamieszkał na Dolnym Śląsku, żeby być bliżej.

Marynarz, pomyślała Kranz. Od razu przed oczami stanął jej ojciec. I od razu poczuła do Jana Korczaba niechęć. Choć może rzeczywiście był taki, jak Maryla o nim opowiadała?

– Jak się teściowej pogorszyło, podjęliśmy decyzję o przeprowadzce. Jan szanował rodziców, miał wpojony obowiązek. Nie wyobrażał sobie, że może być inaczej. Wyjątkowy człowiek. Taki inny od wszystkich. Od rodziny też. To znaczy to byli dobrzy ludzie, ale on i tak był o niebo lepszy.

Komisarz nie potrafiła ocenić, ile w tych słowach kryło się prawdy, a ile tęsknoty za dawnym szczęściem. Twarz Maryli Korczab zmieniała się, kiedy mówiła o zmarłym mężu, to na pewno, a że był lepszy od obecnego – cóż, Grzegorz Korczab nie ustawił poprzeczki szczególnie wysoko.

A jak to się miało do całej sprawy? Do jego relacji z przyszywaną córką? Z bratanicą?

Kranz spojrzała na swoją rozmówczynię. Wiedziała, że nic już z niej dzisiaj nie wyciągnie. Kobieta wyglądała, jakby tylko na chwilę wypuszczono ją z oddziału opieki paliatywnej.

– Może odwiozę panią do domu? – zaproponowała Sonia. – Chciałabym jeszcze zadać kilka pytań. Umówimy się, dobrze?

Korczab pokiwała głową.

– Proszę mi dać znać. Albo ja do pani zajrzę, to znaczy do sklepu, dobrze?

Znowu kiwnięcie głową.

Drogę pokonały w milczeniu. Komisarz jeszcze przez chwilę patrzyła, jak tamta wchodzi do domu. Budynek nie był wyjątkowo ładny ani oryginalny, ale przytulny, miły. Po prostu: domowy. Trochę podobny do tego, w którym mieszkały z Julką. Ciekawe, jak Korczabowa się czuła – najpierw jako żona Jana, potem Grzegorza. Nawet nie musiała zmienić nazwiska. Zuzia też nie.

Soni już wcześniej przyszło na myśl, żeby nie nazywać się teraz tak jak Krzysiek. Ale po pierwsze, trochę już zawodowo zrobiła dla tego nazwiska, po drugie, tak nazywała się Julka, no i po trzecie, wcale nie chciała wracać do nazwiska swojego ojca. Słaby wybór.

– Napisałam do taty. To znaczy odpisałam mu w końcu.

Julka siedziała przy stole w kuchni. Na blacie przykrytym ceratowym obrusem leżał jej telefon.

– I...? To znaczy pytam, czy wszystko w porządku. Z tą waszą korespondencją.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Zalał mnie słowami. Że mu głupio, że przeprasza, że zrobił to dla Kingi. Jakby nie miał własnego rozumu. I własnych chęci – zezłościła się.

– Wiesz, w tej chwili rozum ma ograniczone pole działania, taka jest biochemia zakochanego mózgu. To musi minąć.

– Jak u was.

Nie było w tym złościwości, jedynie stwierdzenie.

– Jak u nas – przyznała Sonia. – Choć może bardziej niż u nas.

Sama się zdziwiła, że powiedziała to na głos.

– Tata nie kochał cię tak mocno?

– Kochał, tyle że... Nie wiem, co ci powiedzieć. I czy w ogóle mówić, to przecież są sprawy między dorosłymi. Osobiste. Dzieci nie powinny...

– Ale ja jestem efektem tych spraw – przerwała jej Julka. – Tej miłości. Tego małżeństwa.

– Okej, zgoda. O tym możemy gadać. Jeśli o to chodzi, ojciec zachowuje się średnio, bo rozstał się tylko ze mną; ty zawsze będziesz jego córką. Teraz gdzie indziej przeniósł swoją uwagę. Z biologicznego punktu widzenia to dość oczywiste, że Kinga próbuje go zawłaszczyć. Wynika to z egoizmu, potrzeby zapewnienia sobie i swojemu dziecku jak najlepszych warunków. Te mechanizmy są bezwzględne. Można je tępić, kiedy ma się ich świadomość. I generalnie jest się dobrym człowiekiem. – Na końcu przemówiła przez nią złośliwość, która przyniosła jej ulgę. Mechanizmy działania porzuconych też nie były fajne.

– Ona była dla mnie miła.

– Może taka jest. A może jednak widzi, że ojcu na tobie zależy i nie da się nim do końca sterować. Nie mam pojęcia. Chyba aż tak dobrze go nie znałam.

Córka milczała.

– Gdybyś mnie poprosiła o radę, powiedziałabym ci, żebyś na spokojnie się z nim umówiła, kiedy wróci. I ustaliła jakiś harmonogram waszych spotkań. Zresztą i tak trzeba to zrobić dla sądu. Wtedy będzie mniej spontanicznie, ale pewniej. Stabilnie.

– A te wakacje... Myślisz, że on naprawdę mnie tam zabierze? Na Malediwy?

– Skoro obiecał... Zobaczymy. – Pocałowała Julkę w czubek głowy. – Słuchaj, a mogłybyśmy jeszcze chwilę o Zuzi porozmawiać? Widziałam się dziś z jej mamą.

– I jak ona się trzyma?

– Słabo. Bardzo jej współczuję. Pytałam ją o relację między Zuzią a ojcem. Twierdzi, że nie widziała nic złego, niestosownego. Wspominała, że przywoził jej słodczyce, ostatnio jakąś bransoletkę. W kontekście tego, co mi mówiłaś...

– Powiedziałaś, że wiesz o tym ode mnie? – przestraszyła się Julka. – Przecież to było w tajemnicy!

– Nie, nie powiedziałam. Zasugerowałam tylko, że mam takie informacje. W każdym razie nie potwierdziła.

– Zuzia nie kłamała.

– Skąd wiesz?

– Takie rzeczy się wie – odparła. – Powiedziała mi to, kiedy wspomniałam coś o ojcu. Było mi smutno i... A ona potem się zrewanżowała. I na pewno była szczerą, bo nie da się tak przekonująco płakać.

– A czy podczas tej rozmowy padło coś jeszcze na temat innego molestowania niż to w łazience, kiedy on... no wiesz.

– Nie. Zuzia tak ogólnie mówiła, że on po prostu jest taki... jak facet. Jak samiec. Że brak mu czułości i wrażliwości.

– Wspominała o prezentach?

– Tak, o czekoladach.

– O bransoletce?

– Też. Brzydka była. Miała ją w plecaku, zakładała przed powrotem do domu, żeby on... No, żeby się ucieszył, ale w tym znaczeniu, że wtedy będzie spokój. On naprawdę jest jakiś... Zuzia mówiła, że dziwnie się czuje w jego towarzystwie. Ale może dlatego, że on nie był tak naprawdę jej ojcem?

Sonia popatrzyła na nią ze zdumieniem.

– Wiedziałaś? Dlaczego o tym nie wspomniałaś?

Julka wzruszyła ramionami.

– Wydawało mi się, że wiesz i że w sumie to bez znaczenia, bo jej tata od dawna nie żyje. Zuzia mówiła, że go nie pamięta. Znaczący, coś tam jej zostało, ale nie wiedziała, czy to wspomnienia, czy może sobie wymyśliła. Pamiętała tylko, że kiedyś była szczęśliwa. I nawet mówiła, że w wakacje chciałyby ze mną pojechać na grób taty... – Zadrżał jej głos.

Zadrżał też telefon Soni. Przyszedł SMS. Maszt musiał dziś wysłać dobre flu-
idy, skoro komuś udało się do niej dobić.

– Powiedziała, że pojedziemy razem, a przy okazji trochę zwiedzimy.

„Anna Wojtyszek”. To była trzecia z pokrzywdzonych. Pewnie już wróciła, w każdym razie opuściła Szwajcarię i odezwała się do komisarz Kranz, choć trudno powiedzieć z czym, bo telefon mulił wiadomość.

– Jej tata, ten prawdziwy, jest pochowany w Chełmnie – dodała Julka.

– W Chełmnie? To kawał drogi stąd. Nie puściłabym cię. Mama Zuzi też by się bała.

– Nie, wcale nie. To blisko, tak Zuzia mówiła. Przecież wiedziała, gdzie to jest.

„Dzień dobry. Odpowiadam na Pani wiadomość. Mogę się z Panią spotkać. Za dwa dni rozpoczynam sześciotygodniowy pobyt badawczy. Proszę dzwonić, mo-

żemy się umówić. Będę mieszkała w domu pracy twórczej w jednym z dawnych domów tkackich w Chełmsku Śląskim. Pozdrawiam AW”.

– Kawałek od Mieroszowa, ale potem możemy...

Kranz podniosła głowę znad ekranu.

– A może chodziło o Chełmsko? Chełmsko Śląskie?

Julka pokiwała głową.

– Tak, faktycznie, w tej nazwie było „Śląskie”. A ta wiadomość to... – spojrzała na matkę – coś ważnego?

– Od kogoś, kto dużo wie o tych terenach. I też kiedyś został skrzywdzony.

Rozdział 13

– Wszystko się zgadza. – Ranik postukał ołówkiem w kartkę. – Wyjechał dwa dni przed śmiercią córki...

– Przy okazji, ona nie była jego córką. To znaczy nie biologiczną.

– O. – Sierżant spojrział na komisarz Kranz. – A czyją była...? Ej, ale poczekaj! – Aż się podniósł z krzesła. – W dokumentach, znaczy w akcie urodzenia, jest nazwisko Korczab. Więc to chyba jakaś pomyłka? – Mówił takim tonem, jakby tłumaczył coś oczywistego mało rozgarniętemu dziecku.

– A skąd ty wiesz, co jest w akcie urodzenia?

Była rozgarnięta, nawet nieźle.

– No... – Sierżant z powrotem usiadł.

– To są dane wrażliwe. I nikomu nie wolno ich udostępniać.

Ranik się speszył.

– Od mamy wiesz? – domyśliła się Sonia.

– W sumie...

– Ona pracuje w uesce?

– Niiiee... W podatkach.

– No to... – Pokręciła głową. – Słuchaj, sam wiesz, jak jest. Następnym razem będzie z tego syf, i słusznie. Ja nawet rozumiem ciekawość, ale... Jesteś policjantem. I masz być świętszy od papieża.

Przypomniała sobie reportaż *Franciszkańska 3*. Życie rewidowało powiedzenia...

– Masz być uczciwy, nawet w drobiazgach. Zwłaszcza w drobiazgach, bo od nich się wszystko zaczyna. Dobra, spocznij – zażartowała, bo Ranik wyglądał tak, jakby się bardzo przejął. – A teraz wyjaśnienie: nazwisko jest to samo, bo Zuza była córką jego starszego o dziewięć lat brata. Jan Korczab. Też do sprawdzenia. To co z tymi Czechami?

– Wszystko się zgadza. Cztery dni w Pradze, w tym samym hotelu. Trzy spotkania w stolicy, jedno, środkowe, w Pilźnie. Wszystkie zaliczone, ostatnie było w pię-

tek o czternastej.

Dwieście kilometrów, dwie godziny. Nie obróciłby, pomyślała. Chyba.

– Po co zostawał tam na weekend?

– Według szefa miał mieć też spotkanie nieoficjalne, w jakimś pubie czy restauracji. Wiesz, takie budowanie relacji poza oficjalnymi kanałami. Mówił o tym wprost, zresztą tak jest: więcej osiągniesz, kiedy masz jakieś prywatne powiązania. Pójdiesz na piwo, spotkacie się po robocie.

Kranz ani razu nie umówiła się z Ranikiem ani z Majkowskim. Zdarzyły im się wspólne hot dogi czy burgery, ale to było w czasie pracy.

– A te spotkania? Naprawdę się odbyły?

– No... Szef powiedział, że tak.

– Dopytaj.

– Ale jak? Mam jechać do Pepików?

– Po formalnym spotkaniu ludzie zwykle sobie dziękują. Wysyłają oficjalne mejle, że było miło, konstruktywnie i takie tam. To standard. – Znała to z roboty Krzyśka. – Poproś o coś takiego.

– Korczaba?

– Nie, szefa. Na pewno ma dostęp do firmowej poczty.

– Dobra.

Nie był przekonany, widziała to.

– Druga sprawa: co z tymi śladami na papierosach? – zapytała. – Masz porównanie z Rybakiem?

– Nie.

– Bo...?

– No bo jego nie ma w bazie. Jacek gadał z tym Mirkiem, ale on się nie zgodził podobno.

– Kto się nie zgodził?

– No Rybak. Powiedział, że wie, jak się wrabia ludzi, za to nie wie, o co nam chodzi, ale się nie da i w ogóle.

Komisarz w zamyśleniu popatrzyła przez okno.

– Nie sądzę, że to on – odparła w końcu. – Na tamten piątek ma alibi, choć od kochanki, więc na dwoje babka wróżyła, ale jest w relacji, mocno angażującej, skoro się z roboty zrywa. Po co by szukał dodatkowych doznań? W każdym razie chcę go wyeliminować i już do niego nie wracać. – Spojrzała na sierżanta. – Niech Mirek mu powie, że albo się zgodzi na porównanie, albo sama pojedę do tego szefa i opowiem mu, jak jego pracownik spędza popołudnia. I z kim.

– Ugnie się. Kto by się nie ugiął, jak ma romans? Zrobi wszystko, byle się nie wydało. – Ranik pokiwał głową. – Dobra, to ja przekażę Jackowi, bo to jego kumpel.

Sierżant sięgnął do szuflady i wyjął opakowanie miętówek. Pamiętała z dzieciństwa takie landrynki – w przezroczystych torebkach, zielone, posklejane. Odgryzała je, zastanawiając się, jaką wytrzymałość mają jej zęby.

– Chcesz? – Wysunął rękę w jej stronę.

– Nie, dzięki. Lubię miętę, ale muszę mieć fazę.

– Ja też. Ale jem mimo wszystko. Próbuję rzucić fajki.

Ranik palił; widziała, jak się chowa za rogiem albo w podcieniach.

– Nie potrafię tych elektroników. One w ogóle nie smakują i są takie jakies babskie. Znaczy dziwne. No, nie jak z reklamy Marlboro.

– Kowboj z tej reklamy umarł na raka płuc, kolejny na rozedmę. Nie byli babscy, ale chyba lepiej być babskim i żywym – rzuciła chłodno.

– No. – Widział, że ją zirytował, i spróbował zatrzeć złe wrażenie. – Ale to nałóg. Trudno rzucić, a ja powinienem. Mam początki astmy, lekarz powiedział, że wóz albo przewóz. Ale tak się chce... No kurde, co poradzisz, jak się chce. Człowiek by wszystko zrobił dla macha. Jestem jak Ruda, on też by wszystko dał za fajkę. Mam w biurku paczkę, zobacz. – Odsunął szufladę. – Trzymam, bo po pierwsze, żal wyrzucić, drogie jak nie wiem co, a po drugie, to taki niby test na silną wolę. Ale boję się, że się poddam – westchnął i nagle podjął decyzję. – Przy tobie wywalę do kosza. – Sięgnął po czerwono-brązową paczkę.

– Zaczekaj. Daj.

– Wywalę, no mówię.

– Nie wywalaj, przyda mi się.

– Ty palisz? Nie widziałem.

– Nie widziałeś, bo nie pałę. Potrzebuję dla kogoś.

Położył na jej dłoni kartonik. Na zdjęciu były palce gaszące papierosa w popielniczce – nadpalone resztki nikotyny układały się w rysunek płodu. „Palenie zmniejsza płodność”, dopowiadał napis nad fotografią, gdyby palacz lub palaczka nie zrozumieli przekazu obrazkowego.

– Nawet to mnie nie zniechęca. – Ranik smutno pokręcił głową.

Kranz pomyślała, że tego, komu chce podarować te papierosy, też nie zniechęci.

„Wolność”. Napis zrobiono białą farbą i albo wyblakł, albo został zamazany czerwona, taką w kolorze cegły. Mazanie po murach to wandalizm, co do tego się zgadzała, ale tu litery były równe, całkiem schludne, samo hasło zaś pozytywne, zwłaszcza na ogrodzeniu aresztu śledczego.

Minęła zakład z szyldem GutFoto i z Różanej skręciła w Trybunalską. Ładna architektura mimo wszystko. Zresztą tak wyglądało na całym Dolnym Śląsku – to, co wybudowano przed wojną, było przemyślane i solidne. I dopracowane estetycznie. Bolało to, co pojawiło się potem, szczególnie jeśli rejonizacja dotyczyła centrum miasta, gdzie obok mieszczańskich kamienic wyrastały socrealistyczne bloki. Choć w sumie architektura lat dziewięćdziesiątych bardziej jeżyła włosy na głowie. A to, co działo się teraz... Patodeweloperka. Chciwi deweloperzy pomrą, a te koszarne budynki oferujące kawalerki o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych zostaną, sarknęła pod nosem. Blok przy bloku w najmniejszej możliwej odległości. Balkon w balkon – można zobaczyć, jak sąsiad drapie się po plecach. Plac zabaw składający się z jednej minihuśtawki. Choć może pociechy należało szukać w tym, że skoro to budownictwo było byle jakie, proces rozpadu nie potrwa aż tak długo.

Mury, które przekroczyła, wyglądały jednak solidnie. Sam budynek też. Z zewnątrz sprawiał wrażenie nieprzystępnego, surowego, ale w środku... Standard był więzienny, no bo jaki miał być, ale pewne elementy próbowały przełamać penitencyjną atmosferę – na przykład kawałek tapety w drzewa naklejony nad wykafelkowaną ścianą. Wzór dopasowano kolorystycznie do brązowej całości, co oznaczało roślinność w jesiennym uwiądzie.

Zwiednięty był także Wojciech Ruda. Wyglądał gorzej niż ostatnim razem. Ramiona miał opuszczone, brodę dociśniętą do klatki piersiowej. Nie potrafił utrzy-

mać stóp na podłodze – cały czas nimi przebierał, co wprawiało jego ciało w dygot.

Wciąż czekali na wyniki kolejnej konsultacji psychologiczno-psychiatrycznej. Pierwsza nie stwierdziła choroby psychicznej, ale dopuszczała ograniczenie poczytalności. W jakim kierunku szła druga? Tego Kranz nie wiedziała. Mitaj też chyba nie, w każdym razie nic na ten temat nie powiedziała. Sonia rozmawiała z nią, jadąc do Świdnicy. Streściła swoje ostatnie działania. Prokuratorka wykazała umiarkowane zainteresowanie niewyjaśnionymi sprawami trzech napaści seksualnych, trochę większe Rybakiem, a najbardziej chwycił wątek Dębskiego. „Tu jest mocna poszlaka. Facet ma szemraną przeszłość. Ciągnie się za nim smród”. Kranz przekazała jej jego wersję. „Nie wierzę, on się broni. Każdy by się bronił, ale mnie to nie przekonuje”. Komisarz nie potrafiła zająć ostatecznego stanowiska. Odczuwała kobiecą solidarność, miała dość męskiej przewagi, dopuszczała jednak do siebie myśl, że czasem faceci są niewinni, zostają wmanewrowani w brzydką sytuację, na przykład przez matki, które chcą im ograniczyć widzenia z dziećmi, więc oskarżają ojców o czyny pedofilne. Wiedziała jednak, że to znikomy procent. Cała reszta była zawiniona. Generalnie w sytuacjach wątpliwych szala przechylała się na stronę kobiet – w ramach wyrównywania wielowiekowych nierówności. Czy można było się pomylić? Można. Czy tak wyglądało to w tym przypadku? Kranz miała nadzieję, że Iwona pomoże jej to wyjaśnić. Sprawa nigdy nie trafiła na policję. Oficjalnie podobno dlatego, że matka poszkodowanej chciała jej zaoszczędzić stresu, a Dębski zgodził się na odejście z pracy. Trochę kupowała ten argument, a trochę nie – gdyby coś takiego spotkało Julkę, Sonia chciałaby, żeby facet stanął przed sądem. Kara ma być zadośćuczynieniem wobec ofiary i ma działać odstraszająco. Iwona obiecała, że się tym zajmie. Tamta dziewczyna z kółka była teraz na studiach – wybrała kierunek prawniczy. Ciekawe, co nią powodowało?

Tak czy owak, w jednym zgadzały się z Mitaj – oprócz Rudy był ktoś jeszcze. Ktoś, kto potrafił zdobyć pavulon, zrobić zastrzyk i tak sprawnie przeprowadzić napad, że nikt go nie zauważył. No i nie zostawił po sobie śladu.

Pytanie brzmiało: czy działał razem z Rudą? Komisarz nie chciało się w to wierzyć. Po co komuś takie partnerstwo? To przecież jak kula u nogi. Tylko co z włamaniem do Dębskiego? A może zostało sfingowane? Wtedy nikt o tym nie pomyślał, bo po co Dębski miałby to robić – żadnego ubezpieczenia nie wyłudził, nawet zniszczenia drzwi nie zgłosił. Na miejscu znaleziono papierosy ze śliną Rudy, ale

Dębski bez cienia wahania twierdził, że na pewno nie widział ich tam wcześniej, zresztą badania potwierdziły – to były świeże niedopałki.

– Jak się pan czuje? – zapytała.

Ruda nie odpowiedział. Wciąż był skulony. Wyglądał teraz jak skarcony przedszkolak.

– Dobrze ci tu jest? – zmieniła formę.

Na moment podniósł głowę. Złapała jego spojrzenie.

– Dobrze cię tu traktują? – dodała.

– Mama też tak pytała. Przywieźli ją, bo chciała, ale płakała. Że ja tu jestem. „Synku, synku”, mówiła.

Kranz wiedziała już o odwiedzinach matki Rudy. Ktoś z MOPS-u własnym samochodem ją tu przywiózł. Wszędzie zdarzają się wrażliwi – nawet w kiepsko opłacanej budżetówce. Kobieta miała zaawansowaną cukrzycę, ledwo chodziła. Życie jej nie oszczędzało. I jeszcze Wojtek, choć z nim to musiała mieć ciężko od zawsze – stres i strach. Dodatkowo myśli, co będzie, kiedy jej zabraknie.

Znowu ukłucie. Niedobrze, nie może się dawać emocjom. Teraz jest w pracy, musi być „wyzerowana”. Nic nie może zakłócać logiki, nic nie może wpływać na ocenę.

– I co odpowiedziałeś?

– Że jest dobrze. Żeby się nie martwiła.

– Pytała cię o tę sprawę? O tę dziewczynę?

Ruda pokiwał głową.

– I co powiedziałeś?

Wzruszył ramionami.

– Ona powiedziała. Że ja bym przecież tego nie mógł, że nie tak mnie wychowała. I że ona mnie zna. W sercu mnie zna.

– Ale ty...

– Ja to zrobiłem. Zrobiłem. – Ruda aż się podniósł z krzesła.

Strażnik w kącie sali wykonał krok do przodu, ale Kranz powstrzymała go ruchem dłoni.

– Zrobiłeś. Naprawdę zrobiłeś?

– Tak. Tak było.

Pokiwała głową. Nie zmienił zeznań, trzymał się tej wersji.

– A włamanie do domu Dębskiego?

– Nie, to nie ja. Ja go lubię, Piotrek jest dobry.

Tu zdania są podzielone, pomyślała.

– Ale po włamaniu znaleziono tam papierosy. Które ty paliłeś.

– Bardzo lubię papierosy. – Jego twarz się rozpuściła, choć pojawił się na niej także grymas niespełnienia. Ruda nerwowo potarł dłoń o dłoń.

– I wtedy też paliłeś?

– Kiedy?

– Podczas włamania?

– Nie. To nie ja.

Nic nie ugra. Sprawa bez szans. Jakiś wprawny psycholog, dobra psychiatra – tak. Kranz nie wiedziała, gdzie nacisnąć, jakich słów użyć, w jaki sposób dobić się do tego człowieka. Nie potrafiła też stwierdzić, jak bardzo jest zakotwiczony w rzeczywistości. Czasem wydawało się, że ma z nią kontakt, a czasem – że żyje w swoim świecie.

– Chciałbym papierosy.

– Tu nie wolno palić.

– Wiem. Można w pokoju. Ale nie mam. Nie mam pieniędzy. Tu można kupić, ale ja nie mogę.

Sięgnęła do kieszeni koszuli.

– Ostatni raz paliłem, kiedy...

Wyjęła paczkę od Ranika i drugą – kupiła ją przed chwilą. Rzeczywiście, fajki były drogie. Zastygła z nimi w dłoni. Rudzie zaświeciły się oczy. Miał teraz spojrzenie psa, który zobaczył kawał krwistego mięsa w ręku opiekuna.

– Kiedy paliłeś ostatni raz?

– Kiedy mi znowu dał. Wcześniej dał i potem też. Najpierw tylko jednego, a potem paczkę. Całą.

Znowu zaczął się trząść. Delikatnie, ale zauważalnie. Kolana mu drgały, kiwał się w przód i w tył.

– Kto? – Była blisko, jak nigdy dotąd.

– Dał. Powiedział, żebym zapalił.

– Znajomy?

Cisza.

– Tak po prostu dał? Czy za coś? – Może spróbuje z tej strony.

Ruda się skrzywił. A może to był tik?

– Dał.

Czuła, że to ostatnia chwila, żeby cokolwiek z niego wyciągnąć. Zrobił się pobudzony. Ona to widziała, widział to strażnik, który wzrokiem dał jej znać, że pora kończyć widzenie.

– Kto? Kto to był? – zapytała prawie błagalnym tonem.

– On.

Wojciech Ruda gwałtownie przechylił się przez stół i wyrwał jej papierosy z ręki.

Chwilę później leżał już na podłodze, zrzucony i unieruchomiony przez strażnika. W dłoni ścisnął dwa tekturowe pudełka.

– Byłam zafascynowana tym miejscem. Oprócz tego młoda i naiwna. Kiedy ma się dziewiętnaście lat, w człowieku jest duży zapas ufności wobec świata.

Kranz patrzyła na Annę Wojtyszek z przyjemnością. Stała przed nią bardzo ładna kobieta, ładna w taki przyjemnie naturalny sposób. Długie włosy w kolorze ciemny blond, lekka opalenizna, niebieskie oczy o mądrym spojrzeniu. Ubrana w lnianą jasną sukienkę, która mimo dość workowatego fasonu zdradzała, że znajdujące się pod nią ciało jest sprawne i szczupłe. Wydawało się, że ta sprawa sprzed lat nic w tej kobiecie nie zniszczyła.

– Nasze spotkanie nie jest dla pani przykre? Wiem, że do gwałtu nie doszło, ale mimo to... – Kranz chciała się upewnić. Przed dwiema poprzednimi rozmowami

miała poczucie, że dłubanie w zasklepionych ranach znowu je otworzy. I tak się stało. Jak szybko znów się zrosną?

– Nie. Naprawdę nie. Zresztą gdyby tak było, nie przyjeżdżałabym tu.

– Czasem takie konfrontacje są nieświadome.

– Fakt. Ma pani rację, ale nie w moim przypadku. Jasne, że wtedy było to wstrząsające, ale pomyślałam... W każdym razie to tylko mnie upewniło, żeby zajmować się tym, czym się zajmuję. Potem wyjaśnię, bo długo by teraz mówić. Zresztą może w trakcie rozmowy dojdziemy do tego punktu. Mogę zapytać, dlaczego się spotykamy? Sprawa znów wzięta na tapet?

– Nie w sensie formalnym, ale może mieć związek ze śledztwem, które teraz prowadzę.

– Jasne. To znaczy niejasne, ale domyślam się, że nie może pani zbyt wiele zdradzić.

Kranz pokiwała głową.

– Opowie mi pani, co tu się wtedy wydarzyło? Dwudziestego pierwszego czerwca dwa tysiące ósmego roku? – zapytała.

– Był piękny dzień. Noc zresztą też. Dzień przed początkiem lata, upalnie, słonecznie, pogodnie. Noc krótka, ciemno przez jakieś sześć godzin, aż żał spać. Człowiek chciał przeżywać, doznawać, wszystkiego było mu mało. W ciągu dnia zajęcia, wykłady, a wieczorem relaks. Mieliśmy wynajęte mieszkania w kamienicy przy rynku, dla całej dwunastki plus dwoje wykładowców. Wieczorem zrobiliśmy imprezę. Nic głośnego, po prostu wspólne gotowanie, jakiś alkohol, ale w ilości absolutnie zdroworozsądkowej. Ja wypiałam tylko pół kieliszka wina. W ciągu dnia przesadziłam z pobytem na słońcu, czułam tego skutki. Miałam ochotę się przejść, odetchnąć świeżym, chłodniejszym powietrzem. W ogóle lubię spacerować.

– Nikt nie chciał pani towarzyszyć?

– Nie zapytałam. Lubię też samotność, czasem. Poszłam. Tu nie ma wielu chodnikowych tras do spacerowania, zwłaszcza po zmroku. Pochodziłam głównymi ulicami i kiedy już wracałam, postanowiłam zajrzeć do tego kościoła. To znaczy skrócić w ulicę, przy której stoi kościół ewangelicki.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Już odpowiadałam na to pytanie. Impuls. Sentymentalna i nostalgiczna dusza, która pchnęła mnie do studiowania historii, a potem do zajmowania

się tymi terenami. To miejsce jest takie zapomniane i ciche. Chciałam przejść ten kawałek i wrócić. W miasteczku było wesele, w drugim kościele. Teraz jest ładnie odnawiany, zresztą to ważny zabytek, wtedy nie wyglądał tak dobrze. Wesele odbywało się w rynku, w lokalu po dawnej restauracji. No, może odpowiedniej byłoby: po punkcie gastronomicznym. Takim w stylu lat dziewięćdziesiątych. Teraz w tym miejscu nie ma nic. Towarzystwo się rozochociło, wszystko jak na polskich weselach – disco polo, dużo wódki, uruchamiał się gen osobliwie rozumianej wolności. Tej, przez którą tyle żeśmy jako naród przegrali. – Uśmiechnęła się smutno. – Ale to inny kawałek historii. Więc żeby trochę uciec od tego zgiełku, odbiłam w zaułek. Nie czułam lęku, bo przecież obok pulsowało życie. Oparłam się o ten betonowy podest i patrzyłam w dół. O, tak. – Kobieta dotknęła plecami szarego betonu. – Za sobą miałam cmentarz. Widziała go pani?

Kranz kiwnęła głową.

– Stałam, z boku dolatywała wesoła muzyka, ziemia lekko drżała, było ciepło. Trochę to wszystko wydawało mi się nierzeczywiste. Do momentu, kiedy poczułam szarpnięcie. Facet chwycił mnie za szyję, ale zrobił to nieskutecznie, bo się wywinęłam. Pewnie dzięki temu betonowemu blokowi, który ograniczał jego ruchy.

– Nie słyszała pani niczego wcześniej?

– Nie. Chyba przez tę muzykę. Do dziś się zastanawiam, skąd wiedziałam, jak się wyswobodzić. W genach mamy instrukcje przetrwania, bardzo silne. Nieodpalane na co dzień, ale istnieją.

– I co było dalej?

– Szarpnęłam się, ale on mnie złapał za rękę. Tym razem było trudniej, bo staliśmy już obok siebie.

– Pamięta pani jego wygląd? Coś charakterystycznego?

– Był wysoki, dobrze zbudowany, nie gruby, tylko wysportowany. Pamiętam mięśnie jego ręki, miał silny chwyt.

A jednak. Przez twarz Anny Wojtyszek przebiegł skurcz.

Odchrząknęła.

– Obrazy wracają, choć raczej odczucia w ciele. Takie traumatyczne sprawy pamięta się ciałem. W momencie ataku działa adrenalina, a potem mózg próbuje chronić... – Popatrzyła na komisarz. – Zresztą pani to przecież wie.

– Wiem.

– Zatem na pewno był silny. Nie był chyba bardzo młody, to znaczy jakoś w moim wieku. Trochę starszy, taki... okrzepnięty. Bliżej trzydziestki, może nawet czterdziestki. Nie widziałam jego twarzy, miał czapkę z daszkiem.

– Próbowала ją pani zdjąć?

– Nie. Tę myśl pamiętam: jak zobaczę jego twarz, na pewno mnie zabije, żebym go nie rozpoznała. Zresztą czułam, że finał może być taki: najpierw mnie zgwałci, a potem rozwali głowę albo poderżnie gardło. Mówię tak obrazowo – kobieta zła-pała spojrzenie Kranz – bo on miał ze sobą jakieś nieduże narzędzie. W kieszeni spodni chyba. Czułam coś twardego, kiedy się szarpaliśmy. I użyłby go, gdyby nie ci ludzie. Ci z wesela. Para.

– Nie zauważył ich?

– Nie. Ja zresztą też nie. Bo oni nie szli od dołu, tylko z góry. Nikt tego nie podnosił jakoś szczególnie, ale sprawa była oczywista: urwali się na *tête-à-tête*. Nie wiem, czy już *post factum*, czy przed, ale zareagowali. A przecież mogliby się wystraszyć albo wstydzić. Uratowali mi życie, tak myślę.

Kranz znała opis z akt sprawy, jednak to, co mówiła ta kobieta, było bardziej plastyczne. Tyle że nie wносиło niczego nowego.

– A czy udało się pani zapamiętać coś charakterystycznego, czego nie zapisano?

– Nie, przykro mi. Myślałam o tym po pani wiadomości. Czasem tak jest, że coś przychodzi po latach, kiedy odpuszcza napięcie. Jakiś szczegół wyłania się z mgły. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Za to teraz pomyślałam sobie, jak się życie ze śmiercią przeplata. Ja byłam na granicy. Ta para przyszła tu, żeby przeżyć uniesienie. Poddali się najsilniejszemu popędowi życia. Tyle że przecież z tyłu jest cmentarz, więc na grobach... Widziała pani te płyty? Większość się przewróciła, sporo zapadło, a całość porósł bluszcz.

– Widziałam. I krowie placki też.

– No tak. Smutno. Teraz postaram się wreszcie znaleźć czas, żeby się tym zająć. Myślę, żeby porozmawiać z księdzem z tamtego kościoła. – Wykonała ruch dłonią w stronę jasnej wieży kościoła pod wezwaniem Świętej Rodziny. – Oni tam mają bardzo zadbany cmentarz, swój i tych, co byli tu wcześniej... A ci, którzy tu leżą... Przykro. Przykro i wstyd. No ale na tych terenach historia miała tragiczny przebieg.

Mogłoby się wydawać, że tyle lat po wojnie to już nie ma znaczenia. Ale ma. I nie tylko dlatego, że do głosu dochodzi tu epigenetyka... Pani wie, co to jest?

– Wiem. Trochę. Chodzi o przekazywanie genów, które jest niezależne od DNA.

Kranz rozumiała mechanizm, ale nie była pewna, czy dobrze go opisuje.

– Tak, z grubsza. Chodzi o zmiany funkcji genów, które są niezależne od zmian w sekwencji DNA. Takie modyfikacje mogą być przenoszone nie tylko z rodziców na dzieci, ale i na kolejne pokolenia. Jest takie określenie: transgeneracyjne dziedziczenie epigenetyczne. Pod tym terminem kryje się wyjaśnienie, jak doświadczenia rodziców czy dziadków wpływają na dzieci. Bo wpływają, i na tych ziemiach świetnie to widać.

– Pani jest stąd? To znaczy z Dolnego Śląska?

– Jakbym była stąd, toby znaczyło, że jestem skądinąd. – Anna Wojtyszek się roześmiała. – Nie, jestem z Bydgoszczy, ale bardzo lubię te tereny. Są piękne, interesujące krajoznawczo i zapuszczone. Nawet teraz, po tylu latach, niespecjalnie się o nie dba. Jako historyczka jestem oczywistą przeciwniczką zapomnienia o wydarzeniach, przemilczania czy już całkiem źle: przeinaczania lub naginania faktów, ale niemożność oderwania się od przeszłego wstrzymuje nasz rozwój. Polska wciąż tkwi w minionej historii, wciąż na nowo pokazuje te same rany. Trudno o ładne blizny w takiej sytuacji. Zresztą tu cierpiały obie strony. O tym też nieczęsto się mówi. Naprawdę sporo było zwyczajnych Niemców, którzy nie popierali wojny i nie brali w niej udziału. Jasne, znaleźli się po złej stronie, ale jaki mieli na to wpływ? Mimo wszystko mogli się zachować przyzwoicie lub nieprzyzwoicie, bo czasy dawały na to szczególne przyzwolenie.

– A jak wyglądały wywózki? Bo o przywiezionych wiem całkiem dużo, ale o ludziach stąd niewiele.

Interesowało ją to. Zawsze uważała, że trzeba znać historię miejsc, w których się przebywa. Że bez tego trudno zrozumieć teraźniejszość, a przecież na tym też polegała jej praca – żeby ogarniać rzeczywistość.

– Niemcy pozbawieni byli podstawowego poczucia bezpieczeństwa. Nie mieli już prawa do swojej własności, mogli tylko wyczekiwać, kiedy ją stracą. Podlegali godzinie milicyjnej. Przydzielono ich do pracy przymusowej, dostawali symboliczne wynagrodzenia. W niektórych miejscowościach wprowadzono znakowanie białymi opaskami noszonymi na ramionach. Znany mechanizm, prawda?

Kranz pokiwała głową.

– W dokumentach urzędowych, także tutaj, w Chełmsku, wyraz „Niemcy” pisano małą literą. Nowe polskie władze w antyniemieckich postawach Polaków dostrzegały możliwość pozyskania poparcia społecznego. Świeże wspomnienia okupacji powodowały, że wielu Polaków żyło chęcią odwetu. No i mogli poprawić swoją sytuację kosztem Niemców. Osłabły hamulce moralne. Po tylu latach wojny ludzie już nie pamiętali, co to są normalne czasy i jakie prawa wtedy obowiązują. Wszystko było brane w nawias. Nikt ze strony państwa polskiego nie potępiał głośno aktów przemocy, które miały tu wtedy miejsce. Kościół także. Zdarzało się jednak i tak, że przez wiele miesięcy Niemcy i Polacy żyli razem, w jednym domu. I jak to bywa w takich sytuacjach, czasem wytwarzały się cieplejsze relacje. Ludzie zachowywali się bardzo różnie, tak jak różni byli przed wojną.

– A dlaczego oni, znaczy Niemcy, zostali tu jeszcze na tyle miesięcy? To znaczy rozumem opór przed opuszczeniem swojego domu, ale przecież wiedzieli, że nie ma odwrotu, że to się wydarzy. No i trudno im tu było się utrzymać, kiedy przyszło nowe. Gdziekolwiek u siebie, tym nowym „u siebie”, mieliby lepiej.

– Z różnych powodów – odparła Wojtyszek. – Nawet najposłuszniejsi obywatele chcieli pewnie mieć nadzieję, że to się jednak da odwrócić, złagodzić, zmienić. Trudno się rozstać ze wszystkim, co się ma. Poza tym na początku brakowało polskich pracowników, którzy by płynnie przejęli działające tu firmy, biznesy, urzędy. Albo byli, ale nie mieli kwalifikacji. Niemcy zajmowali się uprawą ziemi, miejską infrastrukturą, pracowali w przemyśle, zatrudniano ich więc w przejętych przez Polaków sklepach, gospodach, a nawet w administracji. Oczywiście następowała zamiana ról: dawny właściciel stawał się robotnikiem przymusowym. Czasem wyjątkowo doceniano umiejętności Niemców i Polacy próbowali ich ochronić przed kolejną falą wysiedleń, bo to przecież nie wydarzyło się naraz: to była duża akcja logistyczna. Generalnie jednak los Niemców dramatycznie się pogorszył. No i już wiedzieli, że nawet jeśli uda się wywózkę odroczyć, koniec może być tylko jeden: żadnego Niemca na nowych polskich ziemiach.

– Kiedy skończyło się wysiedlanie?

– Przełom czterdziestego siódmego i czterdziestego ósmego roku. Trwało, jak sama pani widzi, z powodów, o których już wspomniałam. Takie połączenie narodu, który wygrał, i tego, który przegrał, generowało złe zjawiska. Rosły demoralizacja i przestępczość, a obecność ludności niemieckiej utrudniała wykazanie, że

Polska trwale już rządzi tą ziemią. Trzy lata po zakończeniu wojny ostatni Niemcy opuścili te tereny.

– Wracali potem?

– Z oczywistych powodów przez długi czas nie. Lata dziewięćdziesiąte przyniosły zmiany, ale nie takie, żeby tu nagle mieć napływ Niemców. Poza tym sporo tych, co pamiętali pobyt tutaj, już nie żyło, a ci, po których śmierć jeszcze nie przyszła, pewnie mieli częste w takich przypadkach obawy: wrócę do swojej utraconej arkadii i zobaczę coś zupełnie innego. Ten nowy obraz, upadku, tak to najczęściej wyglądało, przykrywał ich wspomnienia. No i trzeba pamiętać, że nie byli tu mile widziani. Wspólna Europa, ale bez przesady. Przyjdą, powiedzą, że tylko na podwórko zajrzeć, tylko do przedpokoju wejść, tylko przy tym stole, przy którym owsiankę jedli, chwilę posiedzieć i ani się człowiek obejrzy, a wszystko odbiorą. To bardzo częsta narracja, podsycana przez niektórych polityków, wykorzystujących do rządzenia poczucie zagrożenia i lęku.

– Zna pani przypadki takich powrotów?

– Odwiedzin, wizyt sentymentalnych – doprecyzowała Wojtyszek. – Tak, znam, ale niezbyt wiele.

– A osiedlenia się na tych terenach? Powrotu na ojcowiznę?

– Jeden. Wakacyjny.

– A żeby ktoś chciał zostać tu pochowany?

– Z tamtych mieszkańców?

Kranz kiwnęła głową.

– Nie.

– Pytam, bo na tutejszym, to znaczy tym zadbanym cmentarzu, w części niemieckiej, widziałam taki grób. Z tablicą i niemieckim nazwiskiem. Nowy.

– Ciekawe. Nie byłam tam już dawno, ponieważ zwykle jest tak, że te stare cmentarze to już zbiór zamknięty, niczego nie przybywa. Raz się obejrzy, skataloguje, opisze i już. Zajrzę, zaintrygowała mnie pani.

– Mam zdjęcie. – Kranz sięgnęła do kieszeni po aparat. Wyszukała fotografię i pokazała ją historyczce.

– Britte Lindner – przeczytała tamta. – Z dwudziestego dziewiątego roku. To już bardzo leciwa. Chyba żyje, bo jest tylko data urodzenia.

– Ale stał tam wypalony znicz.

– Może wiatr przywiał? Może ktoś przestawił? Różnie mogło być.

– Mogło. Pokazałam to pani, bo mnie to zainteresowało. Nie zawodowo, a prywatnie.

– No tak, każdy ma jakieś hobby. Ja na przykład lubię czytać kryminały. – Historyczka się uśmiechnęła. – Tak czy owak, dzięki, obejrzę ten grób. Nazwisko coś mi mówi. Dzwonią, ale kościoła nie potrafię wskazać.

Kranz spojrzała w górę, na czerwoną wieżę obok nich, a potem na tę drugą, jasną.

Tu nic nie słyhać, tyle zdążyła pomyśleć, bo ciszę przerwało bicie dzwonu. Jedno, dobitne.

Rozdział 14

– Ty to masz fart, po prostu w czepku urodzona. – Iwona Kostecka była w wyśmienitym humorze.

– Polemizowałabym – westchnęła Sonia.

Prywatnie szczęście opuściło ją dawno temu, właściwie to może nigdy na dobre do niej nie przyszło, zawodowo zaś... kręciła się w kółko. „Jak gównu w przereblu”, mówił ojciec. Dlaczego te różne powiedzenia, gesty czy zachowania do niej wracały, choć wcale tego nie chciała? Nie myślała o ojcu, nie przywoływała go we wspomnieniach. W jej pamięci istniał tak jak w jej życiu, czyli skromnie. Tego gówna nie lubiła. Nie dlatego, że brzydki wyraz. To znaczy ten był brzydki, ale przecież sama przeklinała, tyle że nie do dziecka i tylko wtedy, kiedy miała powód. Ojciec miał ich dużo, właściwie każde zejście na ląd mu ich dostarczało. Kilka miodowych dni z matką, kilka z tamtą i zaczynał się czas nerwówki. Między nimi też. Ojcu w Soni najbardziej przeszkadzało to, że nie jest chłopcem. Chciał mieć syna, nie krył tego. Mówił to nawet córce, nie hamując żalu, że genetyka zdecydowała inaczej. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że to plemnik determinuje płęć, a więc to nie matki wina, że urodziła mu „dziurawca”. Kiedy się dowiedziała, nie było już powodu, żeby mu mówić, bo przestał narzekać. Nie musiał – doczekał się syna z tą drugą. No a jeszcze później... chłopczyk umarł. Teraz wyrzuty byłyby całkiem nie na miejscu. No to obie z matką się smuciły. Ojciec był smutny, więc ona też, a Sonia się dopasowywała – rodzina to przecież system naczyń połączonych. I tak przeżywały razem równoległe życie ojca, teoretycznie nic o nim nie wiedząc. To znaczy matka musiała wiedzieć, jakoś, od kogoś – ludzie kochają plotkować, na pewno ktoś życzliwy ją informował. Sonia zaś nigdy niczego nie usłyszała, a i tak wiedziała. Skąd? Jak? Chłonęła drogą osmozy? Łączyła strzępki informacji, zbierała okruchy faktów? Dedukowała, miała intuicję? Wychodziło na to, że od wczesnego dzieciństwa przygotowywała się do pracy w dochodzeniówce.

Tyle że teraz jej nie szło.

– Ty o małżeństwie? Wiesz, wtedy ci nie mówiłam, ale zrobiłaś falstart. Za wcześnie wyszłaś za mąż. Ile miałaś lat?

– Dwadzieścia cztery.

– No tak, zaraz po szkole. Co się wtedy wie o życiu? Nic. Po dekadzie pracy w policji to już jest wiedza. I to praktyczna.

– Po dekadzie to już bym pewnie singielką została. Wiara w drugiego, zwłaszcza w facetów, spada.

– Ja miałam trzydzieści pięć. I naprawdę się cieszę, że poczekałam.

Sonia usłyszała to w jej głosie, który nagle zmiękł. Poczowała ukłucie zazdrości, zupełnie od niej niezależne, i natychmiast się go zawstydziła. Bardzo lubiła Iwonę, była świetną dziewczyną i dobrym człowiekiem.

– Dobra, ale kwadrans terapeutyczno-coachingowy to kiedy indziej, bo mam robotę – rzuciła Iwona. – Słyszałaś o tej zamordowanej blogerce?

– Nie. Jakoś chwilowo wypadłam z obiegu. Kapryśny internet też nie ułatwia sprawy.

– Dziewczyna miała kilkaset tysięcy followersów, a w sumie nie potrafiłabym ci w jednym zdaniu powiedzieć, czym się zajmowała. Znana z tego, że była znana. Przykro, że nie żyje, ale zainteresowanie mediów, zwłaszcza social mediów, tą sprawą jest niezdrowe i nie pomaga w śledztwie. A ono będzie jak ośmiornica z wieloma mackami, bo taki miała bajzel w życiu prywatnym. Młoda, dwadzieścia kilka lat. Musimy się dobrze zajmować córkami, żeby ich tak życie nie omotało... Dobra, widzisz, sama się rozgaduję. To się nie zmienia, co?

– Prawda. To z czym konkretnie dzwonicz?

– W sprawie tego twojego uciekiniera-hipisa. I tu wchodzi moja zamordowana. Wczoraj wieczorem byłam w klubie, do którego często wpadała. Miejsce spotkań ludzi z szemraną kasą, do tego hipsterzy i bananowa młodzież. Kasa, alkohol, narkotyki, w stylu na bogato i z zepsutymi hamulcami moralnymi. Miałam cynk, że jest tam facet, który dostarczał jej prochy. Z zawodu diler, prywatnie syn znanego adwokata. Nie chciał współpracować, to go zgarnęliśmy. Rzecz jasna, nie licząc na efekt, bo zaraz zjawił się ojciec z obstawą z kancelarii i chłopak pojechał do domu. Ale była z nim dziewczyna. Widać nie tak ważna, bo ją wystawił. Młodsza, pewnie świeża znajomość. Została z torebką pełną narkotyków. Miałam to przekazać komuś innemu, ale kiedy sprawdziłam, kim ona jest... To ta twoja, molestowana. To znaczy niby molestowana, a właściwie ta, która wystawiła Bogu ducha winnego faceta. W tej sprawie, oczywiście, bo poza tym to on też nieświęty.

– Skąd wiesz, że wystawiła?

– Zagranie *va banque*. Była spietrana. Wiesz, studia prawnicze, a tu taki przypał. Jak to będzie wyglądało? A może w ogóle przewalone, jeśli pojawią się poważniejsze zarzuty? Koniec marzeń o byciu kimś takim jak ojciec tego dilerka: wszechmocnym prawnikiem. Teraz sporo takich. Wygrywają, bo wydłubują błędy z postępowania przygotowawczego na przykład. Meritum nieważne, grunt, że są podstawy formalne. Świetnie wiedzą, kogo bronią, ale kasa się zgadza. Więc zapytałam, jak to było z Dębskim, bo do tej sprawy też zaraz wrócimy. Zdziwiła się, że wiem. Nie potrafiła tego ukryć. Sama zaproponowała, że powie o wszystkim, a ja przymknę oko na to, co nosi w torebce. Albo oni teraz się szybko wyrabiają, albo tamten ją podszkolił. A może uczą tego na studiach?

– I jak według niej wyglądała tamta sytuacja?

– Tam nigdy nie było oficjalnych zarzutów, więc teraz nie groziło jej postępowanie o składanie fałszywych zeznań. Wszystko odbyło się przecież bez papierów: on się zgodził na wilczy bilet ze szkoły i zniknął z Krakowa, i po sprawie. Zresztą ja bym na twoim miejscu zastanowiła się, dlaczego on to klepnął. Skrajnie uczciwy by walczył, bo ideowcy tak mają. *Anyway*. Przyjaciółka matki chciała zemsty na Dębskim za to, że ją wystawił. Po kilku drinkach wymyśliły plan doskonały: córka oskarży go o niewłaściwe zachowanie. Zapisze się na kółko, które prowadził, zostanie kiedyś sam na sam, i już, bo słowo przeciw słowu. Ta młoda ma też chyba zadatki na aktorkę, skoro tak sprawnie jej poszło. Początkowo plan wyglądał tak: przestraszy się, będzie potrzebował wsparcia, wróci do kochanki, znowu buzi buzi, a sprawę jakoś się przyklepie. No ale on nadal wykluczał ponowne spiknięcie, dlatego sprawy przybrały taki obrót. Zraniona i porzucona kobieta jest nieobliczalna.

– Nie zawsze – wyrwało się Kranz.

– Sorry, Sonia, palnęłam, nie pomyślałam. Ale skoro już przy tym jesteśmy, to nie masz czasem ochoty, żeby go... no wiesz, przeczołgać za to, co ci zrobił?

– Za to, że już nie ja sprawiam, że chce mu się żyć? Że nie ja go podniecam, nie za mną tęskni?

Iwona przez chwilę milczała.

– To minie – powiedziała w końcu. – Znaczy to, co on czuje do tamtej, minie.

– Minie – zgodziła się Sonia. – Na razie jednak trwa. I jasne, nad emocjami można panować: to, czy pójdziesz z kimś do łóżka, jest decyzją, przynajmniej do

pewnego momentu, ale jeśli wszystkie uczucia do mnie się w nim wypaliły, to nic się nie da z tym zrobić. Chodziły mi po głowie różne brzydkie pomysły, ale odpuściłam. Miałabym na sali sądowej opowiadać na temat naszego seksu? Na temat jego seksu? Nie, dzięki, wybrałam spokój. Niektórzy myślą, że to frajerstwo.

– Ja nie myślę. W sumie ten wariant mi do ciebie pasuje. Jesteś szlachetna, a to zawsze ma swoją cenę. Na przykład w postaci przeprowadzki do jakiejś dziury.

– Tu nie jest tak źle – roześmiała się Kranz. – I widzisz, jakie mamy tu sprawy. Wracając do nich: jesteś pewna, że było tak, jak ta dziewczyna to przedstawiła?

– Wszystko pasuje. Zresztą powiedziałam jej, że będzie oficjalne dochodzenie, zatem ją też obejmie śledztwo. Przestraszyła się i odwołała tę pierwszą wersję. Pomogłam?

– Bardzo. Dzięki! Wiesz, że jeśli tylko będę mogła, to się...

– Wiem. Nie ma sprawy. A jak ci idzie?

– Eliminowanie potencjalnych podejrzanych coraz lepiej. Gorzej z typowaniem.

– A ten, co siedzi w areszcie?

– Daj spokój. – Kranz się zachnęła. – On jest jak dowód podrzucony na miejsce zbrodni. Ma zmylić trop, przesłonić prawdę.

– No to coś już masz. Wiesz, jak to jest: zbierasz różne wątki, łapiesz nitki, wydaje ci się, że nic się z tego nie uplecie, a potem jednak coś chwyta. Daj znać. I w ogóle się odzywaj.

– Będę. Jeszcze raz dzięki.

Minęła tablicę z napisem „Mieroszów”. Zaraz będzie w centrum, na posterunku.

Rozmowa z Iwoną wprawiła ją w dziwny stan. Z jednej strony Sonia była jej cholernie wdzięczna za informacje, bo sporo wniosły do śledztwa. No i cieszyła się, że intuicja jej nie zawiodła. Czowała, że Dębski by nie mógł... Dobra, czowała też coś innego, zupełnie nieprofesjonalnego.

Z drugiej jednak strony była rozdrażniona i trochę pogubiona. Jechała tu z myślą, że zgadza się na dobrowolną degradację, że będzie kiśła nie wiadomo jak długo, prowadząc jakieś banalne sprawy. Kiedy rozmawiała z Iwoną, wyobrażała sobie jej

życie, jej śledztwa. Rytm niezasypiającego miasta, ciągłe impulsy, ważne docho-
dzenia. Adrenalina, poczucie sensu, możliwe sukcesy.

Tyle że ona też mogła się teraz wykazać. Miała sprawę, która dawała takie moż-
liwości. I co?

Zaparkowała przed niebieską kamienicą.

I wysiadła wprost na Marylę Korczab.

– Dzień... – Urwała. Co za bezsens, znowu. Ale jak miała się przywitać?

– Oddadzą nam Zuzię. Telefon był. Można szykować pogrzeb. – Kobieta
w ogóle nie zwróciła uwagi na to, co Kranz powiedziała. – Ksiądz mówi, że to jak
najszybciej trzeba, że msza nam wszystkim potrzebna, że dopiero potem będzie
można żałobę przeżywać. I wygaszać. Ale ja sobie nie wyobrażam tego wygasza-
nia. Mnie się wydaje, że to już zawsze tak będzie. – Zaczęła szlochać.

Komisarz stała bezradnie. Czuła się winna, że wciąż nie ma sprawcy. Czuła się
winna, że jej córka żyje.

– Jest takie okropne powiedzenie, że czas leczy rany. Ale leczy – powiedziała
w końcu cicho.

Maryla Korczab spojrzała na nią bystro.

– Pani to wie?

Kranz pokręciła głową.

– Mam różne małe doświadczenia, ale wielu ludzi tak mówi. Literatura tak
mówi. Tak jest. – Wciąż prawie szeptała. Jak strasznie coelhowsko to brzmiało,
choć przecież było szczere.

– Teraz trzeba pogrzeb zorganizować – powiedziała Korczab, ignorując wypo-
wiedź Soni. Może uznała ją za bełkot, a może przeciwnie, wzięła te słowa pociechy
i nie chciała z nimi dyskutować. – Ksiądz to dobry człowiek. Tyle się teraz słyszy...
A on jest dobry, pomocny i wrażliwy. Na pewno ładnie Zuzię pożegna. Najładniej.
Tylko potem... Ja nie wiem, co potem. Z cmentarzem. Bo tu jest, na górce. Drzewa
są, zbocze słoneczne. Wszystko takie... I z domu blisko. Ja bym mogła codziennie
spacerkiem chodzić. Przed pracą, po pracy. Ale tu trzeba by kupić miejsce. To nie
sprawa pieniędzy, na to zawsze się znajdują, ale to obca ziemia, nikogo tu nie mam,
nie mamy. Zuzia by sama leżała.

Kranz wzięła głębszy oddech. Tak cholernie trudno jej się tego słuchało.

– I dlatego myślę, że może by jednak w Chełmsku.

– W Chełmsku?

– Z tatą. Tym prawdziwym, to znaczy biologicznym.

No tak, przecież Jan Korczab leży na tamtejszym cmentarzu – Julka wspominała o tym, tyle że pomyliła nazwy. Sonia przypomniała sobie, jak pomagała jej robić prezentację na temat stref klimatycznych, drobiazgową, jakby się miała z tego doktoryzować. Niektóre wyrazy musiała sprawdzić w słowniku. Julka pewnie już nic z tego nie pamiętała, a mogłaby się zamiast tego nauczyć, gdzie leży Chełmno, a gdzie Chełmsko.

– Tam jest miejsce. To były groby na dwie osoby, to znaczy na dwie trumny. Ja myślałam wtedy, że ten drugi poziom będzie dla mnie, ale los inaczej zdecydował...

Znowu się rozplakała.

Sonia wyjęła paczkę chusteczek higienicznych. Były trochę pomięte, ale nienapoczęte.

– Tam rodzice Jana leżą w jednym grobie, a on w drugim. Miejsce nad nim jedno, ale teraz... teraz można... ciało... do urny. I wtedy na tę jedną półkę da się więcej wstawić. Jak pani by zrobiła? – Spojrzała na nią.

– Ja... – Kranz nie do końca zrozumiała, czy dylemat dotyczy bardziej kremacji, czy kremacji i miejsca pochówku, a może jednego i drugiego, i jeszcze tego, czy potem do Jana i Zuzy ma dołączyć Maryla, a może także Grzegorz. – A mąż co mówi?

– Grzegorz mówi, że to moja decyzja.

Wydawała się tym zdziwiona, bo pewnie w niewielu sprawach to ona miała ostateczny głos.

– Ja naprawdę... – zaczęła Kranz i nagle urwała. – Przepraszam, bo to nie na temat – dodała – ale dlaczego przeprowadziliście się państwo z Chełmska tutaj?

Marylę Korczab to pytanie wytrąciło z dotychczasowego wątku.

– Słucham?

– Dlaczego już nie mieszkacie w Chełmsku?

– Tak wyszło, Grzegorz wolał tu. Mówił, że tu lepiej, bo lepszy dojazd do Wałbrzycha, blisko granicy, więcej cywilizacji. Ja lubiałam tam być, mam stamtąd dobre wspomnienia.

A stąd, zanim Zuza umarła?, pomyślała Kranz.

– Niektóre sceny pamiętam do teraz, są takie... jak namalowane. Jakby się wczoraj zdarzyły. I małą Zuzię, i spacer, i zabawy w ogrodzie...

– To zostaje na całe życie. – Kranz wciąż brzmiała pretensjonalnie, ale nic nie mogła na to poradzić. Zresztą Maryli Korczab to nie przeszkadzało. – Te dobre rzeczy. Za to złe się zapomina – dodała, bo ten truizm zawsze w takiej parze występował. Czowała potrzebę mówienia. Cisza przerastała jej możliwości towarzyszenia matce Zuzi w smutku.

Korczab znowu na nią spojrzała. Przez chwilę milczała. A potem się odezwała:

– Czasem tak bardzo chce się zapomnieć, że naprawdę się nie pamięta.

– Będzie pogrzeb. – Kranz przywitała Ranika i Majkowskiego. Sierżanci siedzieli przy swoich biurkach. – Trzeba iść. Bo raz, że wypada, a dwa, warto się przyjrzeć tym, co się zjawia.

Majkowski wstał od biurka. Chyba mu przeszkadzało, że on siedzi, a ona stoi. Ranik nie miał takich uprzedzeń. Usiadł tylko trochę schludniej.

– Msza tutaj, ale pogrzeb jeszcze nie wiadomo. Ojciec Zuzy, ten biologiczny, leży na cmentarzu w Chełmsku, obok swoich rodziców. Matka się zastanawia, czy tam nie pochować córki.

– W sumie... – uznał po chwili Ranik. – Skoro oni wszyscy tam... Tyle że to w ogóle jakieś dziwne, że tak brat po bracie...

Krzysiek miał brata. Fakt, byłoby cholernie dziwnie.

– A jak rozmowa z Anną Wojtyszek? – odezwał się teraz Majkowski.

– Dobrze. To znaczy do sprawy nic nie wniosła, powtórzyła to, co w zeznaniach, ale tematy historyczne były interesujące. Ona się doktoryzowała z tych terenów. Zawodowo zajmuje się wysiedleniami.

– Dziwne, że chciała tu wrócić – stwierdził Ranik. – Po tym, co ją tu spotkało. Teraz to się tyle mówi o tym petesede.

– Petesede. *Post-traumatic stress disorder*. Zespół stresu pourazowego – poprawiła go.

– No właśnie. I dlatego dziwne.

– To pomyślcie sobie, co przeżywali ci wszyscy, co byli ciągnani: jedni ze wschodu na zachód, drudzy z zachodu na jeszcze dalszy zachód. Jak oni się po tym zbierali? – zapytał Majkowski.

– Straszne przeżycia, ale to nie to samo, co być napadniętym i zgwałconym. No, tutaj do tego nie doszło, ale prawie. – Ranik mimo wszystko nie wydawał się przekonany.

– Tam dochodziło – odparła Sonia. – W ludziach były skumulowane wielkie emocje. Polacy odbijali sobie swoją krzywdę na Niemcach. Zdarzały się napaści, wykorzystania, kradzieże, a gwałty to była specjalność żołnierzy radzieckich. Wiele Niemek tego doświadczyło.

– Czytałem o tym. Koszmar. – Majkowski pokiwał głową.

Ranik nic nie powiedział. To chyba były to dla niego nowe wiadomości.

– Zachowanie Anny Wojtyszek może wydawać się trochę dziwne, ale skoro ona wie tyle o tym, czego doświadczali tutaj ludzie, to może własne przeżycie aż tak jej nie zdewastowało – dodała Kranz. – W każdym razie wydaje się, że naprawdę nie ma traumy. Powiedziała nawet coś takiego, że uznała to za znak: że ma tu jeszcze przyjechać, zajmować się historią tych ziem. Bo ostatecznie wyszła z tego cało, dlatego, że ktoś zareagował, nie był obojętny.

– No nie wiem, mnie raczej wygląda na to, że chce coś sobie udowodnić. Że się nie boi albo coś takiego. – Ranik wciąż pozostawał sceptyczny.

Kranz początkowo też miała taką myśl, jednak Anna Wojtyszek wydawała się silną osobowością, zdeterminowaną. Zatem mogło być tak, że historie tych ziem bardzo ją interesowały, a nad tamtą napaścią, która przecież nie zakończyła się dramatycznie i w sumie trwała bardzo krótko, przeszła do porządku dziennego. Naprawdę wiele zależało od charakteru i wcześniejszych doświadczeń.

– Może. Nie prowadzę obserwacji psychologicznych. – Nie zamierzała już przekonywać Ranika.

– À propos. Przyszła informacja na mejla, że druga opinia nie wykazała u Wojciecha Rudy choroby psychicznej. – Mina Majkowskiego zdradzała, co o tym myśli.

– O – odparła tylko, no bo jak inaczej miała to skomentować.

– O. – Majkowski pokiwał głową.

– Oni chyba wiedzą, jak jest naprawdę, nie? – wtrącił Ranik. – Czasem się nad tym zastanawiam, bo tu przecież nie ma takich objawów, jak wysypka czy temperatura. Żadnych twardych dowodów. No i zdarza się tak, że jedna opinia potwierdza, a druga zaprzecza.

– Będzie trzecia? – Majkowski spojrzał na Kranz.

– Będzie. – Pokiwała głową. – Zdecyduje matematyka.

– Ja to już nie wiem. – Ranik też w końcu podniósł się z krzesła. – Z jednej strony wiadomo, że z Wojtka taki wioskowy głupek, to znaczy przepraszam za wyrażenie, no ale tak jest, a z drugiej, kto może wiedzieć, co mu siedzi w głowie? Zawsze spokojny, ale przecież się chyba orientował, że ludzie się z niego naśmiewają. Kozioł ofiarny taki trochę. To może coś w nim strzeliło? Znaczący pękło? I poszło! Poza tym to facet, czyli wiadomo, że ma potrzeby, a jak je zaspokoić, skoro żadnych szans na normalny związek? Ja nie mówię, że z tym psem to też mógł być on...

– Żadnych dowodów. Żadnych, tylko słowa Dębskiego, który zresztą już potem nie był pewien tego, co widział – przypomniała mu Kranz.

– No okej. Ale jakoś przecież musiał dać ujście swojej żądzy.

– „Najlepiej się mam sam ze sobą na sam” – rzuciła, ale gdy posłał jej spojrzenie, zrozumiała, że nie słuchał Maleńczuka. W sumie byłoby dziwne, gdyby go lubił. Dlatego dodała: – Są sposoby. Samodzielne.

– A, no tak. Ale to... – Ranik się speszył.

– Najprostsze. Na pewno korzystał.

– No ale jednak to coś innego – zaoponował. – Chodzi mi o to, że na widok tej dziewczyny coś się w nim odezwało i nie wytrzymał...

– I zawsze miał w kieszeni prezerwatywy. – Kranz zakpiła.

– No nie. – Ranik znowu się wycofał. – Ale może ją śledził? W każdym razie tam był, to jest fakt.

– Tak, to fakt. Z faktami trudno się dyskutuje. – Majkowski wreszcie się odezwał.

„Warto rozmawiać”. To był program, który matka Kranz lubiła oglądać. Nawet powtórki. Głośno komentowała to, co się działo w studiu. Próbowiła też wciągnąć córkę do dyskusji, ale bez efektu. Sonię irytował prowadzący, matka zresztą też, bo zawsze miała zero-jedynkowe opinie, ale siłą rzeczy uczestniczyła w oglądaniu, bo

telewizor był włączony, a duży pokój duży tylko z nazwy. Matka zresztą używała zwrotu „warto rozmawiać” w różnych życiowych sytuacjach, niby jako zaproszenie do rozmowy, choć potem następował monolog potwierdzający jej tezy. Powiedzenie jednak się utrwaliło. Te rodzinne migawki pojawiały się znienacka, jakby ją prześladowały. Może to był znak, że już długo z nią nie rozmawiała?

– Mahomet nie może do góry, no to góra do Mahometa przyjdzie.

A jednak. Kranz miała intuicję. Albo sprawdził się mechanizm, który Magda nazywała samospełniającą się przepowiednią. Mogła nie odebrać, ale potem przez cały czas by się denerwowała, że nie oddzwania.

– Cześć, mamó, przepraszam cię, ale jestem teraz bardzo zajęta.

– Mówiłaś, że to spokojne miejsce, że odpoczniesz. Co by ci się przydało, bo porzucenie przez męża to jednak okropne przeżycie.

Jakby, kurwa, zapomniała, że Krzysiek sobie poszedł. To znaczy poszła sobie ona – w odstawkę i w tę dzicz. Już się zdenerwowała. Już poczuła lepka mokrość pod pachami, a przecież ich rozmowa trwała dopiero minutę.

– Mieliśmy tu morderstwo. Zginęła dziewczyna. – Starła się o opanowany ton.

– Boże! I ty to tak na spokojnie mówisz? Czy tam jest bezpiecznie? Na pewno nie, przecież to głusza! Ludzie tam nie chcą mieszkać, czytałam, jak te miejscowości się wyludniają.

– W całej Polsce różne miejscowości się wyludniają. Polska się wyludnia. Młodzi ludzie wyjeżdżają, starzy umierają, nowi się nie rodzą.

– Rodzą. Twojemu mężowi urodzi się dziecko.

Czasem Sonia miała nadzieję, że matka jest neuroatypowa. Tak się teraz chyba mówiło na osoby, które funkcjonowały inaczej niż ogół i nie z własnej winy nie rozumiały konwenansów społecznych. Albo tego, żeby nie dowalać własnej córce, nawet jeśli polegało to na mówieniu prawdy – po raz enty tej samej.

– Rozmawiałaś z Julką? – rzuciła.

– To chyba nie jest zabronione.

– Nie jest. Po prostu się dziwię, bo...

– Bo nic ci nie powiedziała? Siedzi sama, myślałam, że tylko się nudzi, a tu się okazuje, że może jeszcze jest w niebezpieczeństwie.

– Nic złego jej się nie stanie.

Kranz powiedziała to, sama się do tego przekonując. Przecież wciąż kazała Julce zamykać dom od środka.

– Teraz masz tylko ją. Wiesz, co by było, gdyby...

– Jezu, mamó! – Sonia jednak wybuchła. Nie dała rady. Zawsze sobie obiecywała, że tym razem zachowa zimną krew, ale nie zawsze się udawało. Ostatnio coraz rzadziej.

– Widzę, że jesteś zdenerwowana.

Matka za to trzymała nerwy na wodzy. Potrafiła to, w końcu ćwiczyła przez całe życie.

– Bo jestem zmęczona pracą. To naprawdę odpowiedzialna robota i...

– No tak, co ja mogę wiedzieć, przecież nie pracowałam, w końcu opieka nad tobą i domem to nie była praca.

Jakkolwiek by nie zaczęły rozmowy, po jakimś czasie i tak kończyły na tym wątku.

– Mamó, po co my to znowu...

– My? Ja się tylko bronię, bo ty mnie ciągle atakujesz.

– Nie atakuję cię.

– Jeszcze powiedz, że to mnie się coś roi.

– Mamó, po prostu fakty są takie...

– Fakty! Fakty! Może i takie są fakty, ale ja je pamiętam całkiem inaczej.

– Okej. Zgoda. Posłuchaj, zaraz skręcę w naszą dolinę i stracę zasięg. Porozmawiam z Julką. Może by do ciebie przyjechała?

– Mój dom jest zawsze dla was otwarty.

Te słowa były tak samo chłodne, jak powietrze od zacienionego bukami strumienia, które wpadło przez otwarte okno.

– Pójdę z tobą na pogrzeb.

Ton był raczej oznajmujący niż pytający.

Nie mogła odmówić, choć chciałyby. Wolałyby trzymać Julkę jak najdalej od tej sprawy, ale byłoby to nie w porządku wobec córki, przecież Zuza stała się jej bliska.

– Jeszcze nie ma daty, ale tak, jasne. Tylko pamiętaj, że ja tam będę także zawodowo. Może się zdarzyć, że będziesz musiała poczekać gdzieś z boku, że nie będziemy przez cały czas razem.

– No okej. Tylko ja nie mam nic czarnego. To znaczy nic letniego czarnego.

– Słuchaj, ja nie mam teraz czasu jechać do Wałbrzycha. Coś na pewno znajdziesz. Koszulę, bluzkę... A jeśli nie, włóż po prostu coś ciemnego albo stonowanego. Wystarczy, naprawdę. Liczy się obecność.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Rozmawiałam z babcią. – Kranz postanowiła kuć żelazo, póki gorące. Mimo wszystko wolała, żeby córka była teraz daleko stąd.

– Ja też.

– Chcesz do niej jechać?

– Gdybym miała jakiś wybór...

– Ale nie masz. Przykro mi, tak to wygląda. Ojciec, znaczy tata, może rzeczywiście zabierze cię gdzieś w sierpniu, ale teraz jest początek lipca. I widzisz, jak się sprawy mają.

– Ale powiesz babci, że mogę wychodzić sama? I wracać do dwudziestej drugiej?

– Do dwudziestej pierwszej. Zanim się zrobi ciemno.

– Zawieziesz mnie do niej – negocjowała dalej Julka.

– Zawiozę. Ale nie zostanę, nawet na jedną noc. Wiesz, że teraz nie mogę się wyrwać.

– Wiem. Nawet nie będziesz musiała okłamywać babci.

W nocy Sonia wybudzała się kilka razy. Śnił jej się Pospieszalski, który stał nad nią i powtarzał: „Fakty, fakty”, a ona nie mogła wydobyć z siebie głosu. Później dołączyła do niego matka. W ręku miała duże kolorowe zeszyty – na wierzchu leżały

kolorowanki antystresowe, które bardzo lubiła. Kupiła kiedyś coś takiego Soni w prezencie, a ona spróbowała, naprawdę. Wzięła kredki od Julki i w wolny wieczór usiadła przy stole. Po kwadransie była spięta i podenerwowana, a to, co zamalowała, wyglądało gorzej niż przeciętnie. „Wiem, że tego nie lubisz, dlatego dla ciebie mam coś innego”, matka odsunęła Pospieszalskiego, a on nie zaprotestował. Wyjęła inną broszurę spod spodu. *Połącz kropki*. Tym katowała ją w dzieciństwie. Patrzyła, czy córka bierze ołówek do prawej ręki i czy równo i dobrze prowadzi linię. Kiedy Sonia się buntowała, bo ją to nudziło, a prawa ręka nie była tak sprawna jak lewa, matka mówiła: „To dla twojego dobra”. Sonia podniosła się i usiadła przy stole. Była zasnana, ale nie chciała już się kłócić. „Starannie, no rysuj starannie. I dlaczego lewą? Przecież ci tłumaczyłam. No dobra, dalej”. Cyferki się rozmazywały, bo w pokoju panował półmrok. Sonia trzymała ołówek w ręku i zbyt mocno go dociskała. „No, łącz te kropki”, w głosie matki słyszała dezaprobatę. „Fakty też łącz”, odezwał się Pospieszalski. „Nic jej nie wychodzi, no nic”, matka ze smutkiem pokręciła głową. „Faktycznie”, Pospieszalski zaśmiał się ze swojego dowcipu.

Sonia się wybudziła. W pokoju było chłodno, ale ona miała mokre plecy.

To był tylko sen, katalizujący jej stresy, ale czuła, że jest coś, co przeoczyła. Jakaś kropka, którą pominęła – nie na kartce, tylko w rzeczywistości.

W pierwszej ławce siedziały dwie czarne postaci – Maryla i Grzegorz Korczabowie. Wyglądało na to, że nie mają żadnej bliskiej rodziny, która by teraz dzieliła z nimi ból po śmierci córki.

Kolejne ławki były gęsto zajęte.

Oczywiście ludzie się tu znali, choćby z widzenia. Kranz pomyślała, że w mniejszych miejscowościach wciąż panuje zwyczaj żegnania zmarłych, nawet jeśli nie pozostawało się z nimi w zażyłych relacjach. Było w tym coś krzepiącego. W dużych miastach często zdarzało się tak, że ludzie z jednego bloku czy apartamentowca, bo teraz, patrząc po nazwach, bloki przestały powstawać, nie kojarzyli swoich sąsiadów.

Z tyłu, za ławkami, zebrała się grupa dzieciaków – z klasy Zuzy. Julka też do nich dołączyła, trzymała się jednak trochę z boku. Niby nic dziwnego, przecież

znała ich dość krótko, Soni jednak przebiegło przez głowę, że dystans może wynikać również z tego, że to ona prowadzi śledztwo w sprawie śmierci dziewczyny.

Wciąż bez efektu. Wieści o zatrzymaniu Wojciecha R. na pewno się rozeszły i może uspokoiły Wałbrzych, ale tu przecież wszyscy wiedzieli, jak jest. „Wioskowy głupek”. Ranik oddał zbiorowe myślenie. Nawet jeśli ludzie wierzyli, że to mógł być Wojtek, jego aresztowanie nie zaspokoilo ich potrzeby sprawiedliwości, dopełnienia: popełnił przestępstwo, a teraz czeka go kara. Trudno było czuć satysfakcję z ukarania kogoś takiego jak on – i tak już przetrąconego przez los.

Kranz cały poprzedni dzień przeglądała to, co udało jej się do tej pory zebrać.

Z listy podejrzanych wykreśliła Piotra Dębskiego i Rybaka, który w końcu zmiękł i zgodził się na porównanie śladów na niedopałku. Okazało się, że to nie on palił papierosa znalezione w domu byłego nauczyciela.

Sprawy dwóch gwałtów i trzeciej napaści wciąż znajdowały się na tym etapie, co wcześniej – czyli porażki śledczej.

W notesie został tylko ojciec Zuzi. To znaczy był tam jeszcze rano, bo pół godziny później z sekretariatu firmy Staltechwet przyszedł mejl ze zrzutami ekranu korespondencji Grzegorza Korczaba z czeskimi kontrahentami. Cztery potwierdzenia czterech spotkań. Trzy po angielsku, jedno po czesku. Właściwie nie było potrzeby uruchamiania angielszczyzny, oba narody dobrze się rozumiały. „Dekuji za setkani”. Wszystko jasne, Tereza Neczasova nie musiała się wysilać. Korczab też nie. Chyba nie był poliglota, bo trzy razy odpowiedział tym samym zdaniem po angielsku, a Neczasovej – po polsku: „Dziękuję, będę szukać”. Na tym tekst się kończył – nie dowiedziała się czego, jakich narzędzi czy urzędzeń.

– Przybądźcie z nieba na głos naszych modlitw, mieszkańcy chwały, wszyscy święci Boży...

Dźwięk organów wyrwał ją z zamyślenia.

Korczabowie wstali. Ona się zachwiała, on ją podtrzymał. Chciał zdjąć urnę z katafalku, ale powstrzymała go ruchem ręki. Powoli, jakby trzymała cienkościennie szkło, przytuliła do siebie pojemnik z jasnoróżowego kamienia. W tym geście było tyle czułości i bólu, że Kranz się poddała. Odchrząknęła i sięgnęła do kieszeni sukienki po chusteczkę, a potem, jeszcze w kościele, włożyła ciemne okulary przeciwsłoneczne.

Nagrobek był prosty, lastrykowy. „Jan Korczab, 1948–2013”. I zdjęcie obok. Górna płyta odsunięta. Ciemna wnęka czekała na prochy Zuzanny Korczab.

Grabarz zaś czekał, aż Maryla Korczab przekaże mu urnę.

Kranz obserwowała tę scenę z boku. Wolała nie wystawiać się na spojrzenia. Nikt niczego nie powiedział, nie dał odczuć, ale na pewno gadali o nieudolności policji.

Niżej, z dołu, wypatrzyła Majkowskiego i Ranika. Stali obok siebie i nie rozmawiali. Julka nadal była z koleżankami i kolegami. Sonia zabrała ją do auta, żeby nie zajmowała miejsca w wynajętym autokarze, ale na cmentarzu córka dołączyła do grupy klasowej.

Nikt i nic nie wzbudziło podejrzeń Kranz. Było jak na pogrzebie. Jak na cholernie smutnym pogrzebie, na którym matka chowa dziecko.

Facet w czarnej marynarce w końcu umieścił urnę w dole. Matka Zuzy zgięła się wpół, mąż ujął ją pod ramię.

Oboje wyglądali na załamanych. Matka wzięła trochę ziemi w dłoń, ale zamiast ją wrzucić, uklękła i wsunęła dłoń w otwór. Niech ci ziemia lekką będzie – to właśnie oznaczał ten gest. Tu nie było trumny, dlatego w kościele ksiądz nie okadzał i nie kropił urny – tak się robi tylko w przypadku ciała, które wciąż jest ciałem. Jeśli piec przyspiesza „obracanie w proch”, tych rytuałów się nie wykonuje. Kranz sprawdziła to w internecie po tym, jak pierwszy raz wybrała się na pogrzeb z urną – kilkanaście lat temu, kiedy ojciec jeszcze żył. Gdy umarł, matka nie zgodziła się na kremację. „Normalnie musi być”, powiedziała. To było normalnie – żona i córka, a po drugiej stronie kochanka. Skąd Sonia wiedziała? Widać takie rzeczy po prostu się wie. Zresztą ta kobieta była w czerni i płakała. Matka nie wykonała żadnego gestu w jej stronę. Sonia zaś poszła za nią po zakończeniu ceremonii. Dotarła do części dziecięcej cmentarza.

Jej przyrodni brat nazywał się Tomek.

Grzegorz Korczab sypnął kilka grudek ziemi do grobu i delikatnie przesunął żonę, żeby zrobić miejsce innym żałobnikom. On patrzył na składających im kondolencje, wzrok jego żony był wbity w ziemię.

Sonia nie podeszła. Kilka razy już powiedziała matce Zuzi, że jest jej bardzo przykro. Teraz powinna się zjawić z informacją o mordercy.

Wypatrzyła Julkę; stała wśród rówieśników. Szykowali się, żeby złożyć kondolencje, ale na razie wszystkich przepuszczali. To musiał być dla nich stres, dla Julki największy. Sonia nic nie mogła na to poradzić. Widać teraz był taki czas, że jej córka musiała szybciej dorastać, a ona ją wspierała, jak potrafiła, ale przeżyć za nią tego nie mogła.

Wysłała jej SMS: „Czekam w podcieniach”, i zaczęła schodzić w stronę rynku.

Dochodziło południe i upał stawał się nieznośny. Jej czarna lniana sukienka zwilgotniała na plecach. Kiedy komisarz doszła do kamienic po północnej stronie placu i schowała się w cieniu, poczuła dreszcz i tę wilgoć właśnie. Od grubych murów ciągnęło chłodem. Widziała przedwojenne zdjęcia – kiedyś stały tu ławki, na których się siadało, by odpocząć i oglądać życie w miasteczku. Teraz było pusto.

Zacząła iść w kierunku wylotu na Kamienną Górę. Po tamtej stronie rynku był sklep spożywczy. Chciało jej się pić. I zgłodniała. Rano wypiała tylko kawę. Noc z tym dziwnym snem dała jej się we znaki – obudziła się zmęczona i z bólem głowy. Teraz napięcie powoli odpuszczało, ale tylko to związane z pogrzebem.

Kolejna opinia na temat poczytalności Rudy miała być za mniej więcej dwa tygodnie. Bez względu na jej brzmienie zbrodnia zostanie przypisana „wioskowemu głupkowi”. Czy postawią mu zarzut zabójstwa lub współuczestnictwa – decyzja prokuratora pozostawała dla Kranz zagadką. Czasem wydawało jej się, że patrzy w jednym kierunku, a czasem, że jednak nie. „Bez względu na wszystko jego obecność na miejscu zbrodni jest faktem”, powiedziała Mitaj poprzedniego dnia, kiedy rozmawiały przez telefon. „Faktem”. Same cholerne fakty, które nie chciały dać jasnych odpowiedzi. „Niezaprzeczalny punkt wyjścia”, to też było o Rudzie. A dalsze punkty?

Dotarła do końca podcieni, przekroczyła ulicę i weszła do sklepu spożywczego. Wyjęła z lodówki wodę mineralną, a z kosza na pieczywo dużą, apetycznie wyglądającą bułkę – żadna tam blada kajzerka, tylko wypieczony konkret.

– Pani z tego pogrzebu, co dziś przyjechał?

Starszawa kasjerka nachyliła się ku niej. Było w tej kobiecie coś takiego, że ciekawość zmieniała w pełne współczucie zainteresowanie.

– Tak. – Kranz położyła na ladzie banknot dziesięciozłotowy.

– Tragedia. Istna tragedia. Starzy powinni umierać, nie dzieci. To jakiś wypadek? Ja przepraszam, ale mnie to naprawdę tu tak ściska. – Dotknęła obfitego biustu.

– Wypadek – mruknęła.

Zgarnęła resztę, kiwnęła głową i wyszła ze sklepu. Przy wejściu zderzyła się z kimś ramieniem. Nim zdążyła się obrócić, usłyszała:

– Dzień dobry!

To była Anna Wojtyszek.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

Historyczka wyglądała bardzo ładnie. Znowu w lnianej sukience, teraz zielonej. Była uśmiechnięta i pogodna.

– Tym razem jest tu pani zawodowo czy prywatnie? – zapytała.

– Na pogrzebie.

– Och, przepraszam, przykro mi – spieszyła się. – Jeśli to ktoś bliski, proszę przyjąć wyrazy współczucia. – Naprawdę się przejęła.

– Odległa znajomość, ale dziękuję.

– No tak. – Wyraźnie jej ulżyło. – To zawsze przykre, prawda? A przy okazji, oczywiście jeśli pani ma teraz czas, sprawdziłam ten grób.

Kranz spojrzała na komórkę – Julka nic nie odpisała. Przeniosła wzrok na uliczkę prowadzącą do kościoła – była pusta, czyli żałobnicy wciąż znajdowali się na cmentarzu.

– Chętnie, tylko może tam? – Skinęła głową na podcienia. – I pani chyba szła do sklepu?

– Tak. Kupię tylko chleb, bo potem może nie być, i zaraz wracam.

Korzystając z chwili samotności, Sonia urwała kawałek bułki. Smakowała jeszcze lepiej, niż wyglądała.

– Jestem. Trochę czuć tu smutkiem, prawda? – zapytała historyczka, gdy znalazły się w cieniu.

– Tak. Ładne, ale smutne miasteczko.

– Wieś, bo zdegradowali je w czterdziestym piątym. Teraz to wieś, z rynkiem i kamienicami z osiemnastego wieku. Takie kuriozum.

– Rzeczywiście dziwnie.

– Zdziwienie to cecha tych terenów, a co do tego grobu... Byłam na cmentarzu, zaintrygowała mnie pani. Rzeczywiście, nagrobek jest nowy. Poszukałam informacji na temat tej Britte Lindner i okazało się, że mam ją w swoich papierach. Przewi-

nęła się podczas przeglądania spisu ludności. Opuściła Schömberg, czyli obecne Chełmsko, w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku jako jedna z ostatnich. Jej rodzina, to znaczy osoby o tym samym nazwisku, wyjechały na jesieni czterdziestego siódmego. Nie wiem nic więcej o jej losie, ale nie wykluczam, że jeszcze do tego wrócę, bo to ciekawa historia.

W torebce Soni rozdzwonił się telefon. Julka.

– Mamo, już. Gdzie są te podcienia?

– Podcienie. Na wprost wyjścia z kościoła. Tam, gdzie ładna zielona kamienica. Czekam. – Rozłączyła się i spojrzała na historyczkę. – Córka. Razem byliśmy na pogrzebie.

Kobieta kiwnęła głową.

– W tej ładnej kamienicy był przed wojną hotel. Zum Goldenen Löwen. Teraz jest tu wiejski dom kultury. No nic, nie zatrzymuję pani. Gdybym coś jeszcze o tej Britte znalazła, dam pani znać. Do widzenia.

Kranz patrzyła, jak Anna Wojtyszek idzie w kierunku domów tkackich. Lekko i z wdziękiem.

Julka, o dziwo, też wyglądała całkiem dobrze. Miała zaczerwienione oczy, ale spojrzenie spokojne.

– Mama Zuzi mnie przytuliła – odezwała się sama z siebie, niepytana. – Nic nie powiedziała, ja też. Ulżyło mi, wiesz? To było takie... no nie wiem, jakieś dobre. Płakała, ja też, ale czuję ulgę.

Sonia – wręcz przeciwnie.

Wracały powoli. Kranz postanowiła, że pojedą dziś na obiad do Sokołowska. Nie miała siły nic gotować. Chciała usiąść przy stoliku i spędzić trochę czasu z Julką. Zwyczajne popołudnie, choćby przez dwie godziny.

W lokalu było sporo osób, ale znalazły wolny stolik.

– Teraz ty. Czyste ręce to podstawa – powiedziała do córki, gdy wróciła z łaźienki.

– Okej, higienistko.

Cieszyła się z nastroju Julki, ale wiedziała, że zjazd może nastąpić już dziś wieczorem, kiedy wrócą do domu.

Myślała o tym, czego się dowiedziała o nieznajomej z nagrobka. Dlaczego ta Britte chciała tu wrócić? Zwykle, jak mówiła historyczka, Niemcy doświadczeni tutaj złego. Zwłaszcza Niemki. Gwałty, przemoc, prześladowania. Zwycięzcy brali odwet na zwyciężonych. Od tego się ucieka, chce się to zatrzeć w pamięci. Miała ostatnio dwa takie przykłady. Co może człowieka ściągać, przyciągać mimo dramatycznych doświadczeń, których Britte musiała być świadkiem, a może i obiektem...? Zwykle magnesem do powrotów jest...

Dźwięk telefonu. „Anna Wojtyszek”.

– Dzień dobry ponownie. Zapomniałam o czymś. Mam jeszcze jedną wiadomość dotyczącą naszej Britte, to znaczy nie tylko jej, ale także jej rodziny. Pewnie bez znaczenia, ale skoro już wiem, to się podzielę.

– Oczywiście, słucham.

Kranz zauważyła, że Julka wychodzi z łazienki.

– Do domu, w którym przed wojną mieszkali Lindnerowie, trafili przesiedleńcy z Podola.

Córka usiadła przy stoliku i się uśmiechnęła. Tak, Kranz była szczęściarą. Wciąż była matką. I dlatego z takim trudem znosiła dotychczasowe niepowodzenia w śledztwie. Zjedzą, wypije kawę i znowu weźmie się do tej sprawy, która...

– Mam nawet ich nazwiska. To byli Aleksander i Maria Korczabowie.

Rozdział 15

„Mój pierwszy mąż był zupełnie inny od reszty rodziny”.

Kranz szła szybkim krokiem. Po telefonie od Anny Wojtyszek cały czas odczuwała napięcie. Nie spodziewała się takiej informacji, no bo skąd? Britte Lindner była po prostu ciekawą sprawą, historyczną, zupełnie obok śledztwa.

A jednak zostawiła ją w pamięci podręcznej. To mogła być przypadkowa zbieżność. To pewnie była przypadkowa zbieżność. Co mówiła teoria o łańcuchu znajomych? Że wystarczy sześć osób, żeby odnaleźć kogoś znajomego?

Zjadła swoją pizzę w kilka minut. Julka patrzyła na matkę z lekkim zdumieniem. „Gryź powoli”, „trawienie zaczyna się w ustach”, „jedzenie to nie sprint” – tym ją przecież karmiła, prócz podawanych posiłków.

Ale Sonia nagle poczuła się cholernie głodna. Jej organizm zaczął pracować na wyższych obrotach. Zawsze, kiedy intensywnie nad czymś myślała, miała solidny apetyt. Wypiła espresso, choć nie musiała – senność zupełnie ją opuściła.

Odwiozła Julkę do domu, a sama poszła na spacer. Zapuściła się w głąb ich doliny. „Ich”. Coś było w tych terenach, że ją tak przyciągały. Kiedy przyjechała tu pierwszy raz, mimo niewesołych okoliczności poczuła znajome mrowienie, sygnał, że jest tu coś, co z nią współgra. Może sieroctwo? Ona nie była sierotą, ale często w dzieciństwie czuła się samotna. Ojca brakowało fizycznie, matki – psychicznie. Tych ziem nikt po wojnie nie kochał, nikt ich nie traktował z czułością. Mimo nowych wyrysów na mapie dla nikogo nie były już ojczyzną. Rok wcześniej, kiedy jeszcze miała zwyczajne życie, czytała reportaż z wyprawy na wschodnią granicę. Dziennikarka przez sto dni przeszła trasę z Suwalszczyzny do Bieszczad. Tematem przewodnim były właśnie granice – różne, nie tylko te administracyjne, choć one przede wszystkim. Kranz zapamiętała cytowaną wypowiedź profesora, szefa powojennej komisji delimitacyjnej: żeby nie iść na żadne kompromisy i nie ulegać żądaniom czy prośbom miejscowej ludności. „W pracy, której rezultat ma trwać setki lat, nie można powodować się motywami wynikającymi z interesów jednego pokolenia”.

„Jednego pokolenia”. Może oni naprawdę myśleli, że skończy się na jednym pokoleniu, ale teraz przecież było już wiadomo, że to nieprawda. Że tamte decyzje przeszły na dzieci i wnuki. Że wiele decyzji przechodzi na dzieci i wnuki.

Po jakimś czasie natrafiła na stary sad. Tak tu właśnie wyglądało – ślady starego miały różne formy. Natura zrobiła swoje, ale przez kilkadziesiąt lat nie zdołała całkowicie przykryć oznak dawnego życia. Drzewa zdziczały i rozrosły się, bo nikt ich przez kolejne dekady nie formował, a mimo to owocowały. Jabłka były zielonkawożółte. Kranz nie miała pojęcia, jaki to gatunek. Zerwała jedno. Ugryzła. Okazało się całkiem dojrzałe i nawet smaczne. Owszem, miało jakieś kropki i nieforemny kształt i było zaprzeczeniem unijnych wytycznych, ale w jego smaku wyczuła... prawdę. Tak pomyślała: „prawdę”. Smak dzieciństwa, letniego sadu, braku oprysków. Zawsze lubiła jabłka, ale jeśli miała jeść ligole z supermarketu, które kubki smakowe identyfikowały jako rozwodniony sok o posmaku tektury, to wolała w ogóle zrezygnować z jabłek.

Zatem Jan Korczab był inny od reszty Korczabów. Czasem tak bywa. Przecież ona, Sonia Kranz, też jest zupełnie inna niż jej rodzice. Mógł daleko odskoczyć od rodzinnej jabłoni. Mogły się w nim odezwać geny dziadków. W rodzinach zdarzają się odmieńcy, czarne owce wśród bieli. Choć z opisu Maryli Korczab wynikało raczej, że on był białą owcą w czarnym stadzie. No, może nie tak ostro, ale jego biel była na pewno najczystsza i najjaśniejsza.

Wróciła do domu. Julka spała. Dużo ostatnio spała. Prawo wieku nastoletniego i pewnie objaw stresu. Nie budziła jej. Zjadła samotną kolację, wzięła szybki prysznic i położyła się do łóżka.

Obudziła się po dziesięciu godzinach. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz zdarzył jej się tak długi, nieprzerwany sen. Chyba w liceum.

Julka wciąż była nakryta kołdrą, ale talerz w zlewie świadczył o tym, że wstała w nocy.

Kranz postąpiła chwilę nad łóżkiem, obserwując rytmiczne oddechy córki. Potem zamknęła dom i ruszyła do Mieroszowa.

Ciągnęło ją na Powstańców. Chciała porozmawiać z Korczabem na temat historii jego rodziny. Wykreśliła już go z grupy podejrzanych, ale z nim było jak z tą Britte – siedział z tyłu głowy.

Nie próbowałyby nikomu opowiadać o roli intuicji podczas śledztwa – kiedy robiła to kobieta, zawsze wywoływała uśmiech, jakby zachwalała szklaną kulę i kota, a przecież chodziło o coś zupełnie innego. O nieświadome posługiwanie się przesłankami, dochodzenie do rozwiązania niejako mimochodem, tyle że to „mimochodem” stanowiło wynik wielu lat doświadczenia. Było twardym dyskiem mózgu, który działał non stop, a o wynikach informował od czasu do czasu.

Przed bramą ani na podwórku nie zauważyła samochodu. Zawahała się, ale naciśnęła klamkę furtki. Ustąpiła, więc weszła na podwórko. Nie musiała nawet pukać do drzwi, bo Maryla Korczab przez okno dała znak ręką, że ją widzi. Po chwili wyszła do Soni. Miała na sobie czarną sukienkę, która bardzo podkreślała bladość jej twarzy. Wydawało się, że przez ostatnie dni jeszcze schudła.

– Stało się coś? – zapytała. – Tak wcześniej pani przyjeżdża.

Może to poczucie winy dało znać o sobie, ale Kranz usłyszała w tym pytaniu napięcie oczekiwania, jakby matka Zuzi miała nadzieję, że właśnie złapali mordercę jej córki i pani komisarz zaraz ją o tym poinformuje.

– Nie, nic – odparła. – Chciałam tylko zamienić kilka słów z pani mężem.

Maryla Korczab delikatnie ściągnęła łopatki. To się Soni nie przywidziało – zawsze kiedy o nim rozmawiały, Korczabowa wykonywała jakiś gest świadczący o napięciu ciała. No ale przecież poprzedniego dnia na cmentarzu wyglądali na żytych, złamanych wspólnym doświadczeniem straty.

– Nie ma go. Pojechał do pracy wcześniej rano.

– Myślałam, że może dziś... – Kranz nie dokończyła. Nie miała przecież pojęcia, jak sobie radzić z żałobą po śmierci dziecka. Każdy przeżywa to inaczej.

– Do Czech. Wtedy nie dokończył projektów i teraz chce się tym zająć. Mówi też, że jazda go uspokaja, zajmuje myśli. Ja też pójdę do sklepu. Wie pani, nawet jeśli nikt nie przychodzi, to ja patrzę przez okno i widzę ludzi. Widzę ruch. To znaczy, że świat nadal istnieje. I że ja nadal żyję.

Sonia pomyślała, że Maryla Korczab nawet nie wie, jak trafnie czasem oddaje rzeczywistość.

– Możemy przez chwilę porozmawiać? – zapytała.

– Możemy. Proszę. – Gospodyni wskazała ręką na altanę.

Usiadły na drewnianych ławkach.

– Chciałam zapytać panią o męża.

– Pojechał, tak jak...

– Wiem. Ale nie o tego męża. O pierwszego, o Jana. Powiedziała pani, że był inny. Inny od reszty rodziny?

– Tak powiedziałam? Jeśli tak, to miałam na myśli, że Jan był złotym człowiekiem. – Twarz Maryli Korczab się rozjaśniła. – Takim, jakich nie ma. Wyjątkowym. Każdy w porównaniu z nim byłby inny. Ja, pani, każdy. Weźmy na przykład to, jak on się opiekował rodzicami, zwłaszcza matką. Mówi się, że jak się nie ma córki, to na starość nie ma się dzieci.

Nagle dotarł do niej sens tej wypowiedzi i ucichła. Zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń. Po chwili jednak znowu zaczęła mówić:

– Ojciec, znaczy mój teść, był w nie najlepszej formie. Jak to zwykle mężczyźni: nie dbał o siebie. Palił, od alkoholu nie stronił, choć nie aż tak jak wielu tutaj. Jadł tłusto, no ale żona tak gotowała. W nim się tak dziwnie przemieszało: trochę z Jana, trochę z Grzegorza. W każdym razie w późnym wieku tryb życia dał o sobie znać. Miażdżycza, wieńcówka. Zrobił się niesprawny, a że był postawnym mężczyzną, pracy fizycznej było przy nim sporo. Umarł, a wtedy rozchorowała się ona, znaczy mama Jana. Już wcześniej pojawiały się różne oznaki, ale Jan myślał, że to starość, demencja. Zresztą teściowa była... trudna, tak powiem. Potem jednak okazało się, że to coś innego: alzheimer. Lekarz tłumaczył Janowi, że wszystko, co człowiek robi i mówi, to nie on, tylko właśnie choroba w nim. Choć mnie się wydaje, że takie stany wyciągają z człowieka różne rzeczy, głęboko pochowane. Jak ktoś był dobry, to dobro. Jak zły, to zło. W każdym razie na koniec teściowa takie rzeczy opowiadała, że bolało serce. „Ty nie jesteś moim synem”, tak mu mówiła, a on był lepszy od najlepszej córki.

– A Grzegorz?

– Grzegorz żył swoim życiem, nie interesował się rodzicami. To znaczy nie tak, że ich porzucił, tylko po prostu jeździł, pracował, miał swoje sprawy. Zawsze tak z nim było, że świat odciągał go od domu. A mimo to matka bardziej kochała jego.

Kranz usłyszała w tym zdaniu zawód. I po raz kolejny dowód na to, że pierwszego męża Maryla Korczab kochała – bardziej lub tylko.

– Na przykład na niego przepisała dom. Niby dlatego, że Jan miał wtedy mieszkanie służbowe, bo to było dawno temu. I dlatego, że Grzegorz z nimi został, to znaczy miał tam swój pokój, a Jan odjechał nad morze. Ale to stare historie, nie ma

co do tego wracać... Przepraszam. – Spojrzała na nią. – Chciałabym pójść do pracy wcześniej.

– Tak, oczywiście. – Sonia się podniosła. – Już kończymy. A tak z ciekawości, skoro pani drugi mąż odziedziczył dom, dlaczego nie chciał w nim mieszkać? To byłoby najprostsze rozwiązanie.

Maryla Korczab westchnęła.

– Właściwie to nie wiem. Już pani mówiłam: uważał, że to na uboczu, że tu lepsze położenie, że większa miejscowość. Mnie to dziwiło, bo odległość między Chełmskiem a Mieroszowem nie tak duża, a tam przecież była ojcowizna. Żał się rozstawać.

– Zna pani historię swoich teściów?

– Nie za dobrze. W sumie jakoś o tym nie mówili. Wiem, że przyjechali ze wschodu, jak wszyscy tutaj, ale poza tym to właściwie nic. Teść w ogóle nie był rozmowny. Nie tam żaden zły człowiek, naprawdę. On się po prostu nie udzielał, był wycofany. Teściowa miała pierwszy głos, ale o ich przejściach nie chciała opowiadać. To akurat nie dziwi. Może dlatego Grzegorz nie przywiązał się do tamtego domu? Ja wcześniej straciłam rodziców, w wypadku. Może we mnie jest dużo sentymentów różnych. W Janie też było, to nas na pewno łączyło. Początkowo często tam jeździłam, bo cmentarz. Przy okazji zachodziłam i pod dom, przypomnieć sobie tamto życie.

Kobieta odwróciła głowę. Kranz wydało się, że widzi w jej oczach łzy.

– To ja już... – Chciała się pożegnać, ale tamta chyba nie usłyszała.

– Grzegorz od razu tu się zakorzenił – ciągnęła Maryla Korczab. – Nie wracał do Chełmska, tyle co na Wszystkich Świętych. Ostatnio tylko, z kilka miesięcy temu, pojechał. Do domu właśnie.

– Po co?

– Bo obecni właściciele dzwonili, że jakaś korespondencja. Pojechał, ale zły wrócił. „Zawracanie głowy”, powiedział. „Pomyłka”. On chyba naprawdę nie lubi tamtego miejsca.

Próbowała się dodzwonić do Grzegorza Korczaba, ale nie odebrał. Chciała go zapytać o... W sumie to nie sformułowała tego pytania w swojej głowie. Po prostu

czuła, że facet nie jest szczery. Czy chodziło tylko o jego oślizgły charakter? O jakieś grzeszki czy może o konkretny i ciężki grzech?

Za to do niej udało się dodzwonić Zygmuntowi Kwiatkowskiemu. Poczowała ucisk w żołądku i wyłączyła silnik. Stała pod niebieskim budynkiem posterunku.

– Komisarz Kranz, słucham.

– Nadkomisarz Kwiatkowski.

Bez sensu zagranie, przecież on wie, że ona wie, że to jego numer.

– Na jakim etapie jest śledztwo? – Nie bawił się w kurtuazję.

– Na... Wyeliminowałam Dębskiego. Ta sprawa z Krakowa to była ustawka, porachunki osobiste.

– Na odległość wyeliminowałaś?

– Dzięki współpracy z komisarz Iwoną Kostecką.

Chwila ciszy.

– A jakie efekty współpracy na miejscu?

– Czekamy na trzecią opinię...

– Wiem. Ale to połowa sprawy, i to ta ułomna.

Kwiatkowski nie był subtelny, choć szczery.

– Dla statystyk dobre i to, ale oboje wiemy, że połowy nie są równe – dodał. – Co jeszcze masz? Przecież coś musisz mieć.

– Zajmuję się teraz Grzegorzem Korczabem.

– A z nim co? Nie sprawdzaliście jego alibi? I jaki miałby motyw?

– Są poszlaki wskazujące na to, że mógł molestować Zuzę.

– Poszlaki?

– Informacje od świadka.

– Od kogo?

– Na razie nie mogę...

– Kranz, ja nie wiem, co ty tam robisz, ale od Mitaj mam informację, że facet był daleko od domu i mogą o tym poświadczyć ci, z którymi się spotykał. Tak?

– Tak, ale...

– Nie: „ale”, samo „tak”. Zrewiduj świadków, postaraj się o nowych, wyśpij się, nie wiem. Rób, co chcesz, ale tak, żeby był efekt. Sensowny.

Rozłączył się. Kranz jeszcze przez chwilę siedziała w samochodzie. Czuła, że ma czerwone policzki. Było jej wstyd i była zła. Kwiatkowski zachował się jak cham, ale trochę racji miał. Rację miał jednak także jej wykładowca ze Szkoły Policyjnej, profesor Kulebiak. „Jeśli jakiś element nie daje ci spokoju, nie bagatelizuj go. Nie zostawiaj na potem, nie odkładaj na bok. Zajmij się nim do końca – całkowicie go wyeliminuj lub potwierdź. Odłożone się mści”.

Znowu przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła w kierunku Chełmska.

Znała już tę ulicę – to była ta, która zaczynała się przy wyjeździe z rynku.

Dom, w którym niegdyś mieszkali Korczabowie, stał tuż za mostkiem. Ładny, to znaczy ładnie odnowiony. Miał dwa mankamenty: był zbyt blisko ulicy i zbyt niski. Z czasem poziom drogi pewnie się podwyższał, więc budynek wyglądał na niżej, zwłaszcza że od ulicy widać było tylko parter – dom ustawiono bokiem do drogi.

Weszła na podwórko przez otwartą bramę. Nie musiała pukać, bo w ogrodzie pracowała kobieta. W nieokreślonym wieku: między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Spojrzała na nią ze zdziwieniem, kiedy Kranz się przywitała.

– Dzień dobry – odparła. – A pani w jakiej sprawie...?

Komisarz wyjęła legitymację. I to był błąd, kobieta zbladła.

– Stało się coś? Jurkowi, nie daj Bóg...?

– Nie, nic z tych rzeczy, przepraszam, nie chciałam pani nastraszyć. Szukam informacji o Korczabach, mieszkali w tym domu.

– Dobrze, bo ja od razu pomyślałam, że to jak w filmach: przychodzi ktoś z policji, to ze złą wiadomością. Że ktoś bliski zmarł. A Jurek pojechał autem, do Kamiennej Góry, i coś długo nie wraca... – Kobieta powoli odzyskiwała róż na policzkach.

– Na pewno wszystko jest w porządku – uspokoiła ją Sonia.

– Tak, no tak. A co do tych Kor... Jak to było?

– Korczabów.

– Coś mi to mówi...

– Mieszkali w tym domu.

– No tak, teraz mi się przypomniało. Tylko zaraz, przepraszam, ja się muszę teraz napić. Biorę leki i one mnie odwadniają. I jeszcze to zdenerwowanie. W ogóle taki wiek, że ciągle coś... Może i pani chce się napić?

Chciała, nie było sensu odmawiać. Zresztą takie czynności skracają dystans. Kiwnęła głową.

Kobieta podeszła do stolika ustawionego pod daszkiem przy wejściu i z dzbanka naląła napoju do dwóch szklanek.

– Proszę. Tu przynajmniej cień. – Zachęciła ją ruchem ręki, by podeszła bliżej. – Lemoniada ogórkowa.

– Bardzo dobra. – Kranz szczerze się zdziwiła.

– Prawda? Jurek też tak mówi. Z gazetek o gotowaniu. Czasem coś fajnego się tam trafi. Teraz to wszystko w sieci niby, ale ja lubię tradycyjnie, z prasy lub z książek. Dotknąć, wziąć na leżak do przekartkowania, poczytania. To o co pani dokładnie pyta? Bo ja od razu powiem, że niewiele pomogę. To było z dziesięć lat temu albo więcej. I myśmy się widzieli raz. Dwa, przepraszam. Na oglądaniu i u notariusza.

– Właściwie to interesuje mnie list, który tu trafił. Adresowany do Korczabów.

– A, no fakt, było coś takiego. Czyli widzieliśmy się więcej razy.

– Pamięta pani szczegóły tego listu?

– Przyszedł... zimą. W lutym może? Tak, chyba w lutym. Na kopercie było napisane „Korczab”.

– Tylko nazwisko?

– Tak. Dziwne, prawda? Ale to był list z Niemiec, więc... – Spojrzała na Kranz w taki sposób, jakby kraj nadania tłumaczył te opustki w adresie.

– Kim był nadawca?

– Nie wiem, bo tam nic nie było. My się zorientowaliśmy po stemplach, że to z Niemiec, i wtedy postanowiliśmy, że oddamy tym Korczabom, bo może to jednak coś ważnego.

– Wtedy? – Kranz nie zrozumiała.

– No bo to był drugi raz, tak mi się przynajmniej wydaje. Rok wcześniej, to znaczy niedokładnie rok, tylko w poprzedzającym roku, jakoś na początku jesieni, też przyszedł list. Też z Niemiec, też bez nadawcy. Pewnie z tego samego miejsca czy

od tej samej osoby. I tam było jeszcze dziwniej, bo w ogóle bez nazwiska, tylko adres. Po niemiecku.

– Po niemiecku?

– No właśnie. Ja sobie nawet zrobiłam zdjęcie komórką, tak na pamiątkę. Zaraz, gdzie ja to mam... – Kobieta sięgnęła po telefon i okulary. Przez dłuższą chwilę suwała palcem po ekranie. – O, tu jest, proszę.

Kranz spojrzała. Na kopercie był napis: „Landeshuter Straße 13”.

– To by się nie udało, ale nasz listonosz to łebski człowiek i sprawdził, że to Kamiennogórska. Kamienna Góra nosiła za Niemca nazwę... Landeshut, bez tego „er”, czyli w sumie nazwa ulicy po wojnie jest taka sama, jak i przed wojną.

– I co z tym listem? Kto go ma?

– Nikt, no bo tam nie było adresata, więc tak jakoś... Poczta odesłała go do nadającej placówki. Myśmy nie chcieli brać, żeby nie było potem na nas, bo to wiadomo, co jest w środku? Ale później przyszedł drugi list, w lutym właśnie. Tym razem bez ulicy, ale za to z nazwiskiem. Korczab. No to już Jurek wygrzebał w notesie komórkę do tego, od którego kupiliśmy dom, i on przyjechał. Byliśmy ciekawi, co tam w środku, ale on tylko podziękował, zabrał i pojechał. Ja to nawet chciałam, żeby Jurek zadzwonił i zapytał, ale mąż mówi, że nie wypada. Może i nie, ale wie pani, jak to jest.

– Jak jest? – Kranz odbiła piłeczkę.

Kobieta westchnęła.

– Różne rzeczy się słyszy w telewizji. No, o Niemcach. Że... No, jak by to ująć... Dobrze, ja się przyznam, że myśmy się przestraszyli. Że to ma związek z domem. Że może ktoś z Niemiec chce go odzyskać. Niby tu wszystko odbyło się zgodnie z prawem, tamtym prawem... Mnie to oczywiście przykro, że oni przez takie rzeczy przeszli, ale czy trochę jednak nie zasłużyli? Odpowiedzialność zbiorowa, tak to się nazywa. Ci, co przyjechali, swoje stracili, więc jeden do jednego, a myśmy kupili, za oszczędności życia. Więc gdyby teraz... – Kobieta była ciemnoróżowa jak róże na pergoli. – Czasem to sobie myślę, że może jednak powinno być tak, żeby te odszkodowania na Niemcach wymusili... Jak to było? Reparacje, o. Więc żeby te reparacje ustalić, bo oni to nie mają wstydu, żeby tak po tylu latach tu pisać i odbierać nam spokój.

Lekko drżącą ręką naląła sobie lemoniady i od razu wypiła pół szklanki.

– Gorąco, niech to. Dam pani jeszcze, co?

Znowu znalazła się na rynku. I znowu w sklepie, w którym wcześniej spotkała Wojtyszek. Tym razem było tu cicho i pusto. Nawet za ladą był wakat. Przez dłuższą chwilę czekała na ekspedientkę. Zapłaciła kartą za zimną colę i schowała się w podcieniach. Wyjęła telefon. Grzegorz Korczab odebrał.

– Słaby mam zasięg, jestem w trasie, przepraszam.

Rzeczywiście, kiepsko go słyszała. Na tyle dobrze, żeby zadać pytanie, jednak w ostatniej chwili się rozmyśliła.

– Wiem, że jest pan w trasie, ale chciałabym porozmawiać z panem o jeszcze jednej kwestii, kiedy pan wróci. Proszę nas odwiedzić na posterunku.

Chwila ciszy.

– Dobrze, oczywiście.

– Do zobaczenia.

Rozłączyła się. Czy się zdziwił? Trochę. A może po prostu był zmęczony – wszystkim.

Poszła w kierunku parkingu, tego za dawnym hotelem. Minęła swoje auto i znalazła się przy domach tkackich. W jednym z nich rezydowała Anna Wojtyszek – nie wiedziała, w którym, po prostu zaglądała w okna. W tych, gdzie mieściły się sklepy z pamiątkami i wystawy, odpowiadały jej zachęcające spojrzenia właścicieli lub sprzedawców. Pewnie któraś z pracujących tu kobiet jest matką Majkowskiego, pomyślała Sonia. Było jej głupio, że się wycofuje. To miejsce świeciło pustkami. Widziała tylko dwoje turystów w jej wieku. Przyjechali na motocyklach – na niemieckich rejestracjach i nie wyglądali na takich, co się przymierzają do przejmowania majątku dziadków.

Wreszcie zobaczyła okno, które sugerowało, że po drugiej stronie szyby ktoś mieszka. Zapukała do drzwi. Bingo, otworzyła jej historyczka.

– O, dzień dobry. Zapraszam. – Nie wyglądała na zbyt zdziwioną.

– Ja tylko na chwilę.

– Ale głupio tak w progu. Niech pani wejdzie.

– Niskawo tu. I dość ciemno – zauważyła Kranz, rozglądając się po wnętrzu.

– To nie były luksusowe apartamenty, tylko, jakbyśmy to dziś powiedzieli, mieszkania przyfabryczne. – Kobieta się uśmiechnęła. – Ale nie narzekam, ma to swój klimat. Zresztą luksus rozleniwia. Podobno. A ja muszę pracować.

– Właśnie. Nie chcę przeszkadzać. Zajrzałam, bo mam pytanie: gdyby teraz ktoś z Niemiec pisał do kogoś w Chełmsku, to czego najprawdopodobniej by chciał?

– Tak generalnie? Pewnie zdjęć, informacji, może obejrzeć dom, mieszkanie, w którym kiedyś mieszkał on lub rodzina.

Pokiwała głową. No tak, mogło chodzić właśnie o to. Tylko dlaczego Korczab nie powiedział o tym obecnym właścicielom? Przecież to już nie jego dom, nie jego sprawa. Nie on by się godził lub odmawiał.

– Ale oczywiście powodów może być wiele – dodała Wojtyszek.

– A możliwość, żeby odzyskać...

– Nie, absolutnie. – Historyczka była pewna swojej odpowiedzi.

– Tylko pytam. Mam podstawy.

– Domyślam się. Nie, to plotki, głupota, wzniecanie nienawiści. Zresztą niech się pani rozejrzy, jaki to teraz majątek?

– No tak. Dobrze, nie zawracam pani głowy. Dziękuję. – Kranz podeszła do niskich drzwi.

– Jasne. Zawsze zapraszam. Bez względu na wynik tamtego śledztwa.

Tamto śledztwo leżało. To zresztą też.

– Jeszcze chwila. – Wojtyszek zatrzymała ją gestem. – Powiedziałam pani wtedy, że ci Korczabowie wprowadzili się do domu po Lindnerach, prawda?

Kranz kiwnęła głową.

– To mam jeszcze jeden szczegół, właściwie dwa. Britte wyjechała z Chełmska szóstego stycznia czterdziestego ósmego roku. W dokumentach wcześniej była mowa tylko o parze Korczabów, zaraz... o Marii i Aleksandrze. A teraz znalazłam informację, że na początku czterdziestego ósmego było ich już troje: oni i dziecko urodzone trzy dni wcześniej, trzeciego stycznia. Imienia brak, tylko dziecko. „Dziecko (syn) pp. Korczab”. Więc może ta Britte im pomagała, kiedy Korczab była w ciąży? Mogła się źle czuć, zresztą po porodzie czuła się pewnie jeszcze gorzej, no ale wtedy Britte już musiała wyjechać; i tak udało im się przeciągnąć ter-

min jej pobytu. W każdym razie pewnie dla nich pracowała. Może to jeden z tych przypadków, że udało się mieć dobrą relację?

Kranz pomyślała, że tym dzieckiem musiał być Jan. Skoro był starszy od Grzegorza o dziewięć lat, a ten miał o dwadzieścia więcej niż żona, czyli sześćdziesiąt sześć, to Jan by miał teraz siedemdziesiąt pięć, co znaczyło, że urodził się w czterdziestym ósmym. Pasowało, tak było na nagrobku.

– Więcej już nic nie wyciągnę z tych papierów, które mam, choć może kiedyś, w przyszłości... Ta praca jest przede wszystkim żmudna, to przedzieranie się przez materiały, ale nawet tu znaczenie może mieć przypadek, jak w życiu. Przypadkowe miejsce, przypadkowe odkrycie, przypadkiem odnalezione dokumenty. Czasem szczęście, czasem pech.

Kranz, wsiadając do niemiłosiernie nagrzanego auta, pomyślała, że historyczka ma w życiu sporo szczęścia – na przykład z tym, że udało jej się uniknąć gwałtu. Pewnie nigdy by się nie spotkały, gdyby tego dnia nie odbywało się tu wesele.

Wesele...

W sklepie z używanymi ciuchami było dwoje klientów. Kobieta przeglądała wieszaki i kosze, mężczyzna szukał kurtki przeciwdeszczowej i spodni. Właściwie to szukała Maryla Korczab.

– Tu ma pan dwie, jedna z podszewką, druga bez.

– To która lepsza? – Facet tylko omiótł je wzrokiem.

– Zależy na jaką porę roku. Jak na teraz, to cieńsza, jeśli na jesień, grubsza.

– A obie, to ile by było?

Korczabowa położyła ortaliony na wadze.

– Dwadzieścia jeden.

– Dwadzieścia mam. Może być?

– Może. – Pokiwała głową i wtedy zauważyła Kranz. I, jak zawsze, przez jej twarz przebiegł skurcz.

– Nie zabiorę dużo czasu – uspokoiła ją od razu Sonia, jakby o czas tu chodziło.

Oglądająca wyczuła napiętą atmosferę. Przerzuciła jeszcze kilka materiałów w koszu z zasłonami, bąknęła „do widzenia” i wyszła. Maryla Korczab zawiesiła

na klamce tekturę z napisem „Przerwa”.

– Stańmy za przymierzalnią, wtedy nie widać z zewnątrz. Bo inaczej to dziwnie będzie wyglądało, że tak tu jesteśmy zamknięte. Ludzie... Wie pani, jacy są ludzie.

Kranz kiwnęła głową.

– Wróciłam z pytaniem o pani pierwszego męża. Chodzi mi o okoliczności, w jakich się poznaliście. Wiem, że w Wałbrzychu. Była tam pani u krewnej w związku z weselem, prawda?

– Tak. Chrześciana ciotki wychodziła za męża. Znałam ją, bo się czasem spotykałyśmy podczas wakacji. Ciotka miała już dorosłe dzieci, a nas lubiła i zapraszała.

– Jasne. I ten ślub odbył się w Wałbrzychu?

– Tak, w sanktuarium przy placu Kościelnym. Piękny budynek, bardzo stary, a w środku figura Matki Boskiej Bolesnej. Ludzie wypraszają u niej łaski.

– A gdzie odbyło się wesele?

Maryla Korczab spojrzała na nią tak, że nie musiałaby już odpowiadać. Co Kranz wyłapała jako pierwsze? Zdziwienie? Smutek? Lęk?

– Poza miastem, w lokalu, który prowadzili krewni pana młodego.

– W Chełmsku?

– Tak, w Chełmsku.

– I podczas tego samego pobytu u ciotki, już po ślubie i weselu, poznała pani Jana Korczaba?

– Tak, w Wałbrzychu. Opowiadałam, że podszedł do mnie...

– Niedaleko urzędu, pani siedziała na ławce.

– Zgadza się.

– Pamięta pani, kiedy to było? Tak mniej więcej? – spytała Sonia.

– W dwa tysiące ósmym roku. W tym samym roku wzięliśmy z Jankiem ślub, w sierpniu.

– Szybko.

– Bo myśmy czuli oboje, że to jest coś prawdziwego, coś dobrego. Że to jest to, o co chodzi w życiu. Było tak, jakbyśmy zawsze siebie szukali. – Korczabowej zadął głos.

– A kiedy miało miejsce pierwsze państwa spotkanie?

– W czerwcu.

– Datę pani pamięta?

– No aż tak to nie...

Kranz była pewna, że Korczabowa świetnie zna tę datę. Że może nawet ma ją wpisaną w kalendarz i obchodzi jako rocznicę.

– A mogłoby to być pod koniec czerwca? Powiedziała pani, że kilka dni po ślubie. Czy ślub odbył się dwudziestego pierwszego czerwca?

– Musiałabym sprawdzić.

– To nie będzie trudne. Cztery soboty w miesiącu, poza tym zawsze można...

– Tak... Tak, to chyba ta data. – Maryla Korczab kiwnęła głową.

– A czy na tym weselu wydarzyło się coś, co pani zapamiętała? Coś nieprzyjemnego na przykład? A może nie na weselu, tylko obok, gdzieś na zewnątrz?

Kobieta wpatrywała się w nią zdumionymi oczami. Nawet nie próbowała ukryć, jak bardzo ją to pytanie poruszyło.

– Ale skąd pani... Skąd to pani wie? Przecież nikt...

– Coś się stało, prawda? – Kranz nie ustępowała. – Czy pani wie co?

– Czy ja wiem? Przecież to ja... to mnie... to mnie się stało! – Rozpłakała się.

Sonia w pierwszej chwili nie zrozumiała. Dotarło do niej, że Wojtyszek i matka Zuzi mogły być w Chełmsku tego samego czerwcowego dnia, kiedy doszło do napaści na historyczkę. I że może Maryla Korczab coś wtedy widziała, coś wie, ale tego nie ujawniła. Ale żeby to ona została...

– Ja nie myślałam, że coś takiego może się zdarzyć. Było późno, głośno, dużo osób bardzo się upiło. Nie miałam tam specjalnie co robić, ale ciotka jeszcze nie chciała jechać do domu. To poszłam na spacer. Po rynku, przy tych ładnych domach tkackich, przy kościele. I właśnie tam... Przy kościele, uwierzy pani? Przecież to święte miejsce. To wszystko potoczyło się tak szybko, gwałtownie... Poczulałam dłoń na ustach, ale nawet bym nie krzyknęła, bo mi tchu zabrakło. Nie rozumiałam, co się dzieje, dopiero kiedy mnie pchnął na ziemię, to... I też nie mogłam nic zrobić. Jak się mówi „sparaliżowany ze strachu”, to jest prawda. Kilka chwil i już. Już było po wszystkim. „Powiesz komuś, a zabiję”. I on pobiegł, a ja zostałam. Leżałam tak, nie wiem ile. Potem wstałam i poszłam. Tak po prostu. Ciotka już mnie wypatrywała, nawet zdenerwowana, bo najpierw chciałam wracać, a po-

tem mnie nie było. Nic nie powiedziałam, niech pani nie pyta dlaczego. Nie byłam w stanie, nie wiedziałam jak. Zresztą miałam taką sukienkę... Krótką, z dekoltem, tak się wtedy nosiło, taka była moda. No i to wesele, zabawa. Zresztą ciotka może nawet pomyślała, że ja... „Różne się gzą, ale ty to chyba nie”. Choć pewnie pomyślała, że ja też. Wtedy to już całkiem uważałam, że to moja wina. Pytaliby mnie o to. Pytaliby, po co poszłam sama w ciemną noc. Włożyłam płaszcz, zawinęłam się w niego i pojechaliśmy. W domu się wykapałam, choć ciotka sarkała, że hałasuję, i poszłam spać. Wstałam kolejnego dnia po południu, a następnego poszłam do fryzjera.

Dopiero teraz to dotarło do Kranz. Przecież do fryzjera chodzi się przed imprezą, a nie po. Jasne, mogły być inne powody, ale to jednak dziwne. Powinno ją tknąć, mogła dopytać. Tyle że wtedy to nie miało znaczenia. Nie, poprawka – wszystko i zawsze może mieć znaczenie.

– I po tym fryzjerze poznałam Jana. Obcięłam włosy, zlikwidowałam jasny blond. Znowu byłam sobą, taką myszką. I taka się Janowi spodobała. Tamto przestało mieć znaczenie. Naprawdę się w nim zakochałam, tak szybko i tak bardzo. On we mnie też. I nie, to nie miało nic wspólnego z tamtym, nie byłam w szoku ani nic takiego. Nie, naprawdę nie. Ja Jana do dziś Kocham. Pomyślałam raczej, że to wreszcie dar od losu, bo śmierć rodziców, brak kogoś bliskiego, jeszcze ten koszmar... Ślub wzięliśmy po sześciu tygodniach, skromny, tylko ze świadkami i ciotką, bo teść już był bardzo chory, teściowa siedziała przy nim, a Grzegorz gdzieś krążył po Polsce. Kiedy powiedziałam ciotce o ślubie, dowiedziałam się od niej, że ktoś napadł na uczestniczkę obozu naukowego, który stacjonował w Chełmsku. Tej samej nocy, co myśmy tam były. „Obok coś takiego, no ale jak się kobieta po nocy włóczy”. To ostatecznie zamknęło sprawę, tę moją. Ludzie by gadali, nie uniosłabym tego. Ślub odbył się u mnie, to znaczy w Bolkowie, potem tylko obiad w restauracji. Po wyjeździe, bo pojechaliśmy nad morze, wróciliśmy na chwilę do Wałbrzycha, a potem do Chełmska. I niech mi pani wierzy, że to wszystko dobre, co z Janem, przykryło tamtą noc. Czasu zresztą nie miałam na myślenie, bo teść zmarł, teściowa błyskawicznie się pogarszała na zdrowiu i wymagała ciągłej uwagi, a ja już byłam w ciąży. Udało nam się jednak stworzyć swój świat. I nawet po kilku latach, po śmierci Jana, kiedy przyszło nam się wyprowadzić, bo Grzegorz nie chciał tam mieszkać, to było mi żal. „Głowa zapomni, serce nie”, zna pani takie powiedzenie?

Siedziała przy stole i patrzyła w lustro.

Tak się teraz czuła – przymglona.

Im głębiej wchodziła w to śledztwo, tym więcej faktów odkrywała. Tyle że te fakty nie budowały sprawy, nie przybliżały rozwiązania. I co z tego, że wcześniej były nieodkryte? Sens jest wtedy, kiedy umie się ich użyć. Ona wciąż miała z tym trudność. Czuła się tak, jakby coś ją blokowało. Jakby nie potrafiła się przebić przez to, co ją oddziela od zrozumienia. Przeniosła spojrzenie na okno. Buki rzucały wilgotno-szary cień. Pomroka, pomyślała. Po raz pierwszy przeczytała ten wyraz w którejś z lektur szkolnych, chyba w *Chłopach*. Wydało jej się wtedy, że to taki archaizm, że nigdy już go nie spotka i nie użyje. Kilka lat później omawiali w Szkole Policyjnej przypadek pomroczości jasnej, która ratowała prezydenckiego syna przed karą za spowodowanie wypadku po pijaku. Okazało się, że istnieje taka przypadłość. Czy w tym przypadku? Wtedy myśleli, że to był tylko trik prawniczy. Kilka lat temu tamten chłopak, wciąż w młodym wieku, umarł. Z przyczyn naturalnych podobno, więc kto wie. Pomroka wróciła. Ciemność, mrok, zasłona skrywająca prawdę.

Wstała od stołu i zaczęła sprzątać. To zawsze ją uspokajało, dawało poczucie, że panuje nad sytuacją, że ogarnia choć taki chaos jak bałagan domowy. Odkurzyła, zastanawiając się, ile jeszcze przedpotopowy odkurzacz ciotki Magdy pociągnie, bo kurz na półkach świadczył o tym, że niezbyt długo. Później poszła do łazienki wstawić pranie. W koszu na brudy znalazła zaskakująco mało ubrań, a jeśli nie było ich tam, z pewnością leżały u Julki w pokoju. Leżały. Na łóżku, na oparciu krzesła, pod biurkiem. Sonia poczuła nieprzyjemne mrowienie. Mogła sobie gardło zedrzyć, a Julka i tak będzie bałaganiarą, obrośnie brudem i nawet tego nie zauważy. Widziała ją przed chwilą przez okno w salonie – na leżaku, pod drzewem. Królowa życia. Poczwała, że bez sensu się nakręca, przecież jest zła z innego powodu. No i kilka dni temu jeszcze drżała o życie córki. Pogłaskała rękaw turkusowej bluzy, którą też zgarnęła z pokoju. Przycisnęła ją do nosa – pachniała mgiełką do ciała. Już miała włożyć bluzę do pralki, kiedy wyczuła coś w kieszeni. Chusteczki higieniczne, pomyślała. Specjalność Julki. A później wszystko jest w białych paprochach, których nie daje się usunąć.

Sięgnęła dłonią i poczuła pod palcami coś twardszego niż celulozowe zwitki. Gdzie była ta kieszeń? Bluza miała ich kilka, niektóre na zamek lub napę. W końcu Sonia wymacała zapieczętowanie i teraz trzymała w ręku pogięty biało-czerwony kartonik z dwoma papierosami. Znowu to mrowienie. Niby nie stało się nic złego, ale skoro są fajki, to może i alkohol albo coś jeszcze gorszego. Julka miała ostatnio ciężko, a używki dają ulgę. Dlaczego Sonia uważała, że jej córka mimo wszystko sobie radzi? Dlaczego żyła w przekonaniu, że dobrze ją zna? Dlaczego, kurwa, ostatnio jej tak nie szło – ze wszystkim?

Usłyszała trzask drzwi wejściowych.

– Mamo? – Głos Julki w przedpokoju. – No hej. – Po chwili córka stanęła w progu łazienki.

– Palisz? – Sonia miała sztywny język, jakby sama wypaliła pół paczki naraz.

– Nie, no skąd? – zdziwiła się Julka.

– Stąd. – Kranz trzymała w ręku zgnieciony kartonik.

– Ale skąd ty to masz? Bo to nie moje.

– A może ta bluza też nie twoja? – Była nieprzyjemnie ironiczna i słyszała to w swoim głosie. Julka zaś patrzyła na nią w taki sposób, jakby naprawdę nie miała pojęcia o tych papierosach.

Kranz podniosła bluzę z podłogi i pokazała jej wewnętrzną kieszeń.

– Tu były, Julka. Przed chwilą je stąd wyjęłam, bo wzięłam ją do prania.

Córka podeszła do niej i przejęła od niej bluzę. Przez chwilę na nią patrzyła, a potem wyrzuciła ją na lewą stronę, jakby czegoś szukała.

– To nie moja bluza.

– Julka, błagam cię...

– Nie moja. Ja z mojej wycięłam metki, bo mnie drapały. Zuzia nie. Więc to Zuzi. Musiałyśmy się zamienić ostatnim razem, kiedy się widziałyśmy. Leżałyśmy na trawie, niedaleko tej kawiarni, patrzyłyśmy na niebo i gadałyśmy, jak będzie fajnie... – Urwała i zaczęła płakać.

Sonia ją przytuliła. Czuła, jak krew przetacza się przez jej tętnice. Było jej głupio za to oskarżenie, ale skąd miała wiedzieć, że...

– Przepraszam – szepnęła, a potem delikatnie odsunęła Julkę. Poszła do samochodu po worek foliowy i wrzuciła do niego zmiętą paczkę papierosów.

– Mamo, nie pierz tej bluzy. To taka pamiątka po Zuzi, ja...

– Przykro mi, ale na razie zabezpieczam ją jako dowód. – Teraz do większego worka wcisnęła turkusowy materiał.

Julka patrzyła na nią przez łyzy.

– One, to znaczy te bluzy, przyszły do paczkomatu. Poszłyśmy po szkole, Zuzia nie wiedziała, że tam będzie coś dla niej. Znałam ją od kilku tygodni, ale czułam, że to będzie coś... że między nami... – Urwała i przetarła oczy dłonią. – Dlatego poprosiłam tatę o dwie. Otwieram, wyciągam duże pudło, zrywam ten sznurek i podnoszę klapę... Zuzia od razu przymierzyła, mimo że było tak zimno, bo to było w marcu, pamiętasz, jak długo śnieg trzymał?

Kranz kiwnęła głową.

– Tak się ucieszyła! Tak bardzo, bo to akurat było w jej urodziny... I nawet potem mamę prosiła, żeby prała w tym samym płynie do płukania, co ty kupujesz, żeby tak samo pachniały. I te mgiełki...

– W jej urodziny? – Sonia przerwała ten monolog. – Kiedy to było dokładnie?

– Nie wiem, nie pamiętam, mogłabym sprawdzić w poczcie powiadomienie...

– Nieważne, przepraszam cię na chwilę.

Kranz poszła do sypialni, gdzie trzymała papiery. Zaczęła je przekładać, aż znalazła kartkę, której szukała. Zuzia Korczab urodziła się szóstego marca dwa tysiące dziewiątego roku.

Sięgnęła po komórkę, wpisała „kalkulator ciąży”, jednocześnie wykonując obliczenia w głowie. Zuzia musiała zostać poczęta w czerwcu dwa tysiące ósmego roku. Kalendarz podawał dwudziesty trzeci czerwca, data przybliżona, plus minus kilka dni.

Na przykład minus dwa. Dwudziestego pierwszego czerwca, kiedy było wesele i dwie próby gwałtu.

Jedna udana.

Rozdział 16

– No to jest, kurde, dziwne. – Sierżant Ranik przyglądał się zdefasonowanej paczce papierosów.

– Myślisz, że to te same, co znaleźliśmy wcześniej? – zapytał Majkowski.

– Może – odparła Kranz. – Nie wiem. Marlboro, choć to jeszcze niczego nie przesądza. Jednak dziwią u dziewczyny, która była spokojna, cicha, dobrze się uczyła i nie paliła.

Julka się zarzekała, że Zuzia nie tykała używek. Że żadna z nich nie tykała.

– Może... – Ranik się zacukał.

– No, gdyby ona miała coś wspólnego z włamaniem do Dębskiego i z Rudą, bo on przecież tam był – Majkowski rozłożył ręce – to byłby naprawdę przedziwny zwrot.

– Na niedopałku są ślady Rudy, fakt. Ale – Kranz popatrzyła na niego – to nie znaczy, że on tam był.

– Jak nie był, skoro... – zaczął Ranik.

– Sperma na udzie a gwałt to też mogą być dwie różne sprawy – przypomniała mu.

– No okej. Teoretycznie ktoś mógłby chcieć go zrobić. Ale kto? Zuzia? – spytał z powątpiewaniem w głosie Majkowski.

– A on ją potem w zemście...? – domyślił się Ranik.

– Nie, to się nie klei. – Majkowski pokręcił głową.

– Ale kleiłoby się to, że najpierw byli razem u Dębskiego, w czasie włamania, a potem znowu przy domu Dębskiego. – Ranik trzymał się swojego pomysłu. – I coś poszło nie tak, pokłócili się, i on, znaczy Ruda, ją...

– Ale po co Zuzia miałyby się włamywać? – zapytał Majkowski.

– Może chciała zwrócić na siebie uwagę Dębskiego? On jest taki dzolero-hipis, może się podobać młodym laskom. – Ranik nie odpuszczał.

Z tym ostatnim Sonia mogłaby się nawet zgodzić. Z resztą – nie.

– Albo jakoś źle się wobec niej zachował, zranił, odrzucił, nie wiem – ciągnął sierżant. – W każdym razie postanowiła zrobić kipisz. Sama nie dała rady, namówiła Rudę, bo jest silny i zna ten dom. A potem Ruda pożałował, bo w końcu włamał się do człowieka, który był dla niego dobry, i może jej powiedział, że ją wyda? Albo coś...?

Kranz była sceptyczna. Spojrzała na Majkowskiego.

– Jacek, zajmij się tymi papierosami. To bardzo pilne. Przypominam, że na niedopałku z włamania są czyjeś ślady. Zobaczymy, czy teraz nam wyjdzie czyje. Druga sprawa, choć tu z marginesem błędu: matka Zuzi została zgwałcona.

– Kiedy? – Obaj sierżanci powiedzieli to jednocześnie i z podobnym zdumieniem.

– W dwa tysiące ósmym. Mniej więcej wtedy, kiedy Zuzia została poczęta. Może to oznaczać, że nie jest też córką Jana Korczaba.

– Tylko gwałciciela – dopowiedział Majkowski.

– Kuźwa, ale się porobiło. – Ranik pokręcił głową. – Skąd to wiesz?

– Od niej. Długa historia, ale wychodzi na to, że tamtej nocy, kiedy napadnięto na Annę Wojtyszek, grasował tam gwałciciel. Pierwsza próba mu nie wyszła, druga tak.

– Tylko jak to się wiąże z tym syfem, co teraz mamy? – Ranik patrzył na nią pytająco.

– Jeszcze nie wiem, ale czuję, że się wiąże – odparła. – Za dużo tu puzzli pasuje do siebie, żeby nie wyszedł z tego obrazek. I jest jeszcze Grzegorz Korczab.

– A z nim co nowego? – zapytał Majkowski.

– Nowego nic. Na niczym go nie złapaliśmy, ale z tym facetem jest coś nie tak. Przemilcza, wymiguje się, jest jakiś śliski. No i te jego zachowania wobec córki... Znaczy wobec Zuzi. I znowu pojechał do Czech, zaraz po pogrzebie.

– Może ucieka od tego, co się stało. – Majkowski wzruszył ramionami. – Tak też by mogło być.

– Albo ma tam robotę, po prostu – dodał Ranik.

– Wtedy zdążył odbyć zaplanowane spotkania – przypomniała im. – Reszta miała być dodatkiem, takim pozaoficjalnym urabianiem klientów. Dziwne, że ma na to siłę zaraz po pochowaniu dziecka.

– Może jest pracoholikiem? Albo się urwał? U Czechów ma dobrze, może pójść anonimowo do knajpy na piwo, nikt go nie oceni, że nie siedzi w domu i nie płacze. – Ranik pokiwał głową. Widać było, że jest zadowolony ze swoich teorii. – Ja też czasem lubię wyskoczyć za granicę, znaczy do Pepików. Taniej, spokojniej i na luzie. I nie trzeba po angielsku gadać, da się ich zrozumieć. Chociaż ostatnio się naciąłem, bo kupiłem sobie lody jahodove, a oni mi dali truskawkowe. Dla nich jahoda to truskawka, a taki na przykład kwiecień to maj. – Uśmiechnął się. – Ale to wszystko to jeszcze nic, głupotę to dopiero pieprznałem kilka lat temu. Właśnie, pieprznałem. – Zaśmiał się głośno. – Dobra, bo widzę, że nie rozumiecie. Byłem z rodzicami w Broumovie, w tym klasztorze. Cicho tam, spokojnie, jak to w kościele. Chcieliśmy kupić bilety, ale w kasie nie ma żywego ducha. No to podchodzę do Czechów, co tam stali, i pytam, czy wiedzą, gdzie szukać kogoś z kasy, bo zaraz godzina wejścia. A oni w śmiech. I co się okazało? Że przeklinałem.

– Jak to „przeklinałeś”? – zdziwił się Majkowski.

– Bo dla nich szukać to pieprzyć, a nawet... – Spojrzał na Kranz i urwał.

Ona natomiast usiadła do komputera i zaczęła skrolować pocztę. Po chwili znalazła mejl od Stałtechwetu i przesłane od nich zrzuty ekranu.

– Jacek, to też na cito – powiedziała, zerkając na niego znad monitora. – Poproś w jego firmie o pełną odpowiedź na mejla Terezy Neczasovej. Teraz kończy mi się na „będę szukać”.

– Musiała mieć ubaw. – Ranik się zaśmiał.

– Albo... – Majkowski załapał.

– Albo to taka słowna gra kochanków – dokończyła za niego Kranz. – Korczabowa twierdzi, że mąż ostatnio bardziej o siebie dba, lepiej się ubiera. Nowe wyzwania, wyjazdy...

– Kurde, to by pasowało – powiedział Ranik.

– No i Korczab spotykał się z Neczasową w piątek, kiedy zginęła Zuzia. I to Neczasova potwierdziła datę i godzinę tego spotkania.

– Okej. – Joanna Mitaj była trochę przytłoczona nadmiarem nowych faktów. – Ale podstawowe pytanie brzmi: Jaki byłby motyw?

– Nie wiem – przyznała Kranz. – Wiem tylko, że facet coś ukrywa. I to coś może mieć związek ze sprawą.

– Nie każdy, kto coś przemilcza, jest zabójcą. Zresztą sama mówisz, że pewnie ma romans. A nie chodzi przypadkiem o to, że jesteś do niego uprzedzona z powodu swojej historii?

– Słucham!?

Sonia usłyszała i zrozumiała, po prostu nie miała ochoty się opanować. Mitaj, młodsza od niej z dychę, singielka, będzie jej, dojrzałej kobiecie i komisarz, robić tanią psychoterapię?

– No, w tym sensie, że jesteś po rozstaniu i twój mąż...

– To sprawa prywatna. – Była jeszcze bardziej oschła, niż chciała. – I nie ma wpływu na pracę.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Przepraszam. To co z tym Korczabem? – Mitaj znowu brzmiała jak profesjonalna prokuratorka.

– Chcę sprawdzić, gdzie dokładnie był w dzień zabójstwa Zuzi. Ludzie, zwłaszcza handlowcy, nie rozstają się z telefonami. Dzięki temu Wielki Brat wie o nich wszystko. Jeśli to ostatecznie go wykluczy, to... to go wykluczy.

– Okej, trzeba sprawdzić. I te papierosy. Swoją drogą udział twojej córki...

– Udział?

Niedobrze im dzisiaj szła rozmowa.

– Źle to ujęłam. Przewadkowy udział, wplątanie. To trzeba będzie potem formalnie ująć. Wszystko musi być *lege artis*, żeby nikt nam później nie podważył...

– A kto ma podważyć? Ruda ma w ogóle jakiegoś obrońcę?

– No... oficjalnie nie ma jeszcze zarzutów, czekamy na tę trzecią opinię, ale... Była u mnie jego matka.

– Jego matka? Przecież ona ledwie się porusza – zdziwiła się Kranz. – Już sama wizyta w areszcie była dla niej niezwykle trudna.

– Właśnie. – W głosie prokuratorki nagle pojawiła się nuta smutku. – Teraz też. Jakaś kobieta z MOPS-u ją przywiozła, podobno wtedy również. Nie w ramach pracy, tylko prywatnie. Widać, że jej zależy na tej matce i synu. Zaczepiła mnie

i przekonywała, że to niemożliwe, że to dobry chłopak, tylko taki naiwny. I że to zabije matkę. A matka...

– Matka...?

– Była spokojna. I może nawet by mnie przekonała, tylko powiedz mi, która matka nie broniłaby swojego dziecka?

Ciekawe, że nie ma takiego powiedzenia o ojcu, pomyślała Kranz.

– Czy bywam w Chełmsku? No byłem na przykład na pogrzebie. – Grzegorz Korczab spojrział na nią tak, jakby popełniła duży nietakt.

– Oczywiście. Pytam o inne pobyty.

– Nie, raczej nie. Może przejazdem. – Siedział przed nią wyprostowany. Był chyba przed pracą, bo miał świeżą koszulę, odprasowaną na sztywno. Kranz wyobraziła sobie Marylę Korczab, która z parującym żelazkiem stoi nad deską, wygładzając materiał przy guzikach, i inną kobietą dłoń odpinającą te guziki. Może w tym, co powiedziała Mitaj, była odrobina prawdy?

– A nie przejazdem, tylko w konkretnym celu?

– W jakim na przykład?

– Jakimkolwiek.

Irytował ją. Ten jego uśmiech i spokój, za którymi, jak czuła, kryło się jednak zdenerwowanie. Nie dzwoniła do niego, nie przypominała mu o tym, żeby przyszedł na posterunek – sam się zjawiał.

– W porządku. Gdyby pan sobie przypomniał jakieś pobyty, to proszę dać znać.

Podniósł się, ale znowu opadł na krzesło.

– A jak postępy w śledztwie? Wie pani, żona z trudem znosi ten stan, że wciąż nic nie wiadomo.

– Trochę wiadomo – odparła. – Mamy nowe dowody w sprawie.

– Tak? – Głos mu jednak zadrżał.

– Na razie bez możliwości jakiegokolwiek upublicznienia.

– Oczywiście. – Teraz wstał już naprawdę.

– A jak ostatnia wizyta w Czechach?

– Byłem w Pradze. Życie handlowca – westchnął. – Nie można odpuścić, zostać, bo kto inny się wślizgnie. Konkurencja jest bezwzględna.

Kiedy za Korczabem zamknęły się drzwi, Majkowski gestem dłoni zaprosił ją do komputera.

– Wślizgnie... – mruknął. – Zobacz. Przysłali całą korespondencję.

Spojrzała na ekran. „Będę szukać. Od punktu A do punktu G”.

– Oni mają w tej produkcji jakieś punkty? – zapytał sierżant, choć widać było, że jest nieprzekonany do tego pomysłu.

– Nie sądzę. Punkt G i jeszcze ta uśmiechnięta buźka... Słuchaj, sprawdź, co go łączy z Neczasovą.

– Ale jak?

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami. – Pogadaj z kolegami w firmie, poszukaj w mediach społecznościowych. Masz wolną rękę. Jakies wyniki z telefonu lub papierosów?

– Nie, jeszcze nie. To by było za szybko.

– No tak, za szybko. W końcu to tylko sprawa o zabójstwo. Nie do ciebie uwaga – dodała, zerkając na Majkowskiego. – Ogólnie rzucona. Jadę do domu. Jakbyś nie mógł się dodzwonić, wyślij SMS. W końcu dojdzie.

Zgarnęła torbę z biurka, wyszła z posterunku i wsiadła do auta, a potem podjechała do Biedronki. Musiała zrobić szybkie zakupy, bo lodówka świeciła pustkami.

W sklepie też było pustawo, co ją ucieszyło. Odzwyczaiła się od tłumów, detoks szybko działał. Wrzucała kolejne produkty bez ładu i składu – co jej się przypomniało, ładowało w koszyku. Nie miała pomysłu, co zrobić na obiad, zgarniała więc najróżniejsze warzywa – coś się z tego wykrzesze. Z pełnym wózkiem pojechała na dział alkoholowy. Chciała kupić białe wino. Jeden kieliszek – potrafiła trzymać się tej reguły. W takim układzie było to na pewno zdrowsze od coli.

Kiedy sięgała po zieloną butelkę, usłyszała z tyłu:

– Dzień dobry.

Nie musiała się odwracać, rozpoznała ten głos. Ale spojrzała. Wyglądał dobrze. Mniej hipisowato. I chyba coś zrobił z włosami. Był naprawdę przystojny – niestety w taki sposób, który ją pociągał.

Kiwnęła głową.

– To nie czas ani miejsce, żeby spytać o to, jak się toczą sprawy? – rzucił.

– Nie czas i nie miejsce. Ale lepszych nie będzie, bo to tajemnica śledztwa.

– Ale ja pytam panią tak po ludzku. Czy jest szansa, że Wojtek wyjdzie z aresztu? Przecież to absurd i pani to rozumie. – Głos miał ciepły i głęboki.

– Na ten temat też nie mogę rozmawiać.

Zachowywała się tak, jak nakazywał regulamin. Odstęczająco.

– A jest coś, o czym by pani mogła i chciała?

Znała już ten ton i to spojrzenie. Nie tylko u niego, ale musiała przyznać – on był w tym mistrzem.

– Tak – odparła. – Czy znał pan Zuzę Korczab?

– Pytała pani o to.

– Ale pytam jeszcze raz.

– Zatem jeszcze raz odpowiem: nie, nie znałem. Okropna sprawa. Strasznie przykra.

– Na pewno nigdy pan z nią nie rozmawiał? Nawet krótko? Żadnego choćby przypadkowego spotkania?

– Nie. Na pewno. – Pokręcił głową.

– No to już pana nie zatrzymuję.

– A zobaczymy się jeszcze?

Oceńłaby to jako tupeciarskie, ale Piotr Dębski zachowywał się teraz jak nieśmiały uczeń. Gdyby miał tu jakieś kółko teatralne, powinien grać. Marnował talent.

– Jeśli będą potrzebne pana wyjaśnienia, damy znać.

– Ale tak prywatnie... Na przykład kiedy będzie pani przywozić córkę na zajęcia. Pojutrze jest drugie spotkanie w Różowych Słoniach.

Czyli wiedział, że Julka jest jej córką. Ciekawe od kiedy.

– Znowu zajęcia indywidualne?

– Brak odzewu, to nie moja wina. W ogóle nie wszystko, co złe, to moja wina. Chciałbym to pani udowodnić.

Bez szans. Albo: Ja się tu zajmuję dowodami. Tak chciała mu odpowiedzieć. Zamiast tego wyszło jej:

– Teraz jestem zajęta.

– Poczekam.

– Ale po co ci to?

Sonia spoglądała to na córkę, to na jej telefon.

– Nie wiem. Olka mi znowu wysłała. Zapytała, czy widziałam, a ja nie widzę. To znaczy, że on wciąż nie chce, żebym widziała. A niby już było dobrze, przecież rozmawialiśmy. Powiedział, że to głównie dla Kingi, żeby ona się ucieszyła, a on sam właściwie pojechał tam za karę. Tak to mniej więcej brzmiało. Ale na tych zdjęciach to nie wygląda na karę, co?

Nie wyglądało. Sielanka i raj, fotografie jak z pobytu jakiejś celebryckiej pary na wakacjach marzeń. Tło ładne, oni ładni, spokojny przepych. I co z tego, że mało oryginalne Bali? Dokąd mieli pojechać, żeby nie urazić Soni pławieniem się w swoim szczęściu? Do Sokołowska? Na spływ Drwęcą? W Beskid Niski?

– Julka, po co ci to? Już wiesz. Musisz jeszcze oglądać? Czasem lepiej nie wiedzieć. Czasem lepiej nie widzieć.

– Czasem to bym wolała, żeby on nie był moim ojcem! Żeby się okazało, że to pomyłka, wtedy by tak nie bolało.

Wybiegła z salonu, a po chwili Sonia usłyszała trzaśnięcie drzwiami.

Przymknęła oczy i znowu zobaczyła te sielskie scenki. Rozumiała córkę, zwykle była starsza i miała doświadczenie mniej sielankowego dzieciństwa. Krzysiek, zupełnie niepotrzebnie, próbował jej wmówić, że nic się nie zmieniło i nie zmieni. Że po prostu zwolnił Sonię ze stanowiska żony, zatrudnił w to miejsce Kingę, a poza tym – bez zmian. A już na pewno nie ma i nie będzie to mieć nic wspólnego z Julką.

A przecież to był początek. Karuzela dopiero się rozkręcała. Kiedy urodzi się dziecko...

Żal jej było Julki, bo czekało ją nieuniknione: detronizacja i degradacja. Kinga będzie działała tak, żeby jej dziecko stało na pierwszym miejscu – czysta biologia, tu nie ma miejsca na sentymenty. Obce potomstwo trzeba wywalić z gniazda, żeby własnemu zapewnić lepsze warunki. Zakochany Krzysiek wejdzie w to jak w dym, bo ona ma nad nim władzę.

Sonia była zła na niego. Za siebie już mniej. Nie chciał z nią być? Co można zrobić z tym, że ktoś nas już nie chce? Zachować godność i odejść, a ona w zachowywaniu godności miała wprawę. Ale żeby zlewać własne dziecko? Gdzie ta genetyczna nić, która łączy rodziców i potomstwo? U facetów jest zdecydowanie cieńsza, łatwiej się rwie. Nic dziwnego, biologia to przekalkulowała – emocje są potrzebne parze, żeby doszło do ciąży, bo przecież świat się musi rozmnażać. Potem trzeba zalać matkę hormonami, żeby urodziła i odchowala, a facet niech idzie dalej, niech sieje plemniki.

Pochowała zakupy, na wierzchu zostawiła tylko jedną mrożonkę. Wrzuciła ją na patelnię. W koszu zobaczyła opakowanie po dużych chipsach, czyli Julka nie była na razie głodna. Mimo wszystko zajrzała do niej. Spała. Przystawiała się teraz na tryb nocny, w ciągu dnia odrabiała zarwane nocne godziny.

Warzywa w sosie francuskim nie miały pojęcia o istnieniu Francji, ale wino było niezłe. Jeden kieliszek. Potrafiła być stanowcza – wobec siebie prawie zawsze.

Zgarnęła sweter z wieszaka w przedpokoju i poszła na spacer. Niby ciepło, a jednak ciągnęło chłodem. Na telefonie miała zero kresek. Aparat córki był lepszy, choć akurat dziś Julka gorzej na tym wyszła.

Szła w stronę Sokołowska. Po pierwsze dlatego, że nadchodzący zmrok nie zachęcał do wycieczki w góry, a po drugie, chciała złapać zasięg, żeby sprawdzić, czy są jakieś nowe wiadomości.

Dotarła do pensjonatu. Zum Grünen Kranz. Ładna była ta nazwa, zgodna z intencją tych, co stawiali ten budynek pod koniec dziewiętnastego wieku. Żał, że jej nie zostawili. Ciekawe, jak się nazywał w latach powojennych, kiedy dzieciaki przyjeżdżały tu na kolonie organizowane przez Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Odzieżą. Może mieszkały też w osamotnionym sanatorium Blitzengrund? Tę nazwę próbowała odnaleźć, jednak wyskoczyła jej tylko Ługowina. Mało zachęcająca; tak nazywał się jeden z dopływów Odry, ale to chyba nie mogło mieć nic wspólnego z potokiem, którego wody przewalały się między bukami. Chyba. Geografia była jej piętą Achillesową.

Kranz. Przywykła do tego nazwiska. Nie przeszkadzała jej obcość, do Wrocławia nawet pasowała. Julka też nie miała żadnych problemów z tego powodu. Czasem tylko ktoś zapisał „Kranc”, i tyle. Krzysiek nie zgłębiał historii rodzinnej, nie dokopywał się do przeszłości. Liczy się tu i teraz, powtarzał. To ich różniło; zwłaszcza zawodowo nie podzielała tego poglądu.

Spojrzała na telefon. Jedna kreska. Weszła na teren pensjonatu, potem schodami do środka. Zamówiła kawę i wodę. W sali jadalnej dwa stoliki były zajęte, chyba przez gości obiektu, bo najwyraźniej czuli się tu zadomowieni. Miłe rodzinne scenki.

Wzięła tacę z filiżanką oraz butelką wody, wyszła na zewnątrz i usiadła przy drewnianym stole. Było tu całkiem przyjemnie. Słońce, które teraz już ogrzewało, a nie paliło, jeszcze miało tu dostęp. Wokół pusto, ruch na szosie znikomy.

Nie zauważyła żadnych nowych powiadomień. Weszła w wyszukiwarkę i wpisała: „Britte Lindner”. Wyrzuciło jej informacje po niemiecku. W sumie nie powinna się spodziewać niczego innego, ale chyba miała nadzieję, że coś zrozumie z tekstu. Znała trochę słów po niemiecku, dwa języki obce, najwyraźniej jednak to tak nie działało. Zresztą ile było Britt Lindner? Jak spośród nich wyłowić tę, o którą jej chodziło? Mogłaby zacząć od kamieniarza, ale akurat ten grób nie miał żadnego znaczka wskazującego na wykonawcę. Chyba że sprawdzi w kancelarii, bo przecież jeśli ktoś chce zacząć roboty na cmentarzu, musi to zgłosić i zapłacić. Kiedyś to się nazywało „za otwarcie bramy”. Teraz może odbywało się inaczej, ale tak czy owak jakiś ślad w papierach powinien zostać.

Dwie Britty Lindner z Facebooka wyglądały młodo i zdrowo. Kolejna z jakiegoś portalu zawodowego była od nich starsza, ale na pewno sporo przed dziewięćdziesiątką. Kranz przerzuciła się na teksty. Jeden z nich zawierał interesujące ją nazwisko i kilka dat. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty pierwszy, siedemdziesiąty trzeci, chyba też lata dziewięćdziesiąte. Z tego, co potrafiła zrozumieć, chodziło o jakąś firmę. Bekleidung. Odzież, konfekcja, przetłumaczył translator. Czyli Britte tam pracowała, a raczej założyła tę firmę. Poniżej było zdjęcie. Leciwa, ale dobrze wyglądająca kobieta. Krótkie włosy, chyba trwała, bo mocno poskręcane. Ładne niebieskie oczy. Dużo zmarszczek. Przyjemna twarz. A pod zdjęciem wywiad. Niestety, jego treść pozostawała dla Soni nieodgadniona. Zrobiła w głowie szybki przegląd znajomych, próbując dopasować do nich języki obce, a potem przypomniała sobie o Annie Wojtyszek – ona musiała znać niemiecki, skoro zajmowała się taką tematyką. Wybrała numer. Historyczka szybko odebrała. Nie była zdziwiona prośbą.

– Oczywiście, nie ma problemu, niech mi pani prześle link albo zdjęcie. Odzwonię... dziś to już chyba nie, bo teraz będę jeszcze zajęta przez jakiś czas, ale jutro rano możemy porozmawiać. Widzę, że wciągnęła panią ta historia. Zacięcie

zawodowe, prawda? Przenosi się na wszystko inne w życiu. Każda drobnostka musi zostać wyjaśniona. Ja też tak mam, rozumiem. I szanuję.

Kranz próbowała wysłać mejla, ale aż tak dobrze nie było. Zrobiła kilka zrzutów ekranu i załączyła do wiadomości. Po kilku próbach, które kosztowały ją trochę irytacji, pojawił się komunikat, że zdjęcia zostały dostarczone.

Dopiła wodę i odniosła brudne naczynia. Szanowała pracę innych, poza tym sprzątanie po sobie było u niej odruchem. Zostawiła tacę na ladzie, rzuciła w pustą przestrzeń, bo akurat wszyscy gdzieś zniknęli, „do widzenia” i wyszła.

Wprost na Piotra Dębskiego.

– Co pan tu robi? – wyrzuciła z siebie szybciej, niż pomyślała.

– Stoję. Ale chciałbym co innego.

Nie zapytała, jednak i tak odpowiedział.

– Ulec przeznaczeniu. Tak się spotykamy i spotykamy...

– Pierwszy raz na miejscu zbrodni.

– Niefortunnie, fakt. Ale teraz na neutralnym gruncie. I chyba już jestem poza gronem podejrzanych? – Uśmiechnął się.

– Śledztwo trwa – odparła chłodno.

– Zawsze jest pani taka oficjalna? Albo ironiczna?

– Nie, nie zawsze. Może to pan jest katalizatorem?

– No nie, czemu tak przykro?

Było mu naprawdę przykro czy grał? Musiała być zmęczona, skoro tego nie wychwyciła. Albo chodziło o co innego.

– Nie zostanie pani? Na herbatę, wino, ciastko?

– Wypiłam i wychodzę.

– To może panią odprowadzę, bo nie widzę samochodu...?

– Nie, dziękuję. Zresztą pan się chyba tu wybierał?

– Tak, ale bez podawania godziny. Przygotowuję ceramikę dla pensjonatu, przyszedłem ustalić szczegóły. Mogę wrócić za jakiś czas.

– Dlaczego panu tak zależy? – zapytała w końcu.

– Ponieważ... wolalbym to wyjaśnić w bardziej sprzyjających okolicznościach. Bez pośpiechu. Tak w skrócie: czuję, że do siebie pasujemy. I bardzo mi się pani

podoba.

Mogłaby zrobić teraz wszystko. Nawet pójść z nim do Sokołowska do jego mieszkania i sprawdzić, czy naprawdę do siebie pasują, choć czuła, że tak. Ten facet ją pociągał – na tym podstawowym, biologicznym poziomie. Nie musiałyby ją z nim połączyć nic więcej oprócz miłego czasu w pościeli. Chciałaby tego – tak po prostu. Bo już zapominała, jak to jest przeżywać namiętność. Bo miała na to ochotę. Bo to może przegnałoby obraz zgrabnej Kingi w objęciach Krzyśka. Przyniosło odprężenie. Pozwoliło się na krótki czas wypisać z rzeczywistości, która ją ostatnio przygniatała.

– Jestem zajęta.

Beznadziejna odpowiedź. Po co to robiła? Przecież już nie był podejrzany. Przecież ona była już wolna. Dlaczego zawsze była dla siebie taka... nieczuła?

Kiwnął głową i poszedł w stronę schodów.

– Ale może kiedy indziej...

Nie, nie usłyszał.

Julka nie spała, krzątała się po kuchni.

– Już jadłaś – raczej stwierdziła, niż zapytała, bo w zlewie leżały patelnia i talerz. Sonia rzadko zostawiała brudne naczynia w zlewie. Kiedyś zmywała nawet przed posiłkiem, teraz sobie odpuszczała.

– Jadłam. Zrobić ci coś?

– Nie, już sobie przygotowałam sałatkę.

Rzeczywiście, na stole stała miska z serem i pomidorami.

– To pójde się położyć. Zmęczona jestem.

– I chyba smutna. To przeze mnie? – Julka wyglądała na skruszoną.

– Nie, dlaczego?

– Bo tak wyskoczyłam z ojcem. Na ciebie, jakby to była twoja wina. Ja sama czasem nie wiem, co do niego czuję. Gubię się. On pisał, gadaliśmy, wtedy myślałam, że mi przeszło, ale te zdjęcia... To jakby zdrada, a przecież on zdradził...

Ciebie, dopowiedziała Sonia w myślach.

– Przepraszam, nie chciałam. – Julka zorientowała się, że jej wypowiedź była niefortunna.

– Można się pogubić. – Uśmiechnęła się do córki.

– Dobrze, że cię mam, mamo. Matka to zawsze pewnik.

Nie zawsze, pomyślała, ale kiwnęła głową. Naprawdę czuła się strasznie zmęczona.

W sypialni położyła się na łóżku. Na chwilę, nim pójdzie się umyć. Tylko przez moment odsapnie i zbierze siły. Nie wiedziała, kiedy zasnęła. Obudziła się, gdy dookoła było ciemno. Przez niezastłonięte okno do pokoju wlewał się mrok. Zdrętwiała, bo przygniotła sobie rękę. Wymacała telefon. Dochodziła trzecia. Na ekranie zauważyła ikonę wiadomości. Czyli Wojtyszek jednak przetłumaczyła tekst.

Ale SMS przyszedł od Majkowskiego.

„Na papierosach z bluzy są ślady ZK. I innej osoby, której nie ma w bazie. Oba materiały cechuje duże podobieństwo. To stopień pokrewieństwa, który wskazuje, że drugi materiał pochodzi od...”

Wiadomość się urywała. Może Majkowski za szybko wysłał i dołożył drugą, ale tamtej nie udało się dostarczyć?

Sprawdziła – pusto, nic. Przecież nie będzie do niego dzwoniła, dopiero rano...

I wtedy zrozumiała.

Rozdział 17

Mimo upału kwiaty wciąż wyglądały dobrze. Róże są jednak pancerne, pomyślała. Niby takie romantyczne, ale przecież mają kolce i odporność betonu.

Musiła przejść przez ogrodzenie, bo brama była zamknięta. Otworzyliby jej, ale nie chciała nikogo budzić. Przypomniała sobie tę Ukrainkę z córeczką – na pewno jeszcze spały, a ona nie wiedziała, w które drzwi stukać. Zresztą co to był za problem? Ogrodzenie niskie, dała radę. Gdyby ją ktoś zauważył, byłoby gorzej, bo narobiłby rabanu i sprawa by się rozniosła, a tego wołała uniknąć.

Jakim pokrętnym torem potoczyła się ta sprawa! Choć motorem musiało być coś prostego, z podstawowego zbioru: pieniądze, miłość, zazdrość, zemsta.

Jedna z tych rzeczy bezpośrednio popchnęła do zbrodni, ale na cały cykl złożyły się wszystkie.

Wyjęła komórkę, przesunęła palcem na zdjęcie Britte Lindner. Przyłożyła do nagrobkowej fotografii Jana Korczaba. Takie samo spojrzenie, taki sam wykrój oczu.

Przez chwilę stała przy lastrykowym pomniku, a potem zeszła w dół, w stronę wyjścia. Znowu przeszła przez ogrodzenie, minęła rynek i wsiadła do samochodu. Kusiło ją, żeby zadzwonić do Anny Wojtyszek, ale do szóstej było jeszcze ponad piętnaście minut. O tej porze to się przychodzi tylko z nakazem aresztowania.

Powoli mijała domy tkackie. Kiedy przejeżdżała obok tego, w którym rezydowała historyczka, odniosła wrażenie, że zobaczyła cień za oknem. Zaryzykowała. Zaparkowała i przeszła podcieniami pod właściwe drzwi. Zapukała. Bez odzewu, więc spróbowała jeszcze raz. Tym razem z efektem.

– Dzień dobry. – Anna Wojtyszek otworzyła w piżamie, ale rozbudzona.

– Przepraszam, że tak wcześnie... – zaczęła Kranz, ale kobieta jej przerwała.

– Nie szkodzi, ja wstaję o piątej trzydzieści. Medytuję, a potem ćwiczę jogę. – Odwróciła się w stronę maty.

– Jasne. Akurat przejeżdżałam i pomyślałam, że może udało się pani spojrzeć na ten artykuł o Britte Lindner.

– Aż tak to panią wciągnęło? Udało się. Bardzo ciekawa historia. Krzepiąca, choć... Krzepiąca, bo nasza wygnana zbudowała imperium odzieżowe. „Britte K.”, mało wyszukana nazwa, ciuchy też nie jakieś oryginalne, ale to Niemcy, tam inne cechy się liczą. W każdym razie odniosła sukces. Finansowy, bo w życiu prywatnym, i tu dochodzimy do „choć”, raczej pusto: brak męża, dzieci. Chyba była samotna.

– Była?

– W tym artykule tego nie ma, ale znalazłam w internecie: zmarła w marcu tego roku.

– Czyli jest tu pochowana?

– Tego nie wiem, ale skoro widziała pani znicz... Zresztą na cmentarzu wszystko wiedzą. Ale komu ja to mówię. – Uśmiechnęła się. – Swoją drogą, czy ta sprawa to wciąż hobby, bo...

– Bardzo pani dziękuję. Niedługo znowu się odezwę. Na pewno w sprawie służbowej.

A jednak zapukała do drzwi, które niespełna godzinę wcześniej chciała oszczędzić.

Ksiądz był już na szczęście na nogach – tego dnia jechał na jakąś parafialną wybieczkę. I nawet nie musiał niczego sprawdzać w księgach, bo rzadko tu chowali przedwojennych mieszkańców. Właściwie to raz – Britte Lindner. Dziwne to było, bo przyjechała sama urna, to znaczy przywiozła ją niemiecka firma pogrzebowa. Elegancko, ale to przecież obcy, a z rodziny czy bliskich – nikogo. Grób został wykupiony już kilka lat wcześniej, za starego proboszcza, on tu jest na parafii od dwóch lat, więc na pewno nie wszystko wie. A z tamtych czasów to już całkiem mało, bo sam ma trzydzieści pięć lat.

Podziękowała i wyszła. Na schodach usłyszała, że ktoś stuka w okno. To ta dziewczynka z Ukrainy odsłoniła firankę i machała do niej. Kranz odmachwała. Mała uśmiechnęła się szeroko. Dzieci były jednak wzruszające. Pełne wiary w świat i innych.

– Nie wiem, bo sprawa jest rozwojowa... Raczej nie. Może w przyszłym tygodniu. Ja ciebie też, Kochany.

„Kochany”. Zrobiło jej się głupio, bo przecież nie chciała podsłuchiwać. Przesuwał palcem po ekranie, zrobiła więc dwa kroki w jego stronę i powiedziała:

– Cześć.

Jacek Majkowski prawie podskoczył.

– Cześć. Kurde, dopiero teraz zobaczyłem, że tamta druga wiadomość nie została dostarczona. Przesłali mi właśnie komunikat. A to jest przecież... Więc ja ci napisałem, że...

– ...że Grzegorz Korczab jest najprawdopodobniej ojcem Zuzi.

– No. To jakiś kosmos. Jak to możliwe? Mieli romans? Już dawniej?

– Nie. Najwyraźniej to on próbował wtedy zgwałcić Annę Wojtyszek, nie wyszło, za to udało się z Marylą, wtedy Głowińską.

– Kurde... Ale ona go potem nie poznała? A on jej?

– Ona nie widziała twarzy. Zresztą Wojtyszek mówiła, że napastnik miał czapkę z daszkiem, no i była noc. A zaraz potem Maryła poszła do fryzjera i całkiem zmieniła fryzurę. Nawet jeśli Grzegorz Korczab coś zapamiętał, to ona wyglądała już inaczej.

– Czyli ożenił się z żoną zmarłego brata, dostał w pakiecie niby bratanicę, a wyszło, że córkę. Jak myślisz, Jan Korczab wiedział, że Zuzia nie jest jego dzieckiem?

– Nie umiem ocenić. Maryła poznała go kilka dni później, bardzo szybko wzięli ślub.

– Naciągnęła go? W sensie, wiedziała, że jest w ciąży, ale mimo wszystko nie chciała się jej pozbyć, bo jest taka wierząca, więc...

– Nie sędzę. Mogła się nie zorientować, zwłaszcza jeśli szybko skonsumowali tę znajomość. Mogła bardzo chcieć, żeby to Jan był ojcem. Myślę, że on był jedynym mężczyzną, jakiego kochała.

– Ale dlaczego Grzegorz Korczab zabił Zuzę? Odkryła jego romans?

– Nie, to nie to, za mało. I pamiętaj o gwałcie. Musiało chodzić o ważny powód, tak ważny, że nie powstrzymał się przed zabójstwem i gwałtem, który miał skierować naszą uwagę w stronę jakiegoś przestępcy seksualnego. Tyle że to Grzegorz

Korczab nim był. Przynajmniej raz, w tamtą noc. A skąd wiesz o romansie? Potwierdziłeś?

– Tak, w sumie to było proste. Ona wrzuca fotki na Facebooka i na jednej jest jakaś działka, domek letniskowy. Neczasova w sukience z dekoltem, robi sobie zdjęcie w lustrze, a w nim widać łóżko i faceta bez koszuli. I to właśnie Grzegorz Korczab. Miałaś intuicję. A jeśli nie sprawa romansu, to co? Może Zuzia jakoś się dowiedziała o gwałcie na matce? Albo odkryła coś innego? Kurde, przecież gdyby Grzegorz Korczab wiedział, że to jego córka, pewnie w ogóle nie doszłoby do zabójstwa...

Gdyby wiedział, że to jego córka, nie doszłoby do zabójstwa – powtórzyła za nim w myślach Sonia.

– ...w końcu to jednak więzy krwi.

Spojrzała na niego.

– Nie chodziło o więzy krwi – powiedziała. – Tylko o kasę. Dużą kasę.

Na podwórku domu przy ulicy Powstańców było pusto – ani samochodu Grzegorza Korczaba, ani żadnego z domowników. Tym razem furka okazała się zamknięta, a dzwonek zamontowany do słupka najwyraźniej nie działał.

Sonia Kranz postąpiła tam przez chwilę, a potem ruszyła w stronę posterunku. Chciała porozmawiać z Marylą Korczab i zorientować się, czy rzeczywiście wiedziała, że jej córka nie jest dzieckiem Jana. Obstawiała, że nie. Zakładała, że tamta powie: „Ale on i tak ją bardzo kochał, więc jakie to miałyby znaczenie?”

Ogromne.

Tyle że na razie Kranz nie mogła jej tego zdradzić, to musiało poczekać. Potrzebowała więcej informacji o Britte, próbkę materiału od ojca Zuzi, no i listy – może jednak nie zginęły? Zwłaszcza ten drugi. Grzegorz Korczab na pewno gdzieś go przechowywał. Trzeba będzie przeszukać jego komputer, telefon, bo może zrobił zdjęcie? A może trzymał go u kochanki? Zebrać dowody na romans, przycisnąć tę Neczasovą. Pewnie myślała, że to alibi to dla żony.

Gdyby wiedziała...

Minęła posterunek. Chciała sprawdzić, od której działki ciuchland. Pytanie o gwałt było ważne, ale jeszcze ważniejsze to, jakie plany na najbliższe dni miał

Grzegorz Korczab. Nie mogli go wystraszyć. Najpierw musiała przekonać Mitaj, że intuicja jej nie myli i teraz to tylko kwestia drobiazgowego zebrania dowodów. Maryla Korczab nie miała bliskiej relacji z mężem, nie powiedziała mu o wizycie Kranz. Nie powiedziała też o gwałcie, jak Janowi. Tak się wstydziła, tak nie chciała pamiętać.

Gdyby...

Sklep działał od dziewiątej trzydzieści, ale Sonia zauważyła szparę w drzwiach. Były niedomknięte. Kiedy wychodziła poprzednim razem, musiała je dociągnąć. „Czasem tak mają”, powiedziała Maryla Korczab. „Też dopycham, bo inaczej zamk nie chwyta”.

Czyli ktoś był w środku. Weszła.

– Dzień dobry?

Nikt nie odpowiedział. Skręciła za przymierzalnię, gdzie ostatnim razem rozmawiała. Tu też pusto. Przeszła dalej; odgarnęła kotarę, za którą ujrzała wąski korytarz z parą drzwi. Jedne miały napis „WC”, drugie były bez oznakowania. Naciśnęła klamkę, ustąpiły. Zobaczyła nieduże pomieszczenie wypełnione pudłami, a wśród nich Grzegorza Korczaba.

– Dzień dobry.

Zdziwił się. Ona też, ale szybciej się opanowała.

– Dzień dobry. Szukam pana żony.

– Jest u lekarza. Będzie pewnie koło południa, bo pojechała do Wałbrzycha.

– Nie wiedziałam, że pan tu też pracuje.

– Nie pracuję. Odebrałem tylko towar. Wstępnie rozpakuję i idę. Spieszę się do pracy.

– No tak. Nie będę przeszkadzała. – Wykonała półobrót. – Ale przy okazji, skoro już pana spotkałam... Na cmentarzu w Chełmsku doszło do przykrego incydentu. Ktoś zniszczył tablicę na grobie.

– Naszym? – Zdenerwował się. – Zuzi czy rodziców?

– Nie, na grobie Britte Lindner.

Miała go. Nie był przygotowany, nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Britte... Ale co ja mam z tym wspólnego? Nie znam jej.

– Z informacji, które uzyskałam, wynika, że pisała do pana. Na dawny adres w Chełmsku. I pan ten list odebrał.

Wahał się. Chciał jak najszybciej odpowiedzieć, ale nie wiedział co.

– List...? A, list. Nie wiem, czy to był od niej. Od tej Litner.

– Lindner.

– Może. Nie wiem nawet, czy dobrze zrozumiałem. Ona szukała domu, bo kiedyś tu mieszkała. Chyba chciała przyjechać, zobaczyć. Tak mi translator przetłumażył. W każdym razie nic ważnego. Przeczytałem, zapomniałem.

– Ma pan może ten list? Były w nim jakiś adres, numer telefonu?

– Nie, nie mam. Gdzieś się zagubił.

– Nie chciał go pan dać obecnym właścicielom? Może oni by odpowiedzieli? W końcu to prośba kogoś, kto stoi nad grobem.

– Może. Może zabrakło mi empatii, a może jestem po prostu zapracowany. W każdym razie nic z tego nie wyszło, sprawa nie miała ciągu dalszego.

– Nie ciekawiło pana, kim ona jest? Tak po ludzku?

– Nie. Czy to już wszystko? Bo naprawdę się spieszę.

– Tak, wszystko. Choć...

Był już lekko zdenerwowany. Wytrącony z równowagi. Nie pilnował się tak bardzo.

– Jeszcze jedna sprawa, o której chciałam z panem porozmawiać. Otóż okazało się, że Zuzia nie była córką pana brata.

– Jak to? – Grzegorz Korczab na chwilę stracił głos. – Skąd? Dlaczego? Nie, to pomyłka, na pewno, przecież Maryla by nigdy...

Nie grał, naprawdę go to zdumiało. Powinna przestać, wycofać się, ale nie mogła. Już prawie go miała.

– Wiadomo, kto był jej ojcem.

– Kto? – Głos mu zadrżał.

– Ten, który ją zabił.

Widziała, jak rozszerzają mu się źrenice. Zaczął głośniejszymi oddechami.

– I zgwałcił.

Grzegorz Korczab zgiął się, jakby dostał cios w splot słoneczny.

– To jakieś bzdury. Niemożliwe. – W jego głosie brakowało przekonania do tego, co mówił.

– A jednak.

Starła się zachować spokój, choć serce jej waliło. Szarżowała, wiedziała o tym. Powinna stąd wyjść, teraz, już, natychmiast. Pozbierać dowody i wtedy go przyskrzynić. Coś jednak pchało ją dalej, jakby nagle pękła tama, która zawsze wyznaczała jej granice i wstrzymywała impulsy. Dawniej Kranz przystępowała do działania dopiero wtedy, gdy przepuściła je przez głowę, przetworzyła, uporządkowała. Teraz było inaczej.

– Bzdury – powtórzył. Tym razem jego głos zabrzmiał pewniej.

Wzdrygnęła się. To wszystko było świeże, jeszcze dużo żmudnej pracy przed nią, ale się nie myliła. Wiedziała o tym.

– Zuzia była córką Jana. Pamiętam to małżeństwo i szczęście brata po jej narodzinach. Szczęście żony też. Nieustające. Tego się nie dało zagrać, tak było.

Był już prawie, prawie spokojny. Kranz natomiast zaczęła odczuwać narastający niepokój. Mrowiły ją dłonie i stopy, dusiło w klatce piersiowej. Miała rację. To ona miała rację.

– Teraz żona bardzo cierpi i będzie cierpieła, póki sprawa nie zostanie wyjaśniona. To nie wróci życia Zuzi, ale da poczucie sprawiedliwości. Tylko tak może pani zmniejszyć ból Maryli. Za to te nietrafione teorie ją dobiją. Ona tego nie wytrzyma. Trzeba znaleźć mordercę. Prawdziwego mordercę.

Grzegorz Korczab był już sobą. Opanowany, pewny swego. Przejął prowadzenie.

– Policja znalazła zabójcę – powiedziała.

– Proszę pani...

Spięła się. Co za cholerny ton – protekcjonalny, jak do dziecka. Dudniło jej w głowie, dłonie się spociły. Była teraz gniewem. Złością. Rozwiązała tę sprawę, a ten dupek wylądował na długie lata w więzieniu.

– Ja tylko proszę o delikatność wobec żony. Tylko o to. Ona już tyle przeszła, że więcej nie uniesie. – Niby spokorniał, ale przecież wiedziała, że to gra.

– Kocha ją pan? – zapytała.

Wyczuł drwinę w jej głosie, na pewno.

– Co to za pytanie, jest moją żoną.

– Dużo mężczyzn tak mówi, co nie przeszkadza im mieć kochanki. Szukają szczęścia gdzie indziej. Szukają i znajdują. – Specjalnie zaakcentowała to „szukają”.

Znowu się spiął, widziała to w jego sylwetce – mimowolne podniesienie ramion, ruch palców dłoni. Był wprawnym graczem, ale w takim starciu jeszcze nie brał udziału. Kranz – też.

Odetchnął, lekko się przygarbił.

– Dla Maryli śmierć Zuzi to dramat. Dla mnie też, choć może tego nie pokazuję, ale kochałem Zuzię jak własne dziecko.

– Zuzia była pana dzieckiem.

– No nie...

To uniesienie nie było zagrane. W innym przypadku może znalazłaby w sobie odrobinę współczucia dla zabójcy, który nie wiedział, że pozbawił życia własne dziecko, ale dla Korczaba nie miała takiej litości.

– Ta noc, kiedy zgwałcił pan dziewczynę w Chełmsku. Pamięta pan? Jedną się panu wywinęła, druga nie miała tyle szczęścia. To była Maryla. Zaszła wtedy w ciążę. I urodziła wasze dziecko.

Patrzył na nią w milczeniu. Widziała, że drżą mu dłonie. Jeszcze mu nie zszedł z twarzy wyraz pewności, ale ciało już nie trzymało gardy.

– Z tymi dziećmi to w ogóle dziwna sprawa. Wiadomo, kto jest matką, z ojcem nie tak łatwo. A czasem jeszcze trudniej, bo okazuje się, że matką jest inna kobieta, niż do tej pory uważano.

Stała wyprostowana, patrzyła mu w oczy. Czowała, że triumfuje.

Korczab się poddał. Lekko opuścił głowę, jedną ręką dotknął klatki piersiowej, drugą oparł o ścianę.

Żeby tylko nie dostał zawału, pomyślała. Teraz, kiedy wreszcie rozjaśniła tę pomrokę...

Nagle zrobiło się ciemno. Usłyszała kliknięcie, a potem mrok zalał pomieszczenie.

Zrozumiała – zgasił światło. Będzie chciał uciec.

Coś błysnęło, to było jak odbłask świateł pędzącego auta w szybach mijanego domu.

Korczab nie chciał uciekać. Chciał wygrać, kolejny raz. Za wszelką cenę.

Odskoczyła, ale potknęła się o stojące obok pudło. Zachwiała się, próbując się czegoś schwycić, straciła równowagę i upadła. Cień runął na nią z nożem w ręku.

Krzyk przeciął duszne powietrze kanciapy. Obróciła się w stronę, z której dochodził. I zobaczyła Marylę Korczab. Zobaczył ją też jej mąż, który ułamek sekundy dłużej skupił na niej spojrzenie. Kranz wykorzystwała ten moment i wyszarpnęła się spod niego, ale nie odpuścił. Zaczęli się szamotać. Wydawało jej się, że słyszy kroki, że Maryla dokąś biegnie. Oddalała się. Była nadzieja, że na posterunek i że Majkowski za chwilę się tu zjawi, ale ta chwila może nie wystarczyć. Sonia miała siły, o które by się nie podejrzewała, ale Korczab był większy i silniejszy. Oboje walczyli o życie – ona dosłownie. Czowała, że słabnie, że jeszcze moment i...

Napięła się, złapała go za rękę i wykręciła, a on, żeby uniknąć bólu, wykonał nagły obrót. Zastopowało go jednak tylko na chwilę. Znowu się na nią rzucił. Przywalił ją; poczuła ostry ból, aż jęknęła. Z trudem nabrała powietrza, a pod palcami wymacała ciepłą lepkość.

Czy to już, tak po prostu – koniec?

Na cmentarzu było pusto. Ktoś tu jednak musiał niedawno się pojawić, bo znicz palił się silnym płomieniem.

– Dobrze, że ktoś dba.

Odwróciła się. Trochę niżej stał starszy mężczyzna z miotłą.

– Ludzie różnie gadają, ale tak nie można. To przecież o zmarłej. Zmarłym to się pamięć należy i modlitwa. Co było, to przeszło, trzeba zostawić. Tu proch – spojrzal na płytę nagrobną – i my też niedługo będziemy prochem. – Teraz przeniósł spojrzenie na Kranz.

Pokiwała głową. Niewiele brakowało, żeby tak właśnie stało się już kilka dni temu. Źle rozegrała sprawę, to mogło skończyć się tragicznie.

A jednak miała szczęście. Ranę też, ale od niezabezpieczonego zbrojenia wystającego z podłogi, a nie od noża. Krew, którą wzięła za swoją, kapiała z brzucha Korczaba. Nadział się na swoje ostrze. On zresztą też miał szczęście, bo żył. Choć nie była pewna, czy myślał tak samo.

Odwiedziła go w szpitalu. Przez cały czas pilnowany, dochodził do zdrowia. Długo czekała, aż się odezwie. Milczał. Kiedy już miała wyjść, usłyszała: „Czy ja na pewno... Czy ona na pewno była moją córką?”.

„Na pewno”.

Nie powiedział już nic.

Mówiły za to dokumenty, które Kranz teraz zbierała. Najważniejszy był list Britte Lindner. Znaleźli go u Terezy Neczasovej. Kobieta tak się przestraszyła, że niczego nie ukrywała. Zarzekała się, że nie ma pojęcia o całej sprawie i właściwie niewiele wie – jedynie, że Grzegorz jest żonaty, ale to przecież nie grzech. To nie, jednak lista jego grzechów i tak była długa. Może nie tylko Maryla Głowińska i Anna Wojtysek padły ofiarą jego temperamentu? Tym Sonia będzie musiała się zająć później.

Britte Lindner chciała przekazać cały swój majątek synowi urodzonemu w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku w Schömbergu, nazwisko Korczab – tyle podała. Gdyby nie żył, to jego dzieciom, w następnej kolejności najbliższej spokrewnionej osobie. Innej rodziny nie miała.

Zapewne dlatego tak długo została w Chełmsku – była w ciąży z Aleksandrem Korczabem.

Zacząło się od romansu, zniewolenia, a może pospołu jednego i drugiego? O tym w liście przemilczano, padły same suche fakty. Pozostawało jedynie domyślić się przebiegu wydarzeń. Wcześniej Korczabowie nie mieli dzieci – pewnie dlatego syn Britte i Aleksandra został w Polsce. Może Niemka ukrywała ciążę, a Maria ją udawała? W papierach Jana zapisano jako potomka pary przesiedleńców. Może kochali go oboje, skoro inaczej nie udało im się sprowadzić dziecka na świat? Może taki był plan, a może żona zaakceptowała wynik romansu męża, bo tak bardzo chciała zostać matką? I może dopiero późne narodziny „prawdziwego” dziecka, Grzegorza, zmieniły sytuację? „Nie jesteś moim synem”, mówiła Maria. I to była prawda – biologiczna.

Grzegorz Korczab musiał sprawdzić Britte Lindner, miał swoje handlowe sposoby. Bogata, bezdzietna, zmarła kilka tygodni po napisaniu tego listu. Najpierw pewnie przeżył szok, że Jan nie był jego prawdziwym bratem, tylko takim z Niemry. To wiele wyjaśniało, zwłaszcza niechęć matki na stare lata. Potem poczuł złość, że Zuzi, córce takiego faceta, miałby przypaść ogromny majątek. Gdyby nie

ona, to on byłby najbliższym krewnym, bo łączył ich ten sam ojciec. I właśnie ta myśl nim owładnęła, zwłaszcza że dziewczyna wzbudzała w nim sprzeczne uczucia. Nie miał pojęcia, z czego wynikały. Plan był etapowy. Najpierw Grzegorz zainscenizował tę hecę z książkami i jakimiś pseudosatanistycznymi znakami, podrzucił niedopałki papierosów, którymi poczęstował Wojtka Rudę, a miesiąc później podsłuchał, jak Zuza umawia się z koleżanką w Sokołowsku. Uznał, że spróbuje wtedy, może przed spotkaniem. Zaryzykował. Udało się – była sama, smutna, bo tamta ją wystawiła, nie odbierała telefonu. Chciał niby to pogadać, a potem... Sperma była Wojtka, namówił go za piwo i kilka paczek papierosów. „On dał”. Dał Korczab, nie Dębski. Kranz też dała. Pojechała do aresztu na dzień przed zwolnieniem Rudy. Trzecia opinia przeważyla szalę na stronę „braku świadomości co do inicjowanych działań”. Przenosili go do ośrodka opiekuńczego dla osób z niepełnosprawnością intelektualną. W tym przypadku machina sprawiedliwości zadziałała dobrze, choć nie w takie rozwiązanie celowała. Kranz znowu siedziała przy tym samym co poprzednio stole i znowu patrzyła w te same oczy, za którymi krył się nieprzenikniony świat. Ruda wiedział już, że czeka go przeprowadzka do „nowego domu”. To musiało go odprężyć. Podobnie jak wizyta matki, tym razem płaczącej ze szczęścia. To wszystko plus prezent od Kranz sprawiło, że tym razem Wojtek był rozmowniejszy. „On mi to dał i jeszcze te gumki. Pokazał, co robić, jakbym nie wiedział. Ja to lubię robić, ale nie w taki woreczek. Ale powiedział, że tak trzeba, żeby nie brudzić. Potem zabrał. Pani ma te gumki? Żeby nie brudził w tym nowym domu, bo znowu mnie gdzieś zamkną”.

Nie miała. Kupiła je później tego samego dnia, kiedy wracała z aresztu w Świdnicy, choć to miał być początek zupełnie innej historii.

Gwałt. Ten punkt zapewne okazał się najtrudniejszy, dlatego Korczab potraktował go mechanicznie. Plan dopracował perfekcyjnie, prawie.

Nie wziął pod uwagę jednego: Zuzanna Korczab była jego córką. Która kiedyś zwinęła mu paczkę z resztką papierosów. Może chciała zapalić razem z przyjaciółką? Przeżyć taką wakacyjną inicjację? Tymczasem – po własnej śmierci – dostarczyła dowodu w jej sprawie.

– Ja bym to zostawił, te zaszłości. – Facet nie zniechęcał się jej milczeniem. – To przeszło, teraz trzeba myśleć do przodu. Po co się w tym babrać? Nowe idzie, i dobrze. W takim Sokołowsku... Pani wie, gdzie to jest?

Kiwnęła głową.

– No, tam to rozumieją. Robią na przykład festiwal, ludzie przyjeżdżają z całego kraju. Tak, oni żyją do przodu. Nie ma co po raz kolejny opowiadać tych samych historii.

Kranz przypomniała sobie ten festiwal. „Jeśli coś się wydarzyło, ale nie zostało opowiedziane, to umiera”.

Historia Britte Lindner nie została opowiedziana.

„Ten, kto ma i snuje opowieść – rządzi”.

Grzegorz Korczab snuł opowieść.

Ale nie był dobrym narratorem.

Epilog

– Muszę iść. – Podniosła się.

Siedziała teraz, opierając ciężar ciała na wyprostowanej w łokciu ręce. Wyglądała jak syrena, pomyślała, patrząc na siebie w lustrze. Solidny kawał kryształu w drewnianej ramie pamiętał przedwojenne czasy, choć zapewne nie odbijał takich obrazów.

– Dokąd? – Przytrzymał ją.

Patrzyła na jego dłoń. Silną, męską, a jednocześnie bardzo ładną. I sprawną.

– Do domu.

– Jesteś w domu. Przyjaznym i otwartym.

Puścił ją, położył dłoń na prześcieradle, a potem nagle gładko i szybko przesunął ją po materiale, podcinając jej rękę. Zachwiała się i upadła.

– I to jest dobra decyzja.

Leżała na plecach, on górował nad nią, przytrzymując ją między swoimi udami. Nie tylko dłonie miał ładne – całe jego ciało wyglądało jak wyrzeźbione przez sprawnego artystę. Gładkie, z zaznaczonymi mięśniami, wyrobionymi ruchem, pracą fizyczną, a nie godzinami na siłowni. Kiedy zdjął ubranie, zrzucił z siebie także tę powierzchowną hipisowatość. Pod spodem była grecka forma i niezwykła wprawność w *ars amandi*.

– Muszę. Obiecałam Julce, zresztą jesteśmy umówione w Wałbrzychu.

– Ze mną też byłaś umówiona.

Zaczął ją całować. Najpierw w czoło, potem przesunął się niżej, przez skroń, linię żuchwy, na szyję, w to zagłębienie przy obojczyku, gdzie jego język wywoływał w niej dreszcze.

– Ale czas już się skończył.

– Czas jest nieskończony.

Teraz całował jej piersi. Przekręciła głowę. Widziała ich odbicia w lustrze. Dwa ładne ciała w miłosnym uścisku. Patrzyła na to jak na obraz z obcymi ludźmi. Wciąż wydawało jej się to nierealne. Kupiła paczkę prezerwatyw, a potem prosto

z aresztu pojechała do Sokołowska. To, co w sobie gromadziła przez ostatnie tygodnie, wybuchło. Rozwiązała tę sprawę, dała sobie radę. Była dobrą śledczą, nie najgorszą matką. Chciała się dobrze poczuć także w roli kobiety – takiej, która nie tylko ciągle daje, ale i bierze.

Dębskiego mogło nie być, ale był. Otworzył drzwi i nim cokolwiek zdążył powiedzieć, ona się odezwała. „Teraz są sprzyjające okoliczności”. Zrozumiał, na pewno, ale jeszcze stał i patrzył. „Gdzie sypialnia?”, zapytała więc. Wtedy wziął ją za rękę i od tej pory to on ją prowadził. Z jednym wyjątkiem – to ona sięgnęła do torebki po małe tekturowe pudełko. Tu nie był przygotowany, ale poza tym...

– Och... – westchnęła.

Wiele razy wtedy wzdychała. Dziś także. Na początku, mimo pokazowej odwagi, była spięta. Od kilku miesięcy nie uprawiała seksu, a ostatnie lata... To też przypominało uprawę. Przygotowanie podłoża, sekwencja sprawdzonych ruchów, zasiew, zbiór, w coraz szybszym tempie. Krzysiek zrobił z tego zmechanizowaną czynność, bo gdzie indziej uprawiał poezję, a ona... Ona od prawie dwudziestu lat znała tylko tę ich bliskość, a wcześniej nie nazbierała bogatych doświadczeń. Po Dębskim widać i czuć było, że je zbierał. „Jesteś piękna”, mówił, dotykając każdego kawałka jej skóry. Nawet tego, gdzie miała świeżą bliznę. Wierzyła mu, zresztą było jej po prostu dobrze. Ciało nie trzeba przekonywać, ciało wie swoje. A głowa lub serce...? Tym się nie zajmowała. „Tu i teraz” po raz pierwszy zaistniało w jej życiu.

Przez chwilę jeszcze leżała, oplatając jego uda swoimi, ale sprawnie się wywinęła i podniosła.

– Naprawdę muszę iść.

– Ale wrócisz?

– Przecież wracam.

To było ich trzecie spotkanie w ciągu tygodnia.

– Kto wie. Poznasz jakiegoś marynarza...

– Marynarze mnie nie pociągają.

– Jakiś uraz?

– Coś w tym stylu. Może kiedyś ci opowiem.

Ubrała się, obserwując swoje ruchy w lustrze. Podobało jej się to, co widzi – każdy element tego obrazu. Podeszła do Dębskiego, nachyliła się, pocałowała go

w usta i wyszła.

Pojechała do Kowalowej, skąd zabrała Julkę i ruszyły do Wałbrzycha.
Jak zmieniać życie, to kompleksowo.

– Może być takie? Wyglądamy tak jakoś... – Julka się skrzywiła.

– Bardzo dobrze wyglądamy.

Naprawdę tak uważała. Zaczęła lepiej sypiać, co od razu odbiło się pozytywnie na jej twarzy: zniknęły sińce pod oczami. Skóra – masowana i gładzona – nabrała blasku. Julka zaś wyglądała po prostu ślicznie – opalona, z delikatnymi piegami. Esencja młodości. A pies... Sonia w końcu się na niego zdecydowała. Zabrała go z domu tymczasowego w Wałbrzychu. Był śmieszny – trochę wilkowaty, trochę collie, z długą sierścią. Przedziwna mieszanka. Zrobiła mu zdjęcie i wysłała Dębskiemu. „Chyba nawet ładniejszy od Wolanda”, odpisał, „wygląda jak Marley”. Więc nazwała go Bob. Okazało się, że jest całkiem fotogeniczny – stał między nimi i patrzył prosto w obiektyw, kiedy robili sobie zdjęcie.

– No dobra, to wrzucę, co? – Spojrzała na matkę.

– Wrzucić.

Dziewczyna zaczęła postukiwać palcami w ekran. Uśmiechała się pod nosem.

– Pamiętasz?

Podsunęła telefon w jej stronę.

Zdjęcie z lotniska. „We dwoje, a właściwie we troje. Wielka wyprawa...”

– Daj spokój, to już chyba za tobą? Przecież rozmawiacie, nawet znów jesteście znajomymi na Facebooku.

Sonia nie chciała, żeby to wyszło ironicznie, ale Julka parsknęła.

– No, tak jest. To nie przytyk, naprawdę tak myślę. – Przez chwilę wpisywała tekst. – No to już.

Kranz spojrzała na ekran.

„We dwie, a nawet we troje. Żadna wielka wyprawa, po prostu życie”.

Trzeba było dalej, po swojemu, opowiadać tę historię.

Posłowie

Pomroka jest powieścią mocno osadzoną w rzeczywistości. Jej realizm dotyczy zarówno miejsc, w których toczy się akcja, jak i samej sprawy kryminalnej, mającej swój pierwowzór w prawdziwych zdarzeniach.

Zbrodnia, która wydarzyła się ponad dwadzieścia lat temu w Wałbrzychu, stała się silną inspiracją do fabuły pierwszego tomu *Spraw Soni Kranz*. Nie jest to odwzorowanie całkowite, choć te elementy, które mogą wzbudzić podejrzenie, czy autorska fantazja nie rozbujała się zbyt mocno, są prawdziwe. Życie często prześciga fikcję.

Podobny realizm dotyczy działań policyjnych, choć na pierwszym miejscu stawiam dobro fabularne – to powieść, nie literatura faktu.

Pomysł, by osadzić akcję na Dolnym Śląsku, wynika ze szczerego zauroczenia tymi terenami – zwłaszcza tą częścią, która nie jest turystycznie mocno wyzyskiwana. Mam sentyment do miejsc, w których historia jest cichym i ciągle obecnym bohaterem drugoplanowym.

Pisanie to praca samotnicza; czas od pomysłu do postawienia ostatniej kropki upływa w pojedynkę. Później jednak, gdy tekst zamienia się pełnokrwistą książką, do akcji wkraczają kolejne osoby. Chciałabym im podziękować.

Karolinie Macios, redaktorce, za wyśmienitą współpracę – celne uwagi i konstruktywne poprawki.

Natalii Gowin, wydawczyni, za komfortowe, przyjacielskie warunki pracy – i tak od lat!

Magdzie Cylejewskiej, dyrektorce wydawniczej, za serdeczne zainteresowanie.

Sylwii Ryczkowskiej, specjalistce od promocji, za to, że jest zaangażowaną czytelniczką i wkłada w swoją pracę dużo entuzjazmu – także prywatnego.

Pawłowi Panczakiewiczowi, grafikowi – za to, że tak ładnie opakował treść w okładkę.

Przypisy

[1] Immanuel Kant, *Krytyka praktycznego rozumu*, tłum. J. Gałęcki, Warszawa 1972, s. 256.